1(64) STYCZEŃ 1988 CENA 100 ZŁ

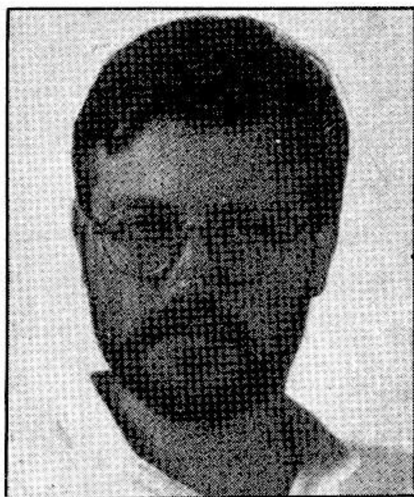
Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



HANNA BAKUŁA



MICHELANGELO MIANI

Michelangelo Miani urodził się w 1959 r. w Wenecji. Od 1980 r. zajmuje się zawodowo grafiką wydawniczą. Specjalizuje się w ilustracjach do czasopism i książek naukowych i fantastycznych oraz w grafice reklamowej. Wykonuje swoje prace głównie przy użyciu aerografu i temper.



Król horroru Stephen King straszy po raz pierwszy w „Fantastyce"! Na naszych łamach: esej i mikropowieść Kinga (str. 21 i 23) oraz dwa teksty krytyczne jemu poświęcone (str. 43 i 64).

...3...2...1...



W jednym z wywiadów ze znanym pisarzem science fiction z Moskwy, Kirem Bułyczowem, przeczytałem niedawno jego zgrabną i skromną ripostę na pytanie o najlepszych u Rosjan: *są Strugaccy, a potem wielu innych, podobnie jak w Polsce – Lem, a za nim reszta.* Coś w tym rodzaju, cytuję z pamięci.

Ostatnio na łamach naszych pism, dalekich od fantastyki, zajmujących się najnormalniejszą w świecie literaturą, jakkolwiek rzadko drukujących jej przykłady, wzięto się do Lema, czy (jakby to ujęli – jak zwykle nie najlepiej po polsku – niektórzy czołowi tych pism krytycy) „wzięto się za Lema". Posypały się apoteozy, recenzje prawie na kolanach, ale także i kpinki, tak, tak, nawet i one. Zwłaszcza jedno z czasopism dało w tym względzie prawdziwy popis, wyrywając poszczególne wyznania i sformułowania z kontekstu rozmów Beresia z Lemem, niedawno wypuszczonych na rynek przez Wydawnictwo Literackie z Krakowa. Och, ludzie z tego pisma doskonale umieją stosować taką metodę podszczypywanek i ośmieszania drugich, można by rzec – specjalizują się w niej. Mój Boże, jeśli ktoś inaczej krytykować nie potrafi... Chociaż w przypadku uznanej na całym świecie pozycji polskiego mistrza science fiction, próby ośmieszania i szczypanki nie imają się tej postaci, lecz spływają z niej na tego, który ośmiesza – „znaj proporcję mocium panie". Zresztą wiadomo, że w naszym kraju nikt się od zawistników nie potrafi opędzić. Przecież część naszej „krytyki – nie krytyki" z maniackim, zawistniczym uporem, po dziś dzień, nawet zmarłym wielkościom nie daje spokoju i zażywania zdobytej z trudem (bo u nas nic nie idzie łatwo) powszechnej sławy. Ileż się wybrzydza na Sienkiewicza, a także już i na Żeromskiego oraz na innych, przykłady znane są prawie każdemu, kto choć odrobinę interesuje się naszym życiem literackim. Jakież komplikacje przeżywa wielu, żeby poradzić sobie nie tylko z teraźniejszością, ale także z historią.

A równocześnie przy tych „głębokich" zainteresowaniach wadami (czasem, rzadko – i zaletami) bliźnich, pisarzy i twórców, żywych i umarłych, przy tych namiętnościach, jakie rozpala na przykład postać Lema, jakże mało, jakże ubogo gospodaruje się rodzimą literaturą. Aż się wierzyć nie chce, że taki wielki Sienkiewicz, Prus czy Żeromski drukowali swoje dzieła w gazetach i ani sami się tego nie wstydzili, ani nie budzili swoimi publikacjami w codziennej, niemal brukowej prasie, wstydu macierzystych swych wydawnictw, a działo się to wszystko ku radości zwykłego czytelnika, który za grosze mógł na co dzień obcować z bohaterami najlepszych autorów. Ciekawe, że nie wpływało to absolutnie na pokupność książek, kiedy te same dzieła, które opublikowano w gazetach, ukazywały się w broszurowej czy twardej okładce.

Tymczasem u nas dzisiaj, kiedy oddane do wydawnictw książki polskich autorów na skutek różnych mniej lub bardziej obiektywnych przyczyn skazane są na leżakowanie i to bardzo długie, wieloletnie, nikt się właściwie nie stara, aby treści książek dostawały się od razu do publicznej wiadomości za pomocą środków masowego przekazu. Można by rzec: im więcej tych środków, im bogatsze w stosunku do druku ich możliwości publikatorskie, tym rzadsze są publikacje; pociąg do autarkii, do samodzielnych, odrębnych księstewek czyni zbyt często nasze gazety, radio czy telewizję estradami do występów ich własnych, przez nie wykreowanych twórców. Jest to na pewno jedna z przyczyn zachwiania równowagi nakładowej wielu czasopism, bardzo szkoda, że życie nie rozlicza bezpośrednio w ten sam sposób środków masowego przekazu, przymusowo opłacanych przez tych wszystkich, którzy po prostu mają w domu odbiorniki.

Drażniąca jest też w naszych gazetach druzgocąca przewaga utworów (jeśli się je w ogóle publikuje) zagranicznych nad krajowymi i kryminalnych nad innymi gatunkami pisarstwa.

Metody te zresztą zdają się pokutować także i w pisemkach tworzonych przez różne kluby młodzieżowe, mówią mi redaktorzy tych pism i pisemek, że brakuje im materiałów, że przydałyby się im ciekawe tłumaczenia przede wszystkim. Tam, gdzie można by próbować i eksperymentować, gdzie pieniądz nie powinien odgrywać zasadniczej roli, boć to przecież wydawnictwa amatorskie, tam mimo wszystko biznes przeważa, tam biznes się panoszy. Podobno ceny tych pisemek tak się kształtują, aby dawały one niezłe zyski, a członkowie klubów, a tzw. fanowie niech kupują, niech sobie ciułają na swoje fanziny, niech wymagają dotacji od mam i tatów. Proszę rozejrzeć się wokoło, te wszystkie zjawiska, które w tym orbitowaniu ukazałem w wielkim skrócie, są dokładnie widoczne, one nas otaczają i – tak jest – osaczają.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej) 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam.3982 87.K-69

Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631

Oddano do składu 30 października 1987 r.

Lądowanie LIX

Najpierw dobra wiadomość na ten Nowy Rok: będzie więcej „Fantastyki”, jest szansa na przyrost nakładu naszego pisma. Proszę nas informować, gdzie go brakuje, gdzie by trzeba trochę dorzucić, aby miłośnicy nie potrzebowali prosić się i uga[illegible] I tę informację przekazuję setkom, a nawet tysiącom takich Czytelników jak na przykład **Stanisław Bochnak** z Lublina, **Marek Król** z Gdyni, **Józef Krawczyk** z Gdańska, **Jan Rowczyk** z Krakowa, **Jolanta Glińska** z Lublina. Wszystkich nie wyliczę. Proszę pamiętać o listach z narzekaniami na brak „Fantastyki”. W miejsca, gdzie jej zbyt mało, postaramy się dosłać trochę egzemplarzy. A teraz do krytyki.

Walczyć o przetrwanie

W ciągu pięciu lat wydawania „Fantastyki” jej poziom obniżył się według mnie co najmniej 60 procent. (...) rozumiem, że nadal walczycie o przetrwanie, ale chyba nie tędy droga, aby osiągnąć rzeczywisty sukces.

Andrzej Niestoruk
lekarz weterynarii ze Sławna

Dziękujemy za przemiły list z życzeniami, domyślamy się źródeł inspiracji. Życzymy literatury fachowej, nikogo nie zmuszamy do czytania „Fantastyki”, jeśli się tak nie podoba.

Efekt Waszego anonsu...

... przyniósł pożądany efekt: zdobyłem wszystkie brakujące numery. Oprawiłem sobie nawet powieści z tych numerów. Nadal poszukuję, tym razem książek: Asimova, Ballarda, Boville'a, Clarke'a, Dicka, Le Guin, Harrisona i Poego.

Artur Szumiec,
Worcella 7/9
50-448 WROCŁAW
tel. 44-21-85.

Jestem szczęśliwą posiadaczką...

... wszystkich numerów „Fantastyki” oraz około 600-tomowej biblioteczki SF, z której korzystają wszyscy znajomi czciciele gatunku, a ostatnio nawet mój opierający się fantastyce mąż. Jestem też, a może przede wszystkim instruktorką ZHP. (...) Od siebie chciałabym na pięciolecie życzyć Wam kolosalnych ilości najwspanialszych gatunków papieru, obcokrajowców za złotówki, samych znakomitych prac w trzecim literackim konkursie, sobie zaś od Was – dużo dużo fantasy i aktualniejszych recenzji książkowych. (...) Zdradzę jeszcze, że dzięki Waszej pięcioletniej mądrej polityce przerobiliście mnie, śmiertelnego wroga komiksu, na osobę umiarkowanie komiks doceniającą.

Harcmistrz ***Ewa Jaroszyńska***
z Gdyni-Grabówka



Dziękujemy za dobre słowo, niestety, pierwszy numer, który mógłby zawierać informację o Waszym „złazie”, drogie Druhny i Druhowie, to będzie numer styczniowy, ten, w którym się list ukazuje. Ale ktoś od nas na Wasze zaproszenie, rzecz jasna, mógłby przyjechać na inną imprezę. Czekamy na termin, proszę dzwonić do redakcji celem umówienia się. Zdjęcie zamieszczamy.

Zbieram dzienniki...

... czasopisma, biuletyny oraz materiały o ich historii. Moja kolekcja liczy około 15 tysięcy tytułów z 60 krajów świata. Prośba do Was – przyślijcie kilka numerów, chociażby 2, 3, napiszcie trochę o historii Waszego pisma.

Aleksander Nikołajewicz Szmakow
Skr. pocz. 220
Nowokuznieck-32,
654032 – ZSRR

Przesyłamy dwa okazowe numery. Informujemy jednocześnie, że postaramy się – już się staramy – o zwiększenie możliwości otrzymywania w Kraju Rad naszej „Fantastyki”, na przykład za pomocą prenumeraty. Historia naszego pisma sięga października 1982, wtedy wyszedł pierwszy numer. Zamieszczamy zarówno prozę polską, jak i fantastyczne utwory zagraniczne, w tym wiele radzieckich, takich pisarzy jak Bracia Strugaccy, Kir Bułyczow, Dmitrij Bilenkin i wielu innych. Prowadzimy dział krytyki, drukujemy słownik autorów polskich, od czasu do czasu także wiersze.

Odkupię „Fantastykę”...

... z lat 1982–87 oprócz 1–5, 8–9, 11/84, 3, 6, 12/85 oraz następujące pozycje książkowe: Harrison – „Planeta śmierci”, Lem – „Obłok Magellana”, „Eden”, „Dzienniki gwiazdowe”, Weinfeld – „Władcy czasu”, Oramus – „Senni zwycięzcy”, Wyndham – „Dzień Tryfidów”, Śniegow – „Dalekie szlaki”, Clarke – „Kowboje oceanu”, Tolkien – „Władca Pierścieni”, Bradbury – „K jak Kosmos”, Jefremow – „Mgławica Andromedy”, Asimov – „Koniec wieczności”, Herbert – „Diuna”, Van Vogt – „Wyprawa do gwiazd”, Lengyel – „Druga planeta słońca”, Gunn – Droga do Science Fiction” (I tom).

Piotr Jastrzębski
Czerwonka
62-652 CHODÓW
woj. krośnieńskie

Mam 15 lat...

... na lekcji języka polskiego Pani zaproponowała nam, abyśmy raz w miesiącu zdawali relację z lektury ostatnio przeczytanej. Zacząłem czytać i przynosić na „lekcje lektury” książki fantastyczne, ale Pani uważa, że te książki nic nie dają. Z musu więc zacząłem czytać inne lektury, ale nie zaprzestałem czytania fantastyki. Moją pierwszą książką fantastyczną była „Opowieść o pilocie Pirxie”...

Grzegorz Żułtaszek *z Wielunia*

Pani zapatrzona jest widocznie w „realizację” programów w starym stylu, wymaganych przez kuratoria programów, które niestety, pisałem już o tym, nie uwzględniają w doborze lektur najbardziej młodzież interesujących. Ciekawe, że w dodatku nie spodobał się Pani sam Stanisław Lem, pisarz sławny na całym świecie. W programach szkolnych – fantastyki na lekarstwo, za to – obok wartościowej klasyki – mnóstwo za bardzo „cegieł” pseudowspółczesnych. Niemniej radzimy słuchać Pani, a lekturę Lema i innych fantastów traktować nadobowiązkowo. Nie ma innej rady.

Komu, komu...

Mają interesy w dziedzinie wymiany książek i czasopism następujący nasi Czytelnicy: **Krzysztof Sobczak,** Dworcowa 27/12, 78-100 KOŁOBRZEG, **Chris Oliwa,** 14 Jersey RD, STRATHFIELD 2135, Sydney N.S.W., Australia, **Justyna Wyborska,** Wawelska 45/33, 44-200 RYBNIK.

Do następnego Lądowania!

Redaktor



RĘCE PRZY SOBIE

Robert Sheckley

(Hands off)

Pokładowy detektor masy rozbłysnął na różowo, potem na czerwono. Agee przysypiał już nad deską rozdzielczą, czekając, aż Victor upora się z obiadem. Teraz gwałtownie podniósł wzrok.

– Planeta się zbliża! – zawołał, przekrzykując syk uciekającego powietrza.

Kapitan Barnett kiwnął głową. Skończył właśnie modelować gorącą łatę, którą z głośnym plaśnięciem przylepił do zniszczonego kadłuba „Niezłomnego". Świst uchodzącego powietrza przycichł do poziomu cichego jęku, ale nie ustał całkowicie. Nigdy nie ustawał.

Kiedy Barnett podszedł do konsolety, planetę było już widać, ledwo ledwo, spoza krawędzi małego czerwonego słońca. Jarzyła się zielono na tle czarnej nocy kosmosu i obu mężczyznom podsunęła tę samą myśl.

Barnett ujął ową myśl w słowa.

– Ciekawe, czy znalazłoby się tam coś do wzięcia – powiedział marszcząc czoło.

Agee, na znak nadziei, uniósł białą brew. Patrzyli na przyrządy, które właśnie zaczynały rejestrować.

Nigdy by nie wytropili tej planety, gdyby skierowali „Niezłomnego" na szlaki południowogalaktyczne. Ale na tamtej trasie namnożyło się Policji Konfederacyjnej, więc Barnett wolał ją omijać wielkim łukiem.

„Niezłomny" był zarejestrowany jako handlowiec – chociaż cały przewożony przez niego ładunek sprowa-

dział się do kilku butelek silnie żrącego kwasu, używanego do otwierania sejfów i trzech średniej wielkości bomb atomowych. Władze niechętnym okiem patrzyły na tego rodzaju dobra i stale usiłowały przymknąć załogę na podstawie jakiegoś przedawnionego oskarżenia – o morderstwo na Lunie, o kradzież na Omedze, o napad z włamaniem na Samii II. Były to wszystko stare, prawie zapomniane przestępstwa, które policja z maniackim uporem próbowała rozdmuchać na nowo.

Co gorsza, nowe policyjne krążowniki przewyższały „Niezłomnego" pod względem uzbrojenia. Dlatego wybrali trasę okrężną do Nowych Aten, gdzie właśnie rozpoczął się wielki strajk uranowy.

– Z wyglądu nic specjalnego – skomentował Agee, krytycznym okiem szacując wskaźniki.

– Tak czy owak, możemy się koło niej przejechać – powiedział – Barnett.

Odczyty były mało ciekawe. Ukazywały planetę mniejszą niż Ziemia, nieobecną na mapach, i pozbawioną jakiejkolwiek wartości handlowej poza atmosferą tlenową.

Kiedy mijali planetę, czujniki metali ciężkich gwałtownie ożyły.

– Tam jest materiał! – Agee błyskawicznie interpretował liczne odczyty. – Czysty. Bardzo czysty – i to na powierzchni!

Spojrzał na Barnetta, który skinął głową. Pojazd skręcił gwałtownie w stronę planety.

Z zaplecza statku nadszedł Victor, w malutkiej wełnianej czapeczce wciśniętej na wielką ogoloną głowę. Stanął za Barnettem i patrzył mu przez ramię, jak Agee sprowadza pojazd w dół po torze ciasnej spirali. Z odległości pół mili od powierzchni planety dostrzegli swoje złoża ciężkiego metalu.

Był to statek kosmiczny, spoczywający na ogonie pośrodku naturalnej polany.

– A to ciekawe – zauważył Barnett. Gestem nakazał Ageemu zejść niżej.

Agee z niebywałą zręcznością osadził pojazd na ziemi. Dawno już przekroczył wiek emerytalny dla pilotów dowodzących, co jednak wcale nie osłabiło jego koordynacji. Barnett, który znalazł go bez grosza i dachu nad głową, zatrudnił Agee'ego bez wahania. Kapitan zawsze chętnie pomagał bliźniemu, jeżeli było mu to na rękę i stwarzało szansę zysku. On i Agee mieli identyczny stosunek do własności prywatnej, chociaż czasami różnili się co do metod jej pozyskiwania. Agee wolał pewniaki. Barnett, przeciwnie, miał w sobie więcej odwagi niż to było wskazane u przedstawiciela stosunkowo delikatnego gatunku jakim był Homo sapiens.

Zbliżywszy się do powierzchni planety, stwierdzili, że obcy statek jest większy niż „Niezłomny", a do tego błyszczący, lśniący nowością. Kształt pokrywy był im nieznany, podobnie jak oznakowanie.

– Widziałeś kiedy coś podobnego? – spytał Barnett.

Agee skonsultował zasoby swojej przepastnej pamięci.

– Trochę przypomina robotę cephańską, tyle że ich statki nie są takie przysadziste. Solidnie zboczyliśmy z kursu. Ten statek może w ogóle nie być z Konfederacji.

Victor gapił się na statek z rozdziawioną gębą. Westchnął głośno.

– Przydałby nam się taki stateczek, co, kapitanie?

Nagły uśmiech Barnetta był jak pęknięcie w granicie.

– Victor! – powiedział Barnett. – W prostocie swojej dotknąłeś sedna sprawy. Istotnie, przyda nam się taki statek. Chodźmy tam i pogadajmy z jego szefem.

Przed dopięciem pasa, Victor upewnił się, że lodomiotacze mają pełny ładunek.

Już stojąc na ziemi, posłali w górę pomarańczowozieloną racę sygnalizacyjną, ale nie otrzymali odpowiedzi z obcego statku. Atmosfera planety chyba nadawała się do oddychania, temperatura wynosiła 72 stopnie Fahrenheita. Po odczekaniu paru minut wymaszerowali z pojazdu, trzymając lodomiotacze w pogotowiu pod osłoną kurtek.

Wszyscy trzej przemierzali dzielącą statki odległość z wystudiowanymi uśmieszkami na twarzach.

Z bliska statek był wspaniały. Jego połyskliwa srebrzystoszara powłoka była prawie nietknięta przez meteoryty. Wejście było otwarte, a po stłumionym mruczeniu poznali, że generatory właśnie się ładują.

– Jest tam kto?! – huknął Victor w czeluść włazu. Jego głos poniósł się głuchym echem po całym statku. Odpowiedzi nie było – tylko cichy szum generatorów i szelest traw na równinie.

– Gdzie oni się podziali, jak myślicie? – zapytał Agee.

– Pewnie wyszli zaczerpnąć świeżego powietrza – powiedział Barnett. – Na pewno nie spodziewali się gości.

Victor potulnie usiadł na ziemi. Barnett i Agee buszowali wokół podstawy statku, zachwycając się jego wspaniałymi dyszami.

– Dałbyś radę? Jak myślisz? – zapytał Barnett.

– Czemu nie – powiedział Agee. – Najważniejsze, że napęd jest konwencjonalny. Mechanizmy pomocnicze to drobiazg – istoty oddychające tlenem stosują podobne systemy kontroli napędu. Na pewno się połapię, to tylko kwestia czasu.

– Ktoś idzie! – zawołał Victor.

Rzucili się do włazu. O trzysta jardów od statku zaczynał się wystrzępiony las. Jakaś figura wyłoniła się spomiędzy drzew i zmierzała w ich stronę.

Agee i Victor równocześnie wydobyli miotacze.

Lornetka Barnetta pozwoliła określić figurę jako równoległobok mierzący około dwóch stóp wysokości na jedną stopę szerokości. Grubość obcego nie sięgała dwóch cali. Głowy nie miał.

Barnett zmarszczył brwi. Nigdy jeszcze nie widział czworokąta płynącego w powietrzu nad wysoką trawą.

Kiedy wyostrzał lornetkę, okazało się, że obcy ma w sobie coś z humanoida. Ściślej rzecz ujmując, miał cztery kończyny. Dwóch z nich, prawie niewidocznych przez trawę, używał do chodzenia, podczas gdy dwie pozostałe sterczały sztywno w przestrzeń. Pośrodku postaci Barnett z trudem wyróżnił maleńkie oczy i usta. Stworzenie nie miało na sobie żadnego ubrania ani kasku.

– Ciekawy typ urody – mruknął Agee, ustawiając aparaturę miotacza. – A może on jest sam?

– Miejmy nadzieję – powiedział Barnett, również wyciągając miotacz.

– Odległość około dwa tysiące jardów – Agee wycelował broń, po czym podniósł wzrok. – A może pan kapitan życzył sobie najpierw z nim porozmawiać?

– Co tu gadać – uśmiechnął się leniwie Barnett. – Ale dajmy mu podejść bliżej. Szkoda by było spudłować.

Agee pokiwał głową i poprowadził obcego w oku celownika.

Kalen zatrzymał się na tym opuszczonym małym świecie z nadzieją zdobycia, metodą wysadzenia w powietrze, kilku ton erolu – minerału wysoko cenionego przez Mabogian. Nie miał szczęścia. Niezużyta bomba tetnitowa nadal spoczywała w jego cielesnej sa-

kiewce, w towarzystwie zabłąkanego orzecha kerla. Kalen pomyślał, że wróci na Mabog z balastem zamiast ładunku.

Trudno, mówił sobie wynurzając się z lasu, może następnym razem.

Widok chudego, upstrzonego łatami statku kosmicznego przy jego własnym przyprawił Kalena o szok. Najmniej ze wszystkiego spodziewał się znaleźć na tym światku inną żywą istotę.

Tubylcy w dodatku stali przed jego włazem! Kalen od razu dostrzegł, że jeżeli chodzi o kształt, są z grubsza mabogijni. W Unii Mabogijskiej istniała rasa bardzo do nich podobna, tyle że budująca zupełnie inne statki. Intuicja podszepnęła mu, że mogą to być przedstawiciele tej wielkiej cywilizacji z peryferiów Galaktyki, o której od dawna już chodziły plotki.

Dziwna rzecz: obcy się nie poruszali. Dlaczego nie wychodzą na powitanie? Wiedział, że go zauważyli, ponieważ wszyscy trzej wskazywali w jego kierunku.

Przyspieszył kroku, uświadamiając sobie, że nic nie wie o ich obyczajach. Miał tylko nadzieję, że nie są zwolennikami zbyt rozwlekłych ceremonii. Już po godzinie spędzonej na tym wrogim świecie czuł się zmęczony. Był głodny, rozpaczliwie potrzebował prysznica...

Coś intensywnie zimnego rzuciło nim do tyłu. Rozejrzał się czujnie: czyżby to była jakaś nieznana cecha planety?

Ponownie ruszył do przodu. Następny pocisk też trafił go celnie, zamrażając zewnętrzną warstwę jego powłoki.

Sprawa wyglądała poważnie. Mabogianie należeli do najsilniejszych form żywych w Galaktyce, ale nawet ich odporność miała swoje granice. Kalen rozejrzał się ponownie, szukając źródła kłopotów.

To ci obcy – s t r z e l a l i do niego!

Przez chwilę jego ośrodki myślowe odmawiały przyjęcia dowodu zmysłów. Kalen wiedział, co to jest morderstwo. Oniemiały ze zgrozy, bywał świadkiem tej perwersji wśród niektórych niskich form zwierzęcych. Widywał też rejestry odchyleń psychicznych, które dokumentowały każdy przypadek morderstwa z premedytacją, jaki miał miejsce od początku historii Mabogu.

Ale żeby coś takiego zdarzyło się jemu osobiście! Kalen nie był w stanie w to uwierzyć.

Trafił go kolejny ładunek. Kalen stał bez ruchu, próbując przekonać samego siebie, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Nie mógł pojąć, że stworzenia obdarzone zmysłem współdziałania wystarczającym do prowadzenia statku kosmicznego, potrafią być jednocześnie zdolne do morderstwa.

Przecież oni go nawet nie znali!

Kiedy było już prawie za późno, Kalen zrobił w tył zwrot i pognał do lasu. Wszyscy trzej obcy strzelali za nim jednocześnie, toteż trawa wokół Kalena chrzęściła i bielała od szronu, a powierzchnia jego skóry zlodowaciała całkowicie. Zimno było tym czynnikiem, do którego organizm mabogiański nie był szczególnie przystosowany. Chłód zaczynał się wdzierać do organów wewnętrznych Kalena.

Mimo to, nadal nie mógł uwierzyć.

Dopadł lasu, ale zanim skrył się za drzewo, dosięgnął go podwójny atak. Poczuł, jak cały jego system wewnętrzny rozpaczliwie stara się przywrócić organizmowi ciepło, a w chwilę potem ze szczerym żalem poddał się ciemności.

– Jakiś głupi ten obcy – zauważył Agee, chowając miotacz do kabury.

– Głupi i silny – dodał Barnett. – Ale żaden tlenowiec dużo tego nie wytrzyma – dumnie wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał srebrnoszary kadłub statku. – Ochrzcimy go „Niezłomny II".

– Hip hip hura na cześć kapitana! – krzyknął entuzjastycznie Victor.

– Oszczędzaj płuca – pouczył go Barnett. – Jeszcze ci się przydadzą. – Popatrzył w górę. – Mamy jeszcze ze cztery godziny światła. Victor, przynieś żywność, tlen i narzędzia z „Niezłomnego I" i rozładuj jego stosy. Kiedyś tu wrócimy i weźmiemy staruszka do domu. Ale na razie chcę odpalić przed zachodem słońca.

Victor oddalił się pospiesznie. Barnett i Agee weszli na pokład statku.

Tylną połowę „Niezłomnego II" zapełniały generatory, silniki, transformatory, urządzenia pomocnicze, zbiorniki paliwa i powietrza. Obok mieściła się wielka ładownia, zajmująca niemal resztę wnętrza. Pełno w niej było orzechów rozmaitych kształtów i kolorów, których średnica wahała się od dwóch cali do mniej więcej podwójnej średnicy głowy dorosłego mężczyzny. Pozostawały dwie kabinki w dziobie statku.

Pierwsza powinna była służyć za kabinę załogi – jako jedyny kawałek wolnego miejsca. Była jednak kompletnie pusta: ani kozetek deceleracyjnych, ani stołów czy krzeseł – tylko wypolerowana metalowa podłoga. W ścianach i w suficie widniał szereg otworów, których funkcja na pierwszy rzut oka nie była oczywista.

Z tym pomieszczeniem połączona była kabina pilota, bardzo mała, ledwo mieszcząca jedną osobę. Deska rozdzielcza pod kopułą była szczelnie inkrustowana przyrządzami.

– W twoje ręce perswaduję – powiedział Barnett do Agee'ego. – Zobaczymy, co potrafisz.

Agee kiwnął głową i rozejrzał się za stołkiem, po czym ukucnął przed konsoletą i zaczął ją uważnie studiować.

W ciągu paru godzin Victor przeniósł cały ich dobytek na „Niezłomnego II". Agee do tego czasu niczego jeszcze nie dotknął. Po rozmiarach, kolorach, kształtach i usytuowaniu poszczególnych urządzeń próbował odgadnąć, co kontroluje co. Nie było to łatwe, nawet przy założeniu podobieństwa systemów nerwowych i wzorców rozumowania. Czy pomocniczy system nastawczy biegnie od lewej do prawej? Jeżeli nie, Agee musiałby oduczyć się dotychczasowych nawyków. Czy dla projektantów tego statku kolor czerwony oznaczał zagrożenie? Jeżeli tak, to duży przycisk mógłby służyć do obniżania poziomu paliwa. Ale kolor czerwony mógł z równym powodzeniem oznaczać gorące paliwo, w którym to przypadku przycisk kontrolowałby zapewne nadmierny przepływ energii.

W końcu Agee doszedł do wniosku, że zadaniem przycisku jest przeładować stosy w razie wrogiego ataku.

Mając to na uwadze, Agee dalej badał przyrządy. Nie przejmował się zanadto tym, czego nie rozumiał. Po pierwsze, statki kosmiczne były to twarde sztuki, na dobrą sprawę niezniszczalne od wewnątrz. Po drugie, miał wrażenie, że złapał system.

Barnett wetknął głowę do kabiny. Tuż za jego plecami stał Victor.

– Gotów?

Agee obrzucił spojrzeniem całą konsoletę.

– Chyba tak – lekko dotknął jednego z pokręteł. – To powinno kontrolować śluzy.

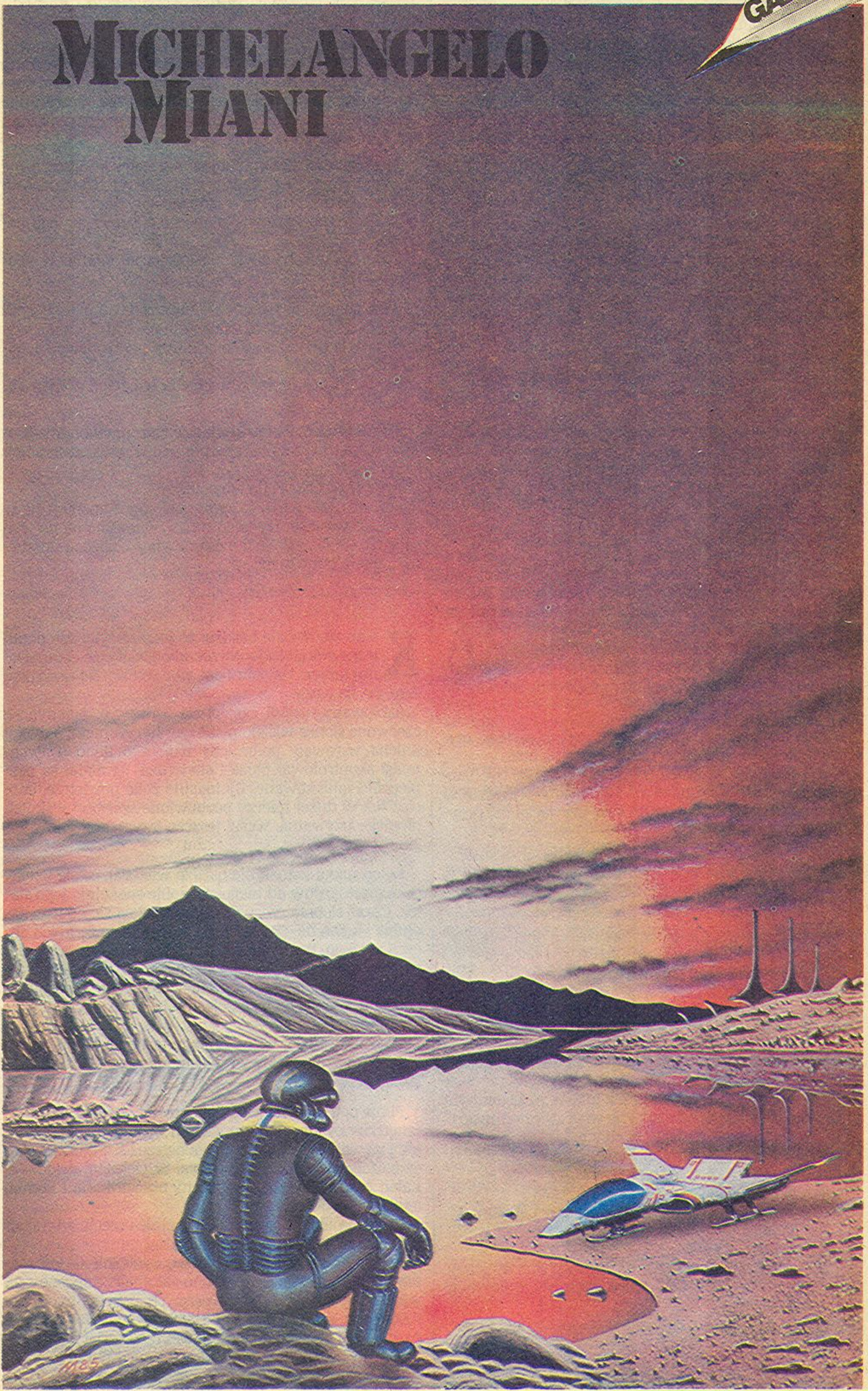
Przekręcił gałkę. Victor i Barnett zamarli w oczekiwaniu, pocąc się obficie w chłodnym pomieszczeniu.

Usłyszeli gładki świst naoliwionego metalu. Śluzy zatrzasnęły się.

Agee, rozpromieniony, dmuchnął w koniuszki palców – na szczęście.

– To by był system wymiany powietrza – oświadczył. Włączył przycisk.

Z sufitu zaczął się sączyć żółty dym.


MICHELANGELO
MIANI



– System zanieczyszczony – mamrotał Agee, kręcąc gałką. Victor zaniósł się kaszlem.
– Wyłącz to – powiedział Barnett.
Dym walił gęstymi smugami, momentalnie wypełniając oba pomieszczenia.
– Wyłącz to!
– Kiedy nic nie widzę! – Agee po omacku nie trafił we właściwy przycisk i zamiast niego wcisnął guzik pod spodem. Generatory zaczęły z miejsca wściekle zawodzić. Błękitne ogniki przemknęły wzdłuż konsolety i wskoczyły na ścianę.

Agee, zataczając się, odstąpił od konsolety i padł na ziemię. Victor już był przy drzwiach ładowni, próbując je wywalić pięściami. Barnett zakrył dłonią usta i rzucił się do przyrządów. Na ślepo szukał wyłącznika, czując, jak cały statek wokół niego wiruje do utraty tchu.
Victor runął na ziemię, nie przestając bębnić w drzwi ładowni zwiotczałymi pięściami.
Barnett na oślep dźgnął konsoletę.
Generatory umilkły w jednej chwili. Następnie Barnett poczuł na twarzy zimny powiew. Otarł łzawiące oczy i spojrzał w górę.
Przypadkowo trafiony przycisk zamknął ujście w suficie, przerywając dopływ żółtego gazu. Barnett przez przypadek otworzył śluzy i zimne nocne powietrze planety już wypierało gaz ze statku. Wkrótce można było oddychać.

Victor niepewnie gramolił się na nogi, ale Agee nie dawał znaku życia. Barnett zrobił staremu pilotowi sztuczne oddychanie, klnąc przy tym przez cały czas pod nosem. Wreszcie powieki Agee'ego zatrzepotały, a jego klatka piersiowa zaczęła wznosić się i opadać. W chwilę potem usiadł i tylko kręcił głową.
– Co to było za świństwo? – zapytał Victor.
– Obawiam się – powiedział Barnett – że nasz znajomek uważał to za świetne powietrze do oddychania.
Agee dalej kręcił głową.

– Niemożliwe, kapitanie. Przecież był w świecie otoczonym tlenem, chodził po nim bez kasku, bez...
– Upodobania dotyczące powietrza potrafią być bardzo różne – zauważył Barnett. – Spójrzmy prawdzie w oczy: pod względem fizycznym nasz przyjaciel nie przypominał nas ani trochę.
– To nie za dobrze – podsumował Agee.
Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia. W następnej chwili ciszy dobiegł ich niewyraźny, niepokojący odgłos.

– Co to było? – Victor skoczył na równe nogi, wyszarpując miotacz z kabury.
– Spokój! – wrzasnął Barnett.
Nasłuchiwali. Im dłużej Barnett próbował zidentyfikować odgłos, tym bardziej czuł, że każdy włosek na karku staje mu dęba.

Odgłos dobiegał z daleka. Jakby metal uderzał w twardy obiekt niemetaliczny.
Trzej mężczyźni wyjrzeli przez luk. W pożegnalnym blasku słońca zobaczyli, że główny właz „Niezłomnego I" jest otwarty. Odgłos dobiegał ze statku.
– Niemożliwe – powiedział Agee. – Lodomiotacze...
– Nie zabiły go – dokończył Barnett.
– To źle – wystękał Agee. – To bardzo źle.
Victor dalej dzierżył swój lodomiotacz w pogotowiu.
– Kapitanie, a może ja bym się tam przespacerował...
Barnett pokręcił głową.
– Nie dopuści cię bliżej niż na dziesięć stóp do śluzy. Nie, daj pomyśleć. Było tam coś na pokładzie, czym mógł się posłużyć? Stosy?

– Ja mam łącza, kapitanie – powiedział Victor.
– Dobrze. Wobec tego nie ma tam nic, co...
– Kwas – wtrącił Agee. – Bardzo mocny. Ale nie przypuszczam, żeby mógł nim wiele zdziałać.

– Nic a nic – przytaknął Barnett. – Jesteśmy na tym statku i nie ruszymy się z niego. Na początek oderwijmy go od ziemi.
Agee patrzył na deskę rozdzielczą. Jeszcze pół godziny temu prawie ją rozumiał. Teraz wydawała mu się chytrą, śmiercionośną pułapką – potrzaskiem, którego niewidoczne druciki prowadzą nieuchronnie do zniszczenia.

Pułapka była niezamierzona. Ale statek kosmiczny był siłą rzeczy machiną przeznaczoną nie tylko do podróżowania, ale i do życia. Przyrządy musiały starać się odtwarzać naturalne środowisko obcego, zaspokajać jego potrzeby.
Dla nich trzech mogło się to okazać fatalne w skutkach.

– Szkoda, że nie wiemy z jakiego rodzaju planety gość pochodzi – odezwał się żałośnie Agee. Gdyby znali warunki naturalne obcego, potrafiliby przewidzieć zachowania jego statku.
Wiedzieli tylko tyle, że oddycha trującym żółtym gazem.

– Dobrze nam idzie – oświadczył bez przekonania Barnett. – Znajdź tylko przycisk napędu, a resztę zostawimy w spokoju.
Agee odwrócił się do konsolety.
Barnett ciekaw był, co zamierza obcy. Zapatrzył się w sylwetkę swojego dawnego statku, widoczną na tle wieczornego nieba i słuchał niesamowitego odgłosu uderzenia metalu o nie-metal.

Kalen zdziwił się bardzo, że jeszcze żyje. Ale popularne wśród ludu porzekadło głosiło, że „Mabogianin umiera natychmiast, albo wcale". Na razie okazało się, że wcale.
Skołowany, usiadł i oparł się o drzewo. Pojedyncze czerwone słońce wisiało nisko nad horyzontem, a wokół Kalena wirowały podmuchy trującego tlenu. Natychmiast skontrolował płuca i stwierdził, że nadal są bezpiecznie zablokowane. Życiodajne żółte powietrze, chociaż już w dużej mierze pozbawione wartości wskutek długiego używania, wciąż jeszcze trzymało go przy życiu.

Kalen nadal jednak nie bardzo wiedział, co się dzieje. O kilkaset jardów od niego stał sobie spokojnie jego statek. Coraz słabsza czerwona łuna ślizgała się po jego kadłubie i Kalen na chwilę uległ złudzeniu, że żadnych obcych nie było. Wymyślił sobie całą sytuację, a teraz wróci na statek...
Zobaczył, jak jeden z obcych, obładowany rozmaitymi dobrami, wsiada do jego pojazdu. Po krótkiej chwili śluzy się zamknęły.
To była prawda, wszystko było prawdą. Kalen wykonał ostry zwrot myślowy w stronę niewesołej rzeczywistości.

Pilnie potrzebował jedzenia i powietrza. Jego skóra zewnętrzna była sucha i popękana; wymagała oczyszczenia i ożywienia. A żywność, powietrze i środki czyszczące zostały na statku. Przy sobie, w cielesnej sakiewce, Kalen miał tylko jeden czerwony orzech kerla i bombę tetnitową.
Gdyby udało mu się rozłupać i zjeść orzech, odzyskałby nieco sił. Ale jak go rozłupać?
Był przerażony tym, jak dalece uzależnił się od maszyn. I tym, że teraz będzie musiał znaleźć sposoby na wykonanie czynności najprostszych, zwyczajnych, codziennych – tych, które jego statek wykonywał automatycznie, a o których on sam nawet nie musiał myśleć.
Kalen zauważył, że obcy najwyraźniej porzucili swój statek. Dlaczego? To nie było ważne. Ważne było to, że jeżeli zostanie na równinie, umrze przed nastaniem

dnia. Jedyna jego szansa na przeżycie leżała we wnętrzu obcego statku.

Wolno prześlizgiwał się wśród traw, przystając tylko w chwilach, gdy atakowały go zawroty głowy. Starał się nie tracić z oczu swojego pojazdu. Jeżeli obcy zaczną go teraz ścigać – wszystko stracone. Ale nic takiego nie nastąpiło. Podkradłszy się do statku, co trwało wieczność, Kalen wszedł do środka.

Nadchodził wieczór. Ale nawet w półmroku dało się zauważyć, że statek jest stary. Ściany, od początku za cienkie, miały łatę na łacie. Wszystko świadczyło o długoletniej, intensywnej eksploatacji.

Teraz rozumiał, dlaczego tak im zależało na jego statku.

Zaatakowała go kolejna fala słabości. W ten sposób organizm Kalena domagał się natychmiastowej atencji.

Problemem numer jeden wydawało się jedzenie. Kalen wyłuskał z sakwy orzech kerla. Orzech był okrągły, mierzył około czterech cali średnicy, przy czym grubość łupiny wynosiła dwa cale. Orzechy tego gatunku były podstawowym składnikiem diety mabogiańskiego kosmonauty. Stanowiły koncentrat energii i dawały się przechowywać praktycznie w nieskończoność – niełuskane, rzecz jasna.

Kalen położył orzech przy ścianie, znalazł stalowy pręt i z całej siły uderzył prętem w orzech. Przy zetknięciu z orzechem, pręt powodował głuchy odgłos, jak z wielkiego bębna. Orzech pozostał nietknięty.

Kalen ciekaw był, czy obcy usłyszeli odgłos. Musiał się liczyć z ryzykiem. Przymierzył się i ponownie zaatakował orzech. Po kwadransie, on sam padał z wyczerpania, a pręt zgięty był niemal wpół.

Orzech nie odniósł szwanku.

Kalen zrozumiał, że nie da rady rozłupać orzecha bez Zgniatacza – standardowego wyposażenia wszystkich mabogiańskich statków. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że można próbować innych metod łupania orzechów.

Był to przerażający dowód jego bezradności.

Uniósł łom do następnego uderzenia i stwierdził, że jego kończyny sztywnieją. Rzucił pręt i dokonał oględzin własnej osoby.

Zmrożona powłoka zewnętrzna hamowała ruchy. Skóra twardniała powoli w nieprzenikalną tkankę rogową. Z końcem procesu twardnienia, Kalen zostałby unieruchomiony. Zamrożony w jednej pozie, siedziałby tak lub stał, dopóki nie udusiłby się na śmierć.

Kalen z trudem odegnał falę rozpaczy i zmusił się do myślenia. Musiał bezzwłocznie zdjąć starą skórę. To było ważniejsze niż jedzenie. Na pokładzie własnego statku obmyłby ją i namoczył, zmiękczył i w końcu wykurował. Wątpił jednak, czy obcy wozili z sobą odpowiednie środki czyszczące.

Drugim wyjściem było zedrzeć z siebie zewnętrzną powłokę. Kolejna warstwa skóry przez parę dni byłaby bardzo delikatna, ale przynajmniej nie krępowałaby ruchów.

Na sztywnych kończynach udał się w poszukiwaniu Rozbieraka. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że obcy na pewno nie będą mieli nawet tego podstawowego urządzenia. Znów zdany był wyłącznie na siebie.

Podniósł stalowy łom, wygięty w hak, i jego czubek wetknął pod fałd skóry. Z całej siły szarpnął w górę.

Skóra nie poddawała się.

Kalen wcisnął się między generator a ścianę i inaczej zamocował hak. Zbyt krótkie ramiona nie pozwoliły mu jednak zastosować techniki dźwigni i twarda skóra uparcie trzymała się na ciele.

Wypróbował jeszcze z dziesięć innych pozycji – bez powodzenia. Pozbawiony pomocy mechanicznej, nie mógł utrzymać się dość mocno w jednym miejscu.

Zniechęcony, rzucił łom. Nic nie mógł zrobić, absolutnie nic. I nagle przypomniał sobie o bombie tetnitowej w cielesnej sakwie.

Prymitywna część jego umysłu, której istnienia nigdy przedtem nie podejrzewał, podszeptywała, że jest jedno proste wyjście z sytuacji. Kalen mógł podrzucić bombę pod własny statek, korzystając z nieuwagi obcych. Słaby ładunek nie wyrządziłby statkowi większej szkody, tylko wyrzuciłby go w górę na wysokość dwudziestu, może trzydziestu stóp.

Obcy jednak niewątpliwie ponieśliby śmierć.

Kalen poczuł grozę. Jak mógł o czymś takim pomyśleć? Etyka Mabogian, wszczepiona głęboko w samą tkankę jego istnienia, zabraniała odbierania życia istocie inteligentnej, bez względu na okoliczności. Bez względu na wszelkie okoliczności.

– Ale czy to nie będzie usprawiedliwione? – szeptała prymitywna część jego umysłu. – Ci obcy są chorzy. Oddałbyś przysługę wszechświatu pozbywając się ich, a przy okazji tylko pomógłbyś sam sobie. Nie myśl o tym jako o morderstwie. Uznaj to za eksterminację.

Kalen wyjął bombę z sakiewki i obejrzał ją, po czym pospiesznie schował z powrotem.

– Nie! – powiedział sam do siebie, bez wielkiego przekonania.

Nie chciał już więcej myśleć. Na zmęczonych, niemal całkiem sztywnych kończynach, zaczął przeszukiwać obcy statek, rozglądając się za czymś, co uratowałoby mu życie.

Agee siedział w kucki w kabinie pilota, ze znużeniem znacząc przyciski niezmywalnym ołówkiem. Czuł ból w płucach; pracował całą noc. Teraz na zewnątrz ponuro szarzał świt i chłodny wiatr smagał kadłub „Niezłomnego II". Statek miał już oświetlenie, ale nie miał ogrzewania, ponieważ Agee bał się dotknąć regulatora temperatury.

Victor wszedł do pomieszczenia załogi, zataczając się pod ciężarem wielkiej skrzyni.

– A Barnett? – zawołał Agee.

– Idzie – odpowiedział Victor.

Kapitan kazał cały sprzęt składać na przodzie statku, gdzie byłby łatwo dostępny. Pomieszczenie załogi było jednak nieduże i prawie w całości już zastawione.

Rozglądając się za kawałkiem wolnego miejsca pod skrzynię, Victor zauważył drzwi w jednej ścianie. Wcisnął widniejący w nich guzik – drzwi gładko podjechały w górę i schowały się w suficie, ukazując pokoik wielkości szafy. Victor uznał, że będzie to świetny magazyn.

Nie zważając na okruchy czerwonych łupin walające się po podłodze, wepchnął skrzynię do środka.

Sufit pokoiku zaczął się momentalnie opuszczać.

Victor ryknął, aż się poniosło po całym statku. Podskoczył – i wyrżnął głową w sufit. Padł na twarz, oniemiały ze zdziwienia.

Agee wypadł z kabiny pilota, a i Barnett nadbiegł do nich sprintem. Barnett złapał Victora za nogę, chcąc go wyciągnąć ze schowka, ale Victor był ciężki, a kapitan ślizgał się po gładkim metalu posadzki.

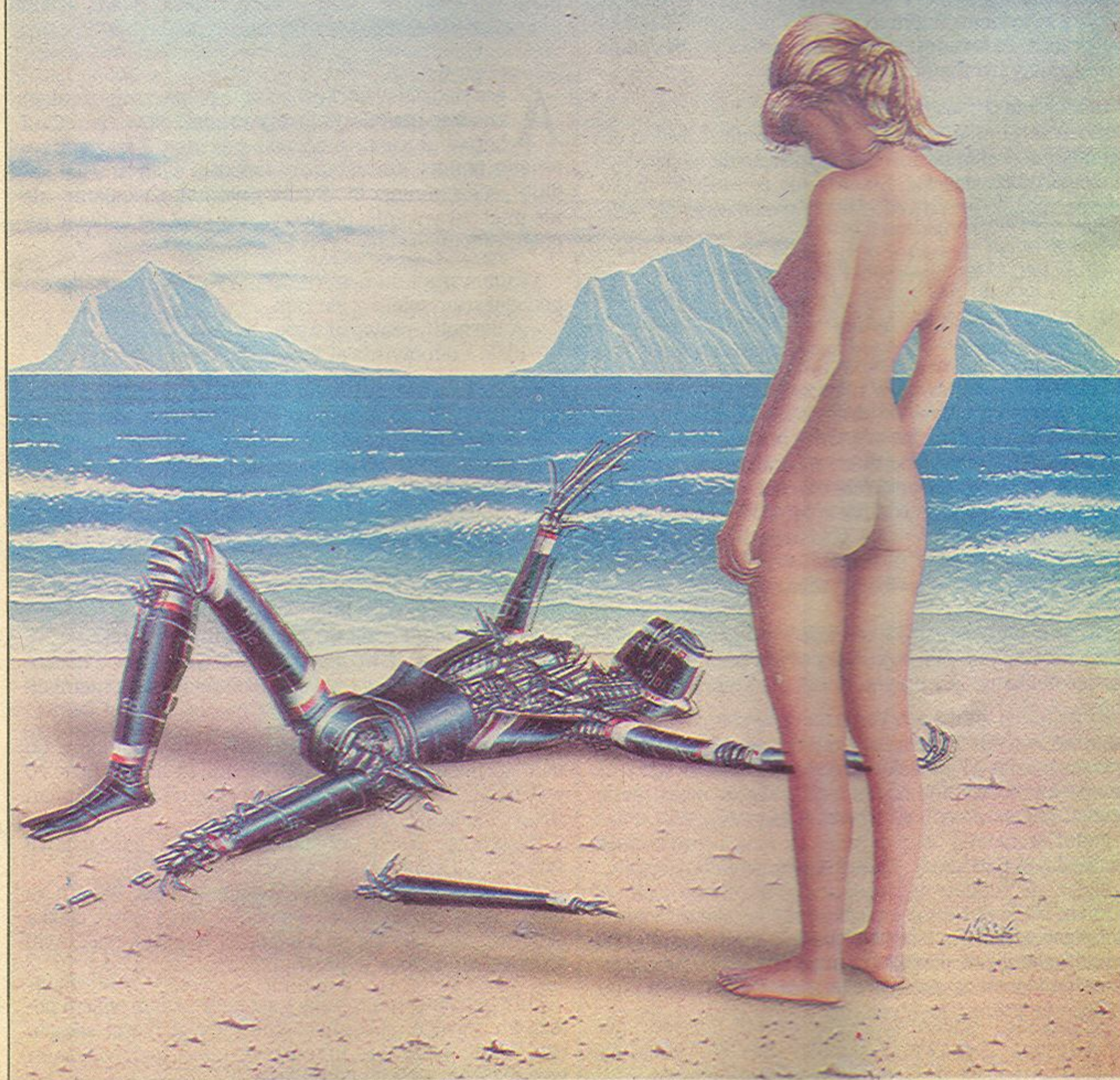
Wykazując rzadką przytomność umysłu, Agee ustawił skrzynię na sztorc. Sufit zatrzymał się na niej.

Barnett i Agee zaczęli we dwóch szarpać Victora za nogi. Udało im się go wyciągnąć w samą porę: ciężka skrzynia rozpękła się na kawałki, a w następnej chwili zmiażdżona została w proch.

Sufit pokoiku, opuszczający się na lśniącym olejem potężnym sztyfcie, sprasował kufer do grubości sześciu cali. Dokonawszy tego, urządzenie mlasnęło dźwięcznie i bezszelestnie wróciło na miejsce.



MICHELANGELO MIANI



Victor usiadł, masując głowę.

– Kapitanie – odezwał się błagalnym tonem. – Nie moglibyśmy wrócić na nasz statek?

Agee też miał swoje wątpliwości co do całego przedsięwzięcia. Ogarnął wzrokiem złowieszczy pokoik, który na powrót przypominał szafę z okruchami czerwonych skorup na podłodze.

– Jak słowo daję, to jakaś pułapka – odezwał się strapiony. – Może Victor ma rację.

– Chcesz zostawić taki statek? – zdumiał się Barnett.

Agee skrzywił się niewyraźnie i kiwnął głową.

– Najgorsze – powiedział, nie patrząc na Barnetta – jest to, że nie wiemy, z czym on za chwilę wyskoczy. Za duże ryzyko, kapitanie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, z czego byś rezygnował? – zbeształ go Barnett. – Sam kadłub wart jest majątek. Oglądałeś silniki? Nie ma siły po tej stronie Ziemi zdolnej powstrzymać je maszynerię. Potrafi przewiercić planetę na wylot i wyjść po drugiej stronie bez jednego draśnięcia na lakierze. A ty chcesz ją zostawić!

– Nie będzie tyle warta, jak nas pozabija – zauważył Agee.

Victor entuzjastycznie pokiwał głową.

Barnett wytrzeszczył na nich oczy.

– Słuchajcie mnie uważnie – powiedział. – Nie zostawimy tego statku. To nie jest żadna pułapka. To pojazd obcych, wyposażony w obcą aparaturę. Wystarczy, żebyśmy nie ruszali czego nie trzeba do momentu lądowania. Zrozumiano?

Agee miał ochotę wypowiedzieć się na temat szaf, które zamieniają się w prasy hydrauliczne. Nie wydawało mu się to zbyt obiecującym sygnałem na przyszłość. Ale spojrzał na minę Barnetta i postanowił nie zabierać głosu.

– Poznaczyłeś wszystkie przyrządy?

– Jeszcze kilka mi zostało – powiedział Agee.

– W porządku. Skończ i tylko tych będziemy dotykać. Jeżeli resztę maszyny pozostawimy w spokoju, to i ona nas nie ruszy. Musimy tylko trzymać ręce przy sobie – i nie ma strachu.

Barnett otarł pot z twarzy, oparł się o ścianę i rozpiął kurtkę.

Natychmiast z otworów po obu jego stronach wysunęły się dwie metalowe wstęgi, które opasały Barnetta na wysokości talii i żołądka.

Barnett chwilę im się przyglądał, po czym z całej siły szarpnął się do przodu. Wstęgi nie puszczały. W ścianie rozległ się dziwny odgłos, jakby kląskanie, a zaraz potem wysunął się stamtąd delikatny cienki drucik. Drucik z szacunkiem dotknął kurtki Barnetta, po czym schował się w głąb ściany.

Agee i Victor patrzyli na to wszystko bezradnie.

– Wyłącz to – wycedził Barnett przez zęby.

Agee skoczył do kabiny pilota. Victor dalej wytrzeszczał oczy. Ze ściany wyślizgnęła się metalowa łapa, zakończona połyskliwym trzycalowym ostrzem.

– Nie! – rozdarł się Barnett.

Victor ożył gwałtownie. Podbiegł do łapy, próbował ją wyrwać ze ściany, ale ramię wykonało tylko jeden zwrot i posłało Victora w przeciwległy koniec pomieszczenia.

Z chirurgiczną precyzją ostrze przecięło kurtkę Barnetta równo pośrodku, nie dotykając koszuli pod spodem. Łapa znikła z pola widzenia.

Agee wciskał jeden przycisk po drugim: generatory wyły, stabilizatory dragały, mrugały światła. Na mechanizmie, który więził Barnetta nie wywarło to najmniejszego wrażenia.

Wiotki drucik znów się pokazał. Dotknął koszuli Barnetta i zawahał się na moment. Mechanizm wewnętrzny zaświergotał ostrzegawczo. Drucik raz jeszcze dotknął koszuli Barnetta, jakby niepewny, co powinien w takim przypadku uczynić.

Agee darł się z pomieszczenia kontrolnego.

– Nie daje się wyłączyć! To chyba w pełni automatyczne!

Drucik schował się w ścianie, a w jego miejsce pojawiło się zakończone ostrzem ramię.

Victor zdążył tymczasem znaleźć ciężki klucz francuski. Podskoczył, zamachnął się i morderczym ciosem trafił w ramię, omijając o włos głowę Barnetta.

Łapa ani trochę na tym nie ucierpiała. Spokojnie rozpłatała koszulę Barnetta od strony pleców, pozostawiając go nagim do pasa.

Barnettowi nic się nie stało, ale dziko przewrócił oczami, kiedy wiotki drucik wyłonił się ze ściany po raz trzeci. Victor wpakował pięść do ust i zaczął się cofać. Agee zacisnął powieki.

Drucik dotknął ciepłego, żywego ciała Barnetta i wyraźnie usatysfakcjonowany, cofnął się w głąb ściany. Wstęgi otworzyły się. Barnett padł na kolana.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Nie było o czym mówić. Barnett zagapił się w przestrzeń. Victor strzelał kostkami palców, aż Agee trącił go w bok.

Stary pilot zastanawiał się, dlaczego mechanizm porozcinał odzież Barnetta, ale zatrzymał się kiedy doszedł do żywego ciała. Czyżby obcy w ten sposób się rozbierał? Nie miało to sensu. Ale, z drugiej strony, szafa-prasa też nie miała sensu.

Agee nawet się trochę ucieszył z tego incydentu. Zdarzenie musiało dać Barnettowi nauczkę. Teraz już na pewno zostawią to zdradliwe monstrum i wymyślą sposób na odzyskanie własnego statku.

– Daj mi jakąś koszulę – powiedział Barnett. Victor pospiesznie znalazł coś dla niego. Barnett ubrał się w koszulę, stojąc jak najdalej od ściany.

– Jak szybko możesz uruchomić ten statek? – zapytał Barnett Agee'ego, jeszcze nieco roztrzęsiony.

– Co takiego?

– Słyszałeś chyba.

– Ty jeszcze nie masz dość? – Agee'ego zatkało.

– Nie mam. Jak szybko możemy odpalić?

– Za godzinę, coś koło tego – burknął niechętnie Agee. Co innego mógł powiedzieć? Kapitan był nie do wytrzymania. Agee poczłapał zmęczony do pomieszczenia kontrolnego.

Barnett założył sweter na koszulę, a na to jeszcze kurtkę. W pomieszczeniu było chłodno, a on dostał silnych dreszczy.

Kalen leżał bez ruchu na podłodze obcego statku. Jak głupi, zmarnował resztkę sił na próby zerwania sztywnej powłoki zewnętrznej. A im on był słabszy, tym szybciej skóra twardniała. Teraz już w ogóle nie opłacało się ruszać. Lepiej odprężyć się i czuć, jak ognie wewnętrzne wolno dogasają.

Wkrótce śnił już o zębatych wzgórzach Mabogu i o wielkim porcie Canthanope, do którego spływali w dół handlarze międzygwiezdni ze swoimi egzotycznymi towarami. Był tam teraz, zapadał zmierzch, a on patrzył ponad płaskimi dachami na dwa ogromne zachodzące słońca. Dlaczego jednak oba słońca zachodziły na południu? Fizyczna niemożliwość. Może ojciec zdoła to wyjaśnić. Noc zapadła szybko.

Otrząsnął się z fantazji i zobaczył ponure światło poranka. Nie tak powinien umierać kosmonauta z Mabogu. Jeszcze raz spróbuje.

Po pół godzinie żmudnych, bolesnych poszukiwań trafił na zapleczu statku na zaplombowaną metalową skrzynkę. Obcy najwyraźniej o niej zapomnieli. Zerwał

wieko. Wewnątrz było kilka butelek, starannie zamocowanych i zabezpieczoynch okładzinami przed rozbiciem. Kalen wyjął jedną i obejrzał ją uważnie.

Oznaczona była dużym białym symbolem. Nie było żadnego powodu, żeby Kalen miał znać ten symbol, a jednak wydał mu się on dziwnie znajomy. Kalen wysilił pamięć, starając się dociec, gdzie widział coś podobnego.

I przypomniał sobie, jak przez mgłę: było to przedstawienie czaszki humanoida. W Unii Mabogijskiej była jedna rasa humanoidalna, a kopie jej czaszek Kalen oglądał w muzeum.

Ale czemu ktoś miałby tym symbolem ozdabiać butelkę?

W Kalenie czaszka budziła uczucie szacunku. O to zapewne chodziło producentom. Otworzył butelkę i powąchał.

Woń była ciekawa. Przypominała zapach...

...roztworu do oczyszczania skóry!

Nie zwlekając, Kalen wylał na siebie całą zawartość butelki. Bał się żywić nadzieję, czekał tylko, co będzie. Gdyby udało mu się przywrócić skórę do porządku...

Tak jest, płyn zawarty w butelce z czaszką był łagodnym środkiem czyszczącym. A do tego miał przyjemny zapach.

Kalen wylał kolejną butelkę na swój pancerz i poczuł, jak zbawczy płyn wsącza się głębiej. Jego ciało, spragnione odżywki, chciwie wołało o jeszcze. Opróżnił trzecią butelkę.

Przez dłuższy czas Kalen tylko leżał i czuł jak wsącza się w niego życiodajny płyn. Skóra rozluźniła się i uelastyczniła. Czuł w sobie nowy zastrzyk energii, nową wolę życia.

Będzie żył!

Po kąpieli Kalen zbadał konsoletę statku; miał nadzieję, że zdoła dolecieć starym pudłem na Mabog. Natychmiast wyłoniły się trudności. Z niewiadomej przyczyny, urządzenia kontrolne nie były zabezpieczone w oddzielnym pomieszczeniu. Zastanawiał się, dlaczego. Niemożliwe przecież, żeby te dziwne stworzenia cały swój statek uczyniły komorą deceleracyjną. Niemożliwe. Nie mieli nawet dość miejsca na pojemniki z płynem.

Było to niepokojące, ale niepokojące było jak dotąd wszystko, co dotyczyło obcych. Tę trudność Kalen był w stanie przezwyciężyć. Kiedy jednak poszedł obejrzeć silniki, stwierdził brak kluczowego ogniwa, które usunięto ze stosów. Mechanizm był bezużyteczny.

Pozostawało tylko jedno wyjście: musi odzyskać swój statek.

Ale jak?

Nerwowo przemierzał pokład. Etyka mabogiańska zabraniała zabijać inteligentne życie i nie było w tej kwestii żadnego „ale". Pod żadnym pozorem – nawet w obronie własnego życia – nie wolno było zabić. Było to mądre prawo, które dobrze przysłużyło się Mabogianom. Dzięki ścisłemu jego przestrzeganiu, Mabogianie przez trzy tysiące lat unikali wojen, za to osiągnęli wysoki poziom rozwoju cywilizacji – co byłoby niemożliwe, gdyby dopuścili wyjątki od reguły. Każde „ale" może zaszkodzić najzdrowszej nawet zasadzie.

Nie mógł złamać prawa.

Ale czy wobec tego ma tu umierać bez walki?

Kalen spojrzał pod nogi i stwierdził ze zdumieniem, że rozlany płyn czyszczący powyżerał dziury w pokładzie. Cóż za nietrwałe urządzenie – byle płyn kosmetyczny potrafi je zniszczyć! Sami obcy wobec tego też muszą być słabi.

Wystarczyłaby jedna bomba tetnitowa.

Podszedł do okna. Chyba nikt nie stał na straży. Kalen pomyślał, że na pewno zajęci są przygotowaniami do startu. Nic prostszego jak przemknąć się wśród traw do samego statku...

A na Mabogu nikt by się nie musiał dowiedzieć prawdy.

Kalen, ku własnemu zdumieniu, stwierdził, że już bezwiednie pokonał połowę odległości między pojazdami. To ciekawe, ile potrafi zrobić ciało bez udziału umysłu.

Wyjął bombę i podczołgał się o następne dwadzieścia stóp bliżej.

W końcu przecież – w dalszej perspektywie – to zabójstwo niczego nie zmieniało.

– Jeszcze nie jesteś gotowy? – zapytał Barnett o dwunastej w południe.

– Chyba już jestem – odpowiedział Agee. – Bardziej gotowy już nie będę.

Barnett kiwnął głową.

– My z Victorem przytroczymy się pasami w kabinie załogi. Startuj z najmniejszym przyspieszeniem.

Barnett wrócił do pomieszczenia załogi. Agee podopinał pasy i nerwowo zatarł ręce. Zdawało mu się, że pozaznaczał wszystkie podstawowe urządzenia. Powinno się było udać. Miał nadzieję, że się uda.

Bo przecież była ta szafa, i łapa z nożem. Kto zgadnie, z czym jeszcze wyskoczy szalony pojazd?

– Gotowi! – zawołał Barnett z kabiny załogi.

– Dobra. Jeszcze z dziesięć sekund.

Zamknął i zabezpieczył śluzy. Jego własne drzwi zamknęły się automatycznie, odcinając pilota od reszty załogi. Z lekkim uczuciem klaustrofobii, Agee włączył stosy. Na razie wszystko szło doskonale.

Na podłogę wypełzła cienka strużka oleju. Agee uznał to za wyciek z obluzowanego złącza i nie przejął się zbytnio. Powłoki kontrolne pracowały jak marzenie. Agee wcisnął kurs i ustawił przyrząd kontroli lotu.

I wtedy poczuł, że coś uderza o jego stopę. Spojrzał w dół i ze zdziwieniem odnotował prawie trzycalową warstwę gęstego, cuchnącego oleju na pokładzie. Solidny wyciek. Agee'emu nie mieściło się w głowie, żeby taki porządny statek mógł mieć taką wadę. Odpiął pasy i zaczął szukać źródła wycieku.

Znalazł je bez trudu. W pokładzie były cztery małe ujścia i każdym z nich gładko, równomiernie, bił strumień oleju.

Agee wcisnął guzik otwierający drzwi kabiny, ale drzwi ani drgnęły. Odrzucając panikę, Agee starannie obejrzał drzwi.

Powinny były się otworzyć.

Nie otwierały się.

Olej już prawie sięgał jego kolan.

Agee uśmiechnął się idiotycznie. Co za głupiec z niego! Kabinę pilota zamykało się z konsolety. Zwolnił blokadę i wrócił do drzwi.

Nadal nie chciały się otworzyć.

Agee szarpał je z całych sił, ale drzwi były niewzruszone. Wrócił do deski rozdzielczej. Kiedy znaleźli statek, oleju nie było. Co znaczy, że gdzieś musi być odpływ.

Zanim znalazł odpływ, olej sięgał mu do pasa. Potem znikł prawie natychmiast. A kiedy tylko olej znikł, drzwi otworzyły się z łatwością.

– Co jest? – zapytał Barnett.

Agee powiedział mu.

– A więc to tak wygląda jego sposób! – powiedział cicho Barnett. – Dobrze wiedzieć.

– Sposób na co? – spytał Agee, czując, że Barnett traktuje całą sprawę zbyt lekko.

– Sposób na to, żeby wytrzymać przyspieszenie przy starcie. To mnie dręczyło. Przecież na pokładzie nie ma nic na kształt łoża czy leżanki. Nawet krzeseł nie ma – do

czego tu się przypasać? Dlatego on pływa sobie w oleistej kąpieli, której kurki włączają się automatycznie z chwilą gotowości maszyny do lotu.

– Ale dlaczego drzwi nie dawały się otworzyć? – pytał dalej Agee.

– To przecież oczywiste – uśmiechnął się Barnett. – Nie chciał, żeby mu olej zalał cały statek. Albo żeby przypadkiem nie spłynął z pokładu.

– Nie możemy startować – zawyrokował Agee.

– A to dlaczego?

– Ponieważ nie jestem szczególnie mocny w oddychaniu olejem. Dopływ oleju włącza się automatycznie razem z mocą i nie ma siły, żeby go wyłączyć.

– Rusz głową – poradził mu Barnett. – Wystarczy, że zablokujesz otwarty odpływ: co się naleje, to natychmiast spłynie.

– Rzeczywiście, to mi nie przyszło do głowy – przyznał ze skruchą Agee.

– No to do roboty.

– Chciałbym się najpierw przebrać.

– Nie. Oderwij ten cholerny statek od ziemi.

– Ale, kapitanie...

– Ruszaj – rozkazał Barnett. – Zdaje mi się, że ten obcy coś kombinuje.

Agee wzruszył ramionami, wrócił do kabiny pilota i zapiął pasy.

– Gotowi?

– Tak, ruszaj wreszcie.

Agee zablokował odpływ i olej rozpoczął bezpieczną cyrkulację, nie wznosząc się ponad poziom butów pilota. Bez dalszych komplikacji Agee uruchomił resztę przyrządów.

– Jazda.

Nastawił na minimalne przyspieszenie i dmuchnął w opuszki palców – na szczęście.

Wcisnął start.

Kalen z głębokim żalem patrzył na swój oddalający się statek. Bombę tetnitową nadal trzymał w ręku. Zdążył dojść do statku, przez parę sekund nawet pod nim stał. Po czym odczołgał się z powrotem do wraku obcych. Nie zdobył się na podłożenie bomby. Parę godzin nie wystarczyło na pokonanie kilkusetletnich uwarunkowań.

Uwarunkowań – owszem, ale i czegoś jeszcze.

Nieliczni przedstawiciele każdej rady mordują dla przyjemności. Z drugiej strony, istnieje szereg powodów usprawiedliwiających zabójstwo, i to takich, które uznałby każdy filozof.

Jeżeli się je jednak raz zaakceptuje, takich powodów natychmiast rodzi się więcej, i coraz więcej. Morderstwo raz zaakceptowane staje się nie do powstrzymania. Nieuchronnie prowadzi do wojny, i dalej, do unicestwienia.

Kalen czuł, że to morderstwo wpłynęłoby w jakiś sposób na los jego rasy. Powstrzymanie się od zabójstwa wydało mu się niemal kwestią jej przetrwania.

Mimo wszystko, nie poprawiło mu to samopoczucia.

Patrzył, jak jego statek zmienia się w kropkę na niebie. Obcy oddalali się w śmiesznie powolnym tempie. Nie widział po temu żadnego usprawiedliwienia – chyba że chcieli mu dokuczyć.

Bez wątpienia mieli w sobie dość sadyzmu na coś takiego.

Kalen wrócił na statek. Wola życia była w nim silniejsza niż kiedykolwiek. Nie miał zamiaru się poddawać. Postanowił za wszelką cenę czepiać się życia, w nadziei – jednej na milion – że kiedyś ktoś jeszcze odwiedzi planetę.

Rozejrzał się i uznał, że może sprokurować namiastkę powietrza ze środka czyszczącego oznakowanego czaszką. Wystarczy na dzień, może dwa. A gdyby jeszcze zdołał otworzyć orzech kerla...

Zdawało mu się, że słyszy coś na zewnątrz. Skoczył sprawdzić. Niebo było puste. Statek zniknął. Kalen był sam.

Znów wrócił na obcy statek i podjął żmudne zadanie utrzymania się przy życiu.

Odzyskawszy przytomność, Agee stwierdził, że tuż przed omdleniem zdołał zredukować przyspieszenie do połowy. Tylko to uratowało mu życie.

Nawet obecne przyspieszenie, oscylujące tuż nad punktem zero, było nieznośnie ciężkie! Agee odpieczętował drzwi i przeczołgał się do sąsiedniego pomieszczenia.

Barnetta i Victora przy starcie wystrzeliło z pasów. Victor właśnie odzyskiwał przytomność. Barnett podnosił się ze sterty pogniecionych skrzyń.

– Co ty sobie myślisz, że w cyrku jesteś? – zrzędził Barnett. – Mówiłem przecież: przyspieszenie minimum.

– Startowałem z przyspieszeniem minimum – poinformował go Agee. – Idź, sam sobie poczytaj zapis.

Barnett pomaszerował do kabiny pilota. Zaraz wrócił.

– Kiepska sprawa. Nasz przyjaciel podróżuje tym statkiem z przyspieszeniem trzykrotnie wyższym od naszego.

– Na to wygląda.

– Nie pomyślałem o tym – zasępił się Barnett. – W takim razie on musi pochodzić z ciężkiej planety, z takiego miejsca, gdzie trzeba startować błyskawicznie, żeby się w ogóle odczepić od podłoża.

– Coś mnie uderzyło – poskarżył się Victor, rozcierając głowę.

W ścianie coś pstryknęło. Statek ożył na całego, urządzenia automatycznie wkraczały do akcji.

– Ciepło się robi, nie? – zagadnął Victor.

– Owszem, i gęstawo – dodał Agee. – Zwyżka ciśnienia.

Wrócił do kabiny pilota. Barnett i Victor stali w drzwiach i obserwowali go w napięciu.

– Nie mogę tego wyłączyć – oświadczył Agee, ocierając pot, który strumieniami zalewał mu twarz. – Temperatura i ciśnienie regulowane są automatycznie. Muszą wracać do „normy", kiedy statek leci.

– Wyłącz to cholerstwo – polecił Barnett. – Usmażymy się tutaj jak zaraz nie wyłączysz.

– Nie ma jak.

– Przecież gdzieś musi być regulator ciepła.

– Owszem – tutaj – wskazał Agee. – Już skręcony do minimum.

– Myślisz, że jaką on ma normalną temperaturę? – zapytał Barnett.

– Wolę nie myśleć – powiedział Agee. – Ten statek jest zbudowany z wyjątkowo trudno topliwych stopów. Wytrzymałby ciśnienie dziesięciokrotnie wyższe niż statek ziemski. Uwzględniając oba te czynniki...

– To się musi dać wyłączyć! – Barnett zdarł z siebie kurtkę i sweter. Temperatura szybko wzrastała, pokład był już tak rozgrzany, że ledwo można było na nim ustać.

– Wyłącz to! – zawył Victor.

– Momencik – odpowiedział Agee. – Nie ja budowałem ten statek. Skąd mam wiedzieć...

– Dosyć! – Victor darł się, potrząsając Ageem jak szmacianą lalką. – Dość!

– Puszczaj! – Agee wyciągnął miotacz do połowy. I nagle, w przypływie natchnienia, wyłączył silniki statku.

Pstrykanie w ścianach umilkło. Pomieszczenie zaczęło się ochładzać.

– Co jest? – zapytał Victor.
– Temperatura i ciśnienie spadają po wyłączeniu mocy – wyjaśnił Agee. – Nic nam nie grozi, dopóki znów nie włączymy silników.
– Kiedy możemy zawinąć do najbliższego portu? – spytał Barnett.
Agee liczył w myślach.
– Za jakieś trzy lata – ocenił. – Zapędziliśmy się dosyć daleko.
– Nie dałoby się powyrywać tych urządzeń? Odłączyć?
– Są wmontowane w bebechy statku – powiedział Agee. – Potrzebowalibyśmy całej narzędziowni i fachowej pomocy. A nawet wtedy nie byłoby to proste.
Barnett przez dłuższą chwilę nic nie mówił. W końcu odezwał się.
– No dobra.
– Co dobra?
– Daliśmy dupy. Trzeba wracać na tamtą planetę i brać stary statek.
Agee odetchnął z ulgą i wcisnął nowy kurs na zapisie statku.
– Myślisz, że obcy nam go odda? – zapytał Victor.
– Na pewno – powiedział Barnett. – Jeżeli w ogóle jeszcze żyje. Spodziewam się, że odzyskanie statku byłoby mu bardzo na rękę. Ale żeby wejść na swój statek, musi zejść z naszego.
– No tak, kiedy jednak już wsiądzie na ten swój...
– Pomajstrujemy koło przyrządów – zdecydował Barnett. – To go chwilę przytrzyma.
– Chwilę – zgodził się Agee. – Ale prędzej czy później wystartuje, z pianą na ustach. Nigdy mu nie uciekniemy.

– Wcale nie musimy – powiedział Barnett. – Jedyne co musimy, to znaleźć się w górze wcześniej niż on. Kadłub ma mocny, ale trzy bomby atomowe to chyba będzie aż nadto.
– O tym nie pomyślałem – uśmiechnął się niemrawo Agee.
– Jedyne logiczne wyjście– powiedział Barnett niezbyt pewnym siebie tonem. – Te stopy metali z kadłuba dalej będą sporo warte. A teraz spróbuj nas tam dowieźć z powrotem i nie usmażyć po drodze.
Agee włączył silniki. Wykonał ostry zwrot, ładując tyle atmosfer, ile tylko mogli wytrzymać. Urządzenia towarzyszące włączyły się pstrykając gęsto i temperatura momentalnie wzrosła. Wykonawszy manewr, Agee skierował „Niezłomnego II" we właściwy punkt i zgasił silniki.

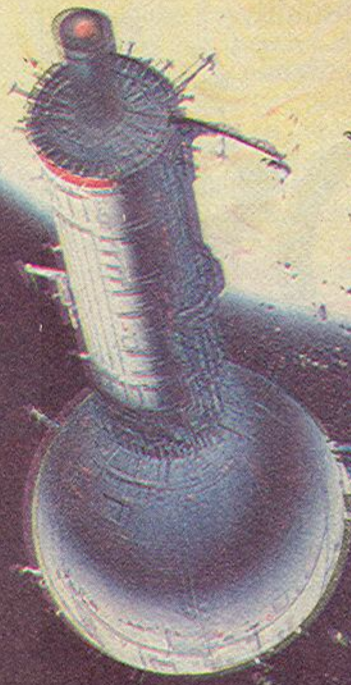
Większość drogi pokonali bez pomocy silników. Dopiero kiedy zbliżali się do planety, Agee musiał ponownie włączyć moc, żeby wprowadzić statek w spiralę deceleracyjną i zejść do lądowania.
Ledwo wygramolili się ze statku, cali w pęcherzach, buty przepalone na wylot. Nie było czasu na figle z przyrządami obcego.
Schowali się w lesie i czekali.
– Może wykitował – odezwał się z nadzieją Agee.
Zobaczyli małą figurkę wyłaniającą się z „Niezłomnego I". Obcy poruszał się powoli, ale zdecydowanie mógł się poruszać.
Obserwowali go.
– A jeżeli on – odezwał się Victor – zbudował sobie broń? Jak nas zacznie gonić?
– A jakbyś ty się tak zamknął, co? – odpowiedział mu Barnett.

Obcy pomaszerował wprost do swojego statku. Zniknął wewnątrz, zamknął wszystkie otwory.
– No dobra – Barnett wstał z miejsca. – Trzeba się spieszyć. Agee, ty się zajmiesz sterami. Ja połączę stosy. Victor zabezpieczy otwory. Tempo!
Puścili się biegiem przez równinę i w parę sekund dopadli otwartej śluzy „Niezłomnego I".

Nawet gdyby Kalen chciał się pospieszyć, nie miał na razie dość sił na poprowadzenie statku. Ale wiedział, że wewnątrz pojazdu jest bezpieczny. Żaden obcy nie wedrze się przez zapieczętowane otwory.
Znalazł zapasowy kanister z powietrzem i otworzył go. Wnętrze zapełniło się gęstym, życiodajnym żółtym gazem. Przez kilka długich minut Kalen tylko oddychał i oddychał.
Potem przeturlał do Zgniatacza trzy największe orzechy kerla. Zgniatacz je rozłupał.
Kiedy Kalen zjadł, poczuł się o wiele lepiej. Dał się rozebrać Rozbierakowi z zewnętrznej powłoki. Druga skóra też była martwa, więc i tę Rozbierak rozpłatał na pół, ale trzeciej, żywej warstwy, już nie ruszył.
Kalen, jak nowy, wślizgnął się do kabiny pilota.
Teraz już miał pewność, że obcy ulegli chwilowemu szaleństwu. Inaczej nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego wrócili i oddali mu statek.
A więc musi odszukać ich władze i podać im położenie planety. Niech znajdą swoich i wyleczą ich, raz na zawsze.
Kalen czuł się bardzo szczęśliwy. Nie odstąpił od zasad etyki mabogiańskiej, a to było najważniejsze. Jakże łatwo mógł im podrzucić na pokład bombę tetnitową, z precyzyjnie ustawionym zegarem. Mógł zniszczyć ich silniki. I miał takie pokusy.
Ale nie uległ im. Nie zrobił nic złego.
Sporządził tylko kilka substancji niezbędnych do ratowania własnego życia.
Kalen ożywił przyrządy i stwierdził, że wszystkie funkcjonują bez zarzutu. Płyn akceleracyjny zaczął się wlewać do kabiny z chwilą włączenia stosów.

Victor pierwszy dopadł włazu i wskoczył do środka. Wyrzuciło go z powrotem.
– Co jest? – zapytał Barnett.
– Coś mnie uderzyło – powiedział Victor.
Ostrożnie zajrzeli do środka.
Zobaczyli misternie wykonaną śmiertelną pułapkę: wejście zagradzały połączone szeregowo przewody akumulatorów. Gdyby Victor oparł się o ścianę, zostałby momentalnie porażony prądem.
Przecięli obwód i weszli do środka.
Bałagan był nieopisany. Wszystko, co można było ruszyć z miejsca, zostało ruszone i rzucone byle gdzie. W kącie leżał zgięty łom. Silny kwas był porozlewany po podłodze, w kilku miejscach przeżarł ją na wylot. Stary kadłub „Niezłomnego" świecił dziurami.
– Kto by pomyślał, że to on nas tak załatwi! – odezwał się Agee.
Sprawdzali dalej. W pobliżu ogona tkwiła druga pułapka: drzwi do ładowni zostały zręcznie przymocowane do startera. Wystarczyło dotknąć, żeby z impetem odskoczyły na ścianę. Ktokolwiek by się tam znalazł, zostałby sprasowany na placek.
Znaleźli jeszcze szereg innych pułapek, o niejednoznacznym przeznaczeniu.
– Da się naprawić? – spytał Barnett.
Agee wzruszył ramionami.
– Większość narzędzi została na „Niezłomnym II". Może w rok da się jako tako połatać. Ale trudno przewidzieć, czy kadłub wytrzyma.
Wyszli na zewnątrz. Obcy statek właśnie odpalał.
– Co za monstrum! – powiedział Barnett, patrząc na poprzeżeraną kwasem powłokę swojego statku.
– Z obcymi nigdy nic nie wiadomo – zgodził się Agee.
– Dobry obcy, to martwy obcy – podsumował Victor.
„Niezłomny I" był teraz równie niezrozumiały i niebezpieczny jak „Niezłomny II".
A „Niezłomnego II" nie było.

Przełożyła
Jolanta Kozak



MICHELANGELO MIANI

Czyżby istotnie coś usłyszał? Nie był tego pewien. Odtwarzając zdarzenia w chwilę później, Joe Collins przypomniał sobie, że leżał na własnym łóżku, tak straszliwie zmęczony, że nie miał nawet siły zdjąć z koca przesiąkniętych wodą butów. Z wzrokiem utkwionym w sieci pęknięć na brudnym żółtym suficie, obserwował wolno, żałobnie kapiącą do środka wodę.

Robert Sheckley

COŚ ZA NIC

(Something for nothing)

To się musiało zdarzyć właśnie wtedy. Collins kątem oka złowił błysk metalu tuż koło łóżka. Usiadł. Na podłodze, tam, gdzie nigdy nie było żadnej maszyny, stała maszyna.

W pierwszym momencie zaskoczenia, Collinsowi wydało się, że słyszy bardzo odległy głos, który mówi:

– Już! Gotowe.

Co do głosu – nie był go pewien. Ale maszyna pozostawała faktem niezaprzeczalnym.

Collins przyklęknął, żeby ją lepiej obejrzeć. Maszyna mogła mieć ze trzy stopy kwadratowe powierzchni i cicho szumiała. Spękana, szara powierzchnia pozbawiona była cech szczególnych, z wyjątkiem czerwonego przycisku w jednym rogu i mosiężnej płytki pośrodku. Płytka informowała: UTYLIZATOR KLASY A, SERIA AA – 125 6432. Pod spodem zaś – UWAGA! MASZYNA DO WYŁĄCZNEGO UŻYTKU OSOBNIKÓW KLASY A!

I to było wszystko.

Collins nie zauważył żadnych pokręteł, wskazówek, przełączników i tym podobnych urządzeń, które zawsze kojarzyły mu się z maszynami. Tylko mosiężna płyta, czerwony guzik i ten szum.

– Skądeś się tu wzięło? – zapytał. Utylizator Klasy A szumiał dalej. Collins i tak nie spodziewał się odpowiedzi. Siedząc na skraju łóżka, patrzył w zamyśleniu na Utylizator. Pozostawało pytanie – co z nim zrobić?

Ostrożnie nacisnął czerwony guzik, świadom swojego braku doświadczenia z maszynami, które spadały nie wiadomo skąd. Co się stanie, kiedy uruchomi urządzenie – podłoga się rozstąpi? Z sufitu zaczną spadać małe zielone ludziki?

Ale do stracenia miał mniej niż nic. Nacisnął guzik. Lekko.

Nic się nie stało.

– No, co jest, rób coś! – zirytował się Collins, wyraźnie zawiedziony. Utylizator dalej tylko cicho szemrał i nic więcej.

Zawsze można go oddać w zastaw. Uczciwy handlarz


Leonid Zadoński

dałby mu za złom przynajmniej dolara. Spróbował podnieść Utylizator. Okazało się to niemożliwe. Spróbował raz jeszcze, tym razem angażując wszystkie siły i zdołał unieść jeden róg o cal nad ziemię. Puścił ciężar i siadł na łóżku, dysząc ciężko.

– Trzeba było przysłać ze dwóch facetów do pomocy – zwrócił się Collins do Utylizatora. W mgnieniu oka szum nasilił się i cała maszyna zaczęła wibrować.

Collins obserwował ją uważnie, ale dalej nic się nie działo. Wiedziony impulsem, wyciągnął rękę i pacnął w czerwony guzik.

W mig pojawili się dwaj potężni faceci, odziani w zgrzebne stroje robocze. Z uznaniem popatrzyli na Utylizator.

– Bogu dzięki – odezwał się jeden – że to mały model. Z tymi dużymi człowiek się naużera jak głupi.

– I tak lepsze to niż marmurowe kamieniołomy, no nie? – odezwał się drugi.

Spojrzeli na Collinsa, który wytrzeszczał na nich gały. W końcu pierwszy powiedział:

– No dobra, szefie, nie będziem tu sterczeć do nocy. Gdzie przestawić?

– Kim panowie są? – wydukał Collins.

– Przenosicielami. A co, może wyglądamy jak siostry Vanizaggi?

– Ale skąd panowie się tu wzięli? – pytał dalej Collins. – I dlaczego?

– Wzięliśmy się z firmy przenosicielskiej Powha Minnile Movers, Incorporated – wyjaśnił facet. – A dlatego, że pan szanowny życzył sobie coś przestawić. Gdzie to postawić?

– Proszę sobie iść – powiedział Collins. – Później panów wezwę.

Przenosiciele wzruszyli ramionami i zniknęli. Collins przez dłuższą chwilę wpatrywał się w miejsce po nich. Potem przeniósł zdumione spojrzenie na Utylizator Klasy A, który z powrotem szumiał sobie z cicha.

Utylizator? Znalazłby dla niego lepszą nazwę. Spełniarka życzeń, na przykład.

Collins nie był specjalnie wstrząśnięty. Kiedy zdarza się cud, tylko tępe, przyziemne umysły nie potrafią go spokojnie zaakceptować. Collins z całą pewnością do nich nie należał. Miał doskonały grunt do akceptacji wszelkich zjawisk.

Większą część życia spędził na marzeniach, nadziejach i modlitwach o to, żeby zdarzył mu się cud. W gimnazjum marzył o tym, że któregoś dnia obudzi się i będzie umiał całą pracę domową bez nudnej konieczności uczenia się. W wojsku marzył o tym, żeby jakiś czarodziej albo dżinn zmienił dyspozycje i przydzielił go do dekorowania świetlicy, zamiast go zmuszać, żeby robił to, co wszyscy – czyli trenował musztrę.

Po wyjściu z wojska Collins unikał pracy, gdyż był do niej psychicznie nieprzystosowany. Obijał się, z nadzieją, że jakaś bajecznie bogata osoba, pod wpływem nagłego impulsu zmieni swój testament, zapisując mu Wszystko.

W gruncie rzeczy, nigdy się niczego nie spodziewał. Ale kiedy cud nastąpił, był przygotowany.

– Chciałbym dostać tysiąc dolarów w drobnych banknotach – odezwał się ostrożnie Collins. Kiedy szum się nasilił, wcisnął guzik. Wyrosła przed nim spora kupa podniszczonych banknotów jedno-, pięcio- i dziesięciodolarowych. Nie były zbyt piękne, to fakt, ale bez wątpienia były to pieniądze.

Collins wyrzucił garść banknotów w powietrze i patrzył, jak z gracją osiadają na podłodze. Wyciągnął się na łóżku i począł snuć plany.

Przede wszystkim, wyjedzie z maszyną poza Nowy Jork – może gdzieś na prowincję, gdzie wścibscy sąsiedzi nie będą mu przeszkadzali. Mogą być hece z podatkiem dochodowym. Kiedy się już ustawi, powinien wyjechać do Ameryki Środkowej, albo...

W pokoju rozległ się podejrzany odgłos.

Collins skoczył na równe nogi. W ścianie otwierała się wyrwa, przez którą ktoś próbował wtrynić się do środka.

– Ejże! Przecież cię o nic nie prosiłem! – powiedział Collins do maszyny.

Dziura w ścianie powiększyła się i wielki, czerwony na gębie gość wkroczył jedną nogą do pokoju, z furią napierając na brzeg wyrwy.

W tym momencie Collins przypomniał sobie, że maszyny na ogół miewają właścicieli. Ktokolwiek był posiadaczem spełniarki życzeń, na pewno nie przyjąłby jej utraty ze stoickim spokojem. Zrobiłby wszystko, żeby ją odzyskać. Możliwe, że nie zawahałby się nawet przed...

– Broń mnie! – wrzasnął Collins do Utylizatora i dźgnął czerwony guzik.

Pojawił się drobny, łysy człowieczek w krzykliwej piżamie, zaspany i ziewający.

– Sanisa Leek, Gwarantowane Remonty Scian – wyrecytował, trąc oczy. – Jestem Leek. Czym mogę służyć?

– Wyrzuć go stąd! – wrzasnął Collins. Czerwony na gębie, wymachując dziko ramionami, zdołał już prawie przecisnąć się przez otwór w ścianie.

Leek wygrzebał z kieszeni piżamy błyszczący kawałek metalu. Czerwony na gębie zaczął wrzeszczeć.

– Chwileczkę! Pan nie rozumie! Ten człowiek...

Leek wycelował w niego błyszczącą blaszką. Czerwony na gębie wrzasnął i zniknął. Po chwili znikła również dziura w ścianie.

– Zabił go pan? – zapytał Collins.

– Skądże znowu – odparł Leek, chowając blaszkę. – Ja go tylko zawróciłem jego własnym kanałem. Tą drogą więcej nie spróbuje.

– Czy to ma znaczyć, że spróbuje inną? – zapytał Collins.

– To możliwe – powiedział Leek. – Może próbować mikrotransferu, a nawet i animacji. – Spojrzał surowo na Collinsa. – To jest pański Utylizator, tak?

– Jasne – powiedział Collins i zaczął się pocić.

– I ma pan klasę A?

– Naturalnie – zapewnił go Collins. – Gdybym nie miał klasy A, to co by u mnie robił Utylizator?

– Nie chciałem pana urazić – uspokoił go sennym głosem Leek. – Tak tylko zgaduję – wolno pokiwał głową. – Wy, ludzie klasy A, to sobie podróżujecie! Pan tutaj wrócił, żeby pisać powieść historyczną?

Collins tylko uśmiechnął się zagadkowo.

– No, będę leciał – powiedział Leek, ziewając jak najęty. – Dzień i noc na nogach. Już bym chyba wolał kamieniołomy. I zniknął w pół ziewnięcia.

Deszcz ciągle bębnił w dach. Z drugiej strony wywietrznika nadal dobiegało chrapanie, niczym nie zakłócone. Collins był znowu sam, sam ze swoją maszyną.

I z tysiącem dolarów w drobnych banknotach, rozsianych po całej podłodze.

Czule poklepał Utylizator. Ci z klasą A rzeczywiście nieźle sobie żyli. Pan sobie czegoś życzy? Wystarczy wymówić życzenie i nacisnąć guzik. Nie ma wątpliwości, że prawdziwy właściciel tęskni za swoją maszynką.

Leek ostrzegał, że gość może próbować dobrać się do niego inną drogą. Tylko jaką?

A zresztą, co za różnica. Collins zgarnął banknoty, pogwizdując pod nosem. Wiedział, że dopóki ma spełniarkę życzeń, potrafi o siebie zadbać.

Kilka następnych dni przyniosło wielkie zmiany w życiu Collinsa. Z pomocą firmy przenosicielskiej Powha Minnile przetransportował Utylizator w głąb stanu Nowy Jork. Tam zakupił średniej wielkości górę w mało uczęszczanym zakątku Adirondaków. Ledwie dostał papiery do ręki, udał się w samo serce swojej posiadłości, o kilka mil od autostrady. Dwaj przenosiciele, pocąc się jak myszy, taszczyli Utylizator w ślad za nim, klnąc przy tym monotonnie, w miarę jak forsowali gąszcz.

– Postawić mi go tutaj i zjeżdżać – polecił Collins. Ostatnie dni znacznie wzmogły jego pewność siebie.

Przenosiciele westchnęli, nieco zdziwieni, i ulotnili się. Collins rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich stron, jak okiem sięgnąć, otaczał go gęsty las brzozowo-sosnowy. Powietrze było słodkie i wilgotne. Ptaki ćwierkały radośnie w koronach drzew, od czasu do czasu przemknęła wiewiórka.

Natura! Collins zawsze kochał przyrodę. Miejsce było idealne pod budowę dużego, efektownego domu, z basenem, kortami tenisowymi, a nawet – czemu nie? – małym lotniskiem.

– Chcę mieć dom – oświadczył stanowczo Collins i wcisnął czerwony guzik.

Pojawił się człowiek w nienagannym szarym garniturze urzędnika i z pince-nez.

– Służę uprzejmie, sir – rzekł, patrząc po drzewach. – Jestem jednak zmuszony prosić o bardziej szczegółową specyfikację. Czy życzy pan sobie coś klasycznego – bungalow, ranczo, willa dwupoziomowa, dworek, zameczek lub pałac? Czy też model prymitywny typu igloo albo szałas? Jako A, może pan wymagać czegoś supernowoczesnego – może być Pół-Fronton, Nowość Rozwinięta, albo Zatopiona Miniatura.

– Coś podobnego – powiedział Collins. – Sam nie wiem. Co pan by proponował?

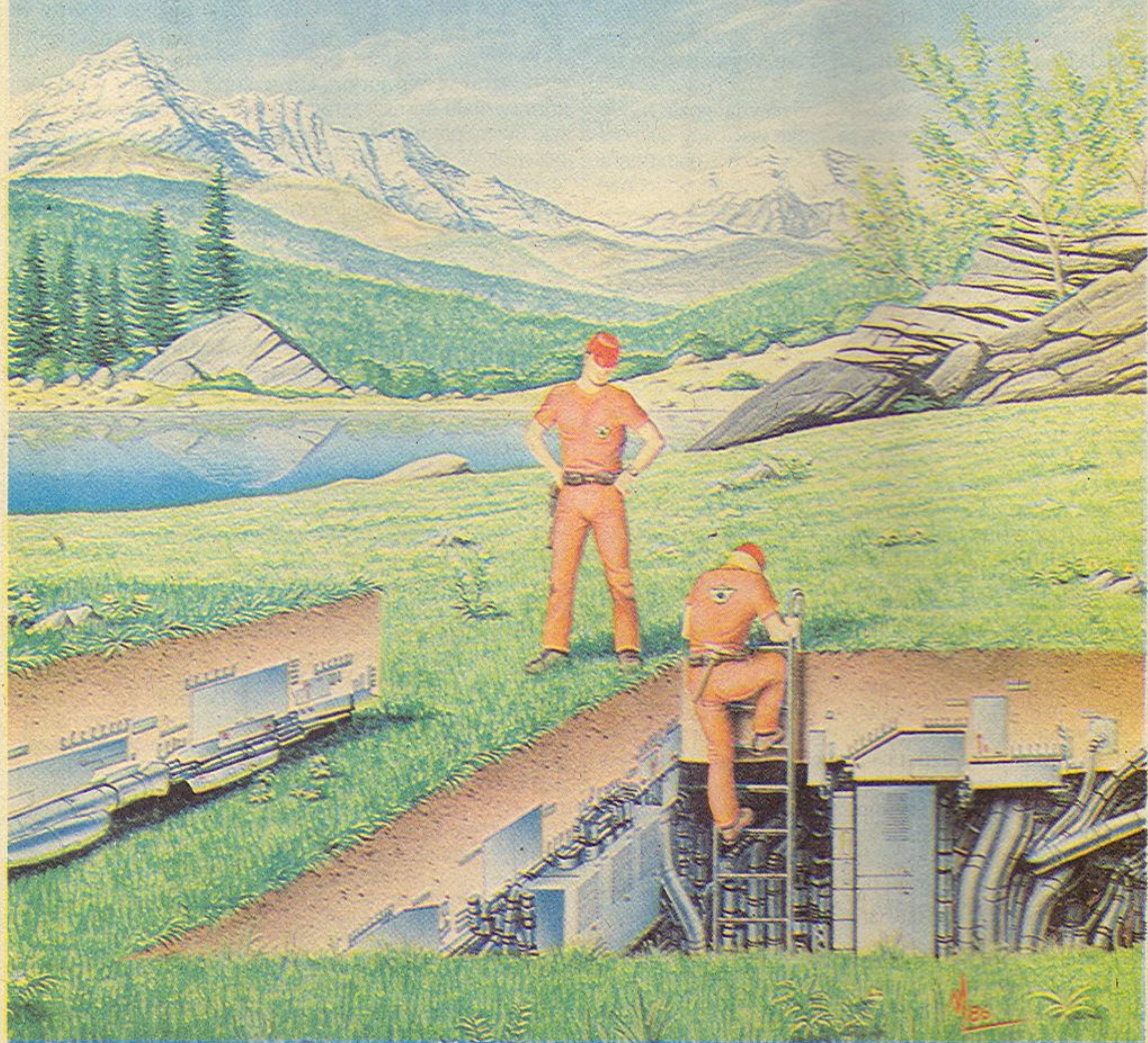
– Nieduży dworek – odparł tamten bez wahania. – Na ogół zaczyna się od niedużego dworku.

– Czyżby?

– Tak. Potem przeprowadzka w ciepły klimat i tam pałac.

Collins miał ochotę zadać więcej pytań, ale powstrzymał się. Wszystko szło jak po maśle. Tamci naprawdę

MICHELANGELO MIANI



brali go za A – legalnego właściciela Utylizatora. Nie było powodu, żeby pozbawiać ich iluzji.

– Niech pan sie sam wszystkim zajmie – polecił Collins urzędnikowi.

– Naturalnie, sir – odparł tamten. – Zawsze to robię.

Przez resztę dnia Collins spoczywał na kanapie i popijał mrożone napoje, podczas gdy Towarzystwo Budowlane Maxima Olph materializowało sprzęt i stawiało mu dom.

Owocem tych działań była niewysoka budowla, licząca około dwudziestu pokoi, którą Collins ocenił jako skromną, uwzględniając okoliczności. Dom wzniesiono z materiałów najwyższej klasy, według projektu Moga z Degmy, wnętrza projektował Towige, basen – Mula, a ogród francuski – Vierien.

Do wieczora dzieło było ukończone, szczupła armia budowlanych zwinęła swój sprzęt i ulotniła się.

Collins zezwolił łaskawie, żeby szef kuchni przyrządził dla niego kolację. Następnie zasiadł w przestronnym, chłodnym salonie, aby rzecz całą przemyśleć. Przy nim, szumiąc łagodnie, przycupnął Utylizator.

Collins zapalił cheroota i wciągnął nosem aromat egzotycznego cygara. Na początek odrzucił wszelkie wyjaśnienia o charakterze nadprzyrodzonym. Wykluczył demony i diabły. Jego dom wzniesiony został przez normalne ludzkie istoty, które gadały, śmiały się i rzucały mięsem jak każda inna normalna ludzka istota. Utylizator był niczym więcej jak eksperymentalnym gadżetem, działającym na zasadach, których Collins nie rozumiał i na zrozumieniu których wcale mu nie zależało.

Czyżby aparat pochodził z obcej planety? Mało prawdopodobne. Kto by specjalnie dla Collinsa opanowywał język angielski?

Utylizator musiał zatem pochodzić z ziemskiej przyszłości. Ale jak trafił do Collinsa?

Collins rozparł się wygodnie i zaciągnął cygarem. Wypadki się zdarzają, pouczył sam siebie. Całkiem możliwe, że Utylizator po prostu o s u n ą ł s i ę w przeszłość. Potrafił przecież tworzyć coś z niczego, a to już była sprawa skomplikowana.

Cóż to musi być za wspaniała przyszłość, myślał Collins. Maszyny do spełniania życzeń! Co za kultura! Człowiekowi pozostawało do roboty tylko jedno: wymyślać życzenia. Hokus-pokus – i gotowe. Z czasem wyeliminują pewnie i ten czerwony przycisk. Wszelkie działanie manualne stanie się zbyteczne.

Oczywiście, będzie musiał bardzo uważać. Nadal przecież istniał prawowity właściciel, i reszta tych całych A. Na pewno będą próbowali odebrać mu maszynę. Może to klika rodowa...

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Podniósł wzrok. Utylizator drżał jak listek na wietrze.

Collins podszedł do niego, surowo marszcząc brwi. Utylizator spowity był ledwie widocznym obłokiem pary. Aparat najwyraźniej się przegrzewał.

Czyżby Collins go przeforsował? Może kubeł wody...

Wtem zauważył, że Utylizator wyraźnie się zmniejsza. Miał już najwyżej dwie stopy kwadratowe powierzchni i kurczył się dalej na oczach Collinsa.

Właściciel! Albo cała kasta A! To musi być ten mikrotransfer, o którym mówił Leek. Collins zrozumiał, że jeżeli nie zadziała natychmiast, spełniarka życzeń skurczy się do nicości i zniknie.

– Służba pomocnicza Leeka! – zakomenderował. Pacnął guzik i szybko cofnął rękę. Maszyna była bardzo gorąca.

Leek zjawił się w kącie pokoju, ubrany w luźne portki i koszulkę gimnastyczną, z kijem golfowym w ręku.

– Czy musi mi pan przeszkadzać zawsze, kiedy....

– Niech pan działa! – wrzasnął Collins, wskazując na Utylizator, który mierzył już zaledwie stopę kwadratową powierzchni i dyszał dymną czerwienią.

– Ja tu nic nie poradzę – powiedział Leek. – Mam licencję tylko na ścianę czasu, a tu potrzebni są ludzie od mikrokontroli.

Poprawił uchwyt kija golfowego i już go nie było.

– Mikrokontrola! – zadysponował Collins i wyciągnął rękę w stronę guzika. Cofnął ją pospiesznie. Czterocalowej szerokości Utylizator pałał czerwienią barwy wiśni. Guzik, wielkości łebka od szpilki, był ledwo widoczny.

Zjawiła się dziewczyna w rogowych okularach, z notesem w dłoni, i gotowym do notowania ołówkiem w drugiej.

– Z kim chciałby się pan skontaktować? – zapytała z niezmąconym spokojem.

– Pomocy, szybko! – ryknął Collins, patrząc, jak jego bezcenny Utylizator kurczy się i kurczy.

– Pan Vergon wyszedł na lunch – powiedziała dziewczyna, w zamyśleniu gryząc koniec ołówka. – Wystrefował się, nie mam z nim łączności.

– A z kim ma pani łączność?

Dziewczyna skonsultowała się z notesem.

– Pan Vis przebywa w Ciągłości Dieg, a pan Elgis działa gdzieś w terenie, w Europie ery paleolitycznej. Jeżeli to naprawdę pilne, radzę się skontaktować z Kontrolą Transferów Punktowych. To nieduża firma, ale...

– Kontrola Transferów Punktowych! Natychmiast!

Całą uwagę skupił na Utylizatorze. Zaatakował go osmaloną już poduszką. Nic się nie stało. Utylizator miał powierzchnię połowy cala kwadratowego i poduszka – uzmysłowił sobie Collins – nie mogła wcisnąć niewidocznego prawie guzika.

Przez moment Collins wahał się, czy nie darować sobie Utylizatora. Może właśnie nadszedł właściwy moment. Mógłby sprzedać dom, z urządzeniem, i dalej żyć sobie całkiem nieźle.

Nie! Przecież jeszcze niczego ważnego nie zażądał! Nikt mu nie odbierze skarbu bez walki!

Zmusił się do trzymania oczu otwartych, kiedy dźgał rozgrzany do białości guzik sztywno wyprężonym palcem wskazującym.

Stanął przed nim mikry, nędznie odziany staruszek, który trzymał w rękach coś jakby wesoło pokolorowaną wielkanocną pisankę. Jajo pękło, a z jego wnętrza wydobył się pomarańczowy dym, który natychmiast wessany został przez niewidoczny gołym okiem Utylizator. Buchnął straszny dym; Collins omal się nie udławił. Utylizator zaczął powracać do dawnych rozmiarów. Wkrótce odzyskał pierwotną wielkość. Wydawał się nienaruszony.

Staruszek skromnie skinął głową.

– My się tam nie cackamy – powiedział – ale za to działamy solidnie, mucha nie siada.

Jeszcze raz kiwnął głową i zniknął.

Collins miał wrażenie, że słyszy z oddali wściekłe wrzaski.

Roztrzęsiony, usiadł na podłodze przed maszyną. Ból w palcu ćmił nielitościwie.

– Ulecz mnie – wymamrotał Collins przez spierzchnięte wargi, przyciskając guzik zdrową ręką.

Utylizator jeszcze chwilę szumiał głośniej, po czym ucichł. Ból ulotnił się z poparzonego palca i Collins stwierdził, że nie widać ani śladu po oparzeniu – w ogóle nie wiadomo, gdzie to było.

Collins strzelił sobie sporą brandy i poszedł prosto do łóżka. Tej nocy śniło mu się, że ściga go wielka litera A, ale rankiem nic z tego nie pamiętał.

Po tygodniu Collins zorientował się, że wzniesienie domu w lesie było najgorszym pomysłem, na jaki mógł wpaść. Zmuszony był wynająć pluton strażników dla utrzymania ciekawskich z daleka, a myśliwi uparli się biwakować właśnie w jego francuskich ogrodach.

Na domiar złego, jego sprawami zaczął się żywo interesować urząd podatkowy.

Ale przede wszystkim Collins doszedł do wniosku, że wcale nie szaleje za urokami przyrody. Nie miał nic przeciwko ptaszkom i wiewiórkom, ale trudno je było uznać za partnerów do konwersacji. Drzewa, chociaż bezsprzecznie dekoracyjne, wysiadały w charakterze kompanów od kieliszka.

Collins skonstatował, że w głębi duszy jest skończonym mieszczuchem.

W związku z tym, korzystając z pomocy towarzystwa przenosicielskiego Powha Minnile, towarzystwa budowlanego Maxima Olph, biura podróży Jagton Instantaneous, oraz lokując sporą forsę w odpowiednich rękach, Collins przeprowadził się do małej republiki w Ameryce Środkowej. Tam, korzystając z cieplejszego klimatu i braku podatku dochodowego, wybudował obszerny, przewiewny, wystawny pałac.

Przez krótki czas wszystko układało się sympatycznie.

Któregoś ranka Collins podszedł do Utylizatora z niezbyt sprecyzowaną intencją zażądania samochodu sportowego i może nie-

wielkiego stadka rodowodowego bydła na dodatek. Pochylił się nad szarym blatem maszyny, sięgnął ręką do guzika...

A wtedy Utylizator cofnął się przed nim.

Przez chwilę Collins myślał, że ma przywidzenia i bliski był podjęcia decyzji, że już nie będzie pił szampana przed śniadaniem. Dał krok do przodu i sięgnął do guzika.

Utylizator wykonał zgrabny unik i truchcikiem wycofał się z pokoju.

Collins skoczył za nim, przeklinając właściciela i całą klasę A. To na pewno była ta animacja, o której opowiadał Leek – właścicielowi udało się w jakiś sposób ożywić maszynę. Ale nie to było najważniejsze. Najważniejsze było dogonić aparat, wcisnąć guzik i wezwać fachowców z Kontroli Animacji.

Utylizator pędził środkiem hallu, Collins tuż za nim. Pomocnik lokaja, polerujący właśnie masywną gałkę u drzwi, spojrzał na nich z rozdziawioną gębą.

– Zatrzymaj to! – wrzasnął Collins.

Pod-lokaj niezdarnie zablokował drogę Utylizatorowi. Maszyna wyminęła go z wdziękiem i sprintem puściła się ku drzwiom wejściowym.

Collins nacisnął guzik i drzwi zatrzasnęły się z głośnym hukiem.

Utylizator wziął rozpęd i staranował zamknięte drzwi. Znalazłszy się na zewnątrz, zawadził o szlauch ogrodowy, natychmiast odzyskał równowagę i ruszył ku otwartej przestrzeni.

Collins puścił się za nim. Gdyby tylko udało mu się zbliżyć jeszcze o kawałek...

Utylizator nagle wyskoczył w górę. Na moment zawisł w powietrzu, po czym opadł na ziemię. Collins rzucił się do guzika.

Utylizator przeturlał się na bok, podbiegł kawałek i znów podskoczył. Przez chwilę wisiał dwadzieścia stóp nad głową Collinsa, podciągnął się jeszcze o kilka stóp do góry, zamarł bez ruchu, obrócił się gwałtownie i spadł na ziemię.

Collins przeraził się, że za trzecim skokiem maszyna już nie opadnie. Kiedy Utylizator niechętnie wracał na ziemię, Collins był już przygotowany. Przyczaił się i przypadł do guzika. Utylizator zrobił unik, ale za późno.

– Kontrola Animacji! – ryknął triumfalnie Collins.

Nastąpił drobny wybuch i Utylizator potulnie osiadł w miejscu. Nie było w nim ani śladu życia.

Collins otarł czoło i przysiadł na maszynie. Tamci są coraz bliżej. Powinien teraz, póki jest okazja, wygłosić jakieś ważne życzenie.

Jednym tchem zażądał pięciu milionów dolarów, trzech czynnych szybów naftowych, studia filmowego, doskonałego stanu zdrowia, jeszcze dwudziestu pięciu tancerek, nieśmiertelności, samochodu sportowego i stada rodowodowego bydła.

Wydało mu się, że ktoś syknął z niesmakiem. Rozejrzał się wokoło. Nikogo nie było.

Kiedy się odwrócił, Utylizatora też nie było.

Collins tylko wytrzeszczył oczy. A po chwili nie było również i jego...

Kiedy otworzył oczy, okazało się, że stoi przed biurkiem. Po drugiej stronie biurka siedział potężny facet, czerwony na gębie, ten sam, który kiedyś próbował się wedrzeć do jego pokoju. Facet nie wyglądał na zagniewanego. Minę miał raczej zmartwioną, wręcz melancholijną.

Collins przez krótką chwilę stał w milczeniu. Żal mu było, że to już koniec. Właściciel i ci A jednak go w końcu dopadli. Ale dopóki trwało, było fantastycznie.

– No – odezwał się bez ogródek Collins. – Ma pan z powrotem swoją maszynkę. Czego jeszcze?

– Moją maszynkę? – powtórzył czerwony na gębie, z niedowierzaniem podnosząc wzrok. – To nie moja maszynka. Bynajmniej.

Collins wybałuszył oczy.

– Nie bujaj, szefie. Wy, A klasa, dobrze dbacie o ochronę swojego monopolu, co?

Czerwony na gębie odłożył papier na biurko.

– Panie Collins – oświadczył sztywno. – Moje nazwisko Flign. Jestem agentem Obywatelskiej Jednostki Ochronnej, organizacji bezdochodowej, której celem jest ochrona jednostek takich jak pan przed błędami w ocenie.

– Jak to, to pan nie jest A?

– Szanowny pan działa na podstawie fałszywych przesłanek – odparł Flign z cichą godnością. – Klasa A nie oznacza grupy społecznej, jak zdaje się pan sądzić. Jest to po prostu kategoria kredytowa.

– Co takiego? – Collins przeciągał sylaby.

– Kategoria kredytowa – Flign zerknął na zegarek. – Czasu mamy niewiele, więc będę się streszczał. Żyjemy w epoce decentralizacji, panie Collins. Nasze przedsiębiorstwa, instytucje i usługi rozsiane są na znacznych obszarach przestrzeni i czasu. Korporacja utylizacyjna jest ogniwem niezbędnym. Zapewnia transfer dóbr i usług z jednego punktu czasoprzestrzeni do drugiego. Czy pan mnie rozumie?

Collins pokiwał głową.

– Kredyt jest, rzecz jasna, przywilejem automatycznym. Jednak w końcu za wszystko trzeba płacić.

Collinsowi nie spodobało się to ostatnie zdanie. Jak to – zapłacić? A więc nie był to świat aż tak cywilizowany, jak mu się zdawało. Nikt wcześniej nie wspominał o płaceniu. Dlaczego wyskakują z tym dopiero teraz?

– Dlaczego ktoś mnie nie powstrzymał? – zapytał zrozpaczony Collins. – Przecież musieli wiedzieć, że nie mam odpowiedniej kategorii.

Flign pokręcił głową.

– Kategorie kredytowe mają charakter sugestii, nie przepisów. W cywilizowanym świecie jednostka ma prawo do decydowania o sobie. Bardzo mi przykro, sir – znów zerknął na zegarek i wręczył Collinsowi papier, który uprzednio studiował. – Zechce pan rzucić okiem na ten rachunek i powiedzieć mi, czy wszystko się zgadza?

Collins wziął od niego kartkę i przeczytał:

Jeden pałac z wyposażeniem .... *kred. 45 000 000*
Usługi Przenosicielskie, Maxima Olph *111 000*
122 tancerki *122 000 000*
Doskonały stan zdrowia *888 234 031*

Szybko przeleciał wzrokiem resztę listy. Suma opiewała na nieco ponad osiemnaście miliardów kredytów.

– Jedną chwileczkę! – zaprotestował Collins. – Nie mogę za to wszystko odpowiadać! Ten cały Utylizator wpadł mi do pokoju przypadkiem!

– Jest to fakt, na który zamierzam zwrócić ich uwagę – odparł Flign. – Kto wie, może okażą zdrowy rozsądek. Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

Collins poczuł, że pokój się kołysze. Twarz Fligna rozpływa się przed jego oczami.

– Czas minął – powiedział Flign. – Powodzenia.

Collins zamknął oczy.

Kiedy je znów otworzył, stał na ponurej równinie, a przed nim wznosił się łańcuch kołkowatych gór. Zimny wicher smagał po twarzy, niebo miało barwę stali.

Koło niego stał jakiś obdartus.

– Trzymaj – powiedział i wręczył Collinsowi kilof.

– Co to jest?

– To jest kilof – wyjaśnił cierpliwie obdartus. – A tam – o tam, są kamieniołomy, z których ty, i ja, i inni też, będziemy wydobywać marmur.

– Marmur?

– A jak! Zawsze się znajdzie jakiś drań, któremu się zamarzy marmurowy pałac. – Obdartus uśmiechnął się kwaśno. – Możesz mi mówić Jang. Spędzimy razem kawał czasu.

Collins, ogłupiały, zamrugał oczami.

– Ile?

– Sam sobie oblicz – powiedział Jang. – Stawka jest piętnaście kredytów za miesiąc, do chwili całkowitego spłacenia długu.

Kilof wypadł z ręki Collinsa. Nie mogli mu zrobić czegoś takiego! Korporacja Utylizacyjna na pewno już dostrzegła swoją omyłkę?! To oni się pomylili, przez nich maszyna omsknęła się w przeszłość! Czyż tego nie rozumieją?

– To pomyłka! – powiedział Collins.

– Nie ma żadnej pomyłki – powiedział Jang. – Oni tu stale cierpią na brak rąk do pracy. Prowadzą rekrutację gdzie się da. Nie przejmuj się. Najgorsze pierwsze tysiąc lat, potem się przyzwyczaisz.

Collins ruszył za Jangiem w stronę kamieniołomów. Nagle zatrzymał się.

– Pierwsze tysiąc lat? Przecież człowiek tyle nie żyje!

– Niektórzy żyją – uspokoił go Jang. – Nie prosiłeś przypadkiem o nieśmiertelność?

Istotnie, prosił. Zażądał nieśmiertelności tuż przed tym jak cofnęli mu maszynę. A może cofnęli mu maszynę tuż po tym jak zażądał nieśmiertelności?

Collins coś sobie przypomniał. Dziwne, ale na rachunku, który przedstawił mu Flign, nieśmiertelność nie figurowała.

– Nie wiesz czasem, ile biorą za nieśmiertelność? – zapytał.

Jang popatrzył na niego i parsknął śmiechem.

– Nie bądź naiwny, synku. Powinieneś się już dawno połapać.

Podprowadził Collinsa pod kamieniołomy.

– Nieśmiertelność dostajesz za frajer, to chyba jasne.

Przełożyła Jolanta Kozak

STEPHEN KING

Stephen King jest najlepiej znanym, najwyżej opłacanym, a być może także najlepszym ze współczesnych twórców literackiego horroru. To właśnie zdecydowało, że ten numer „Fantastyki" zawiera cały zestaw tekstów poświęcony jego twórczości – i jego sukcesom. Składają się nań: esej samego pisarza (poniżej), opublikowany pierwotnie w nieco rozszerzonej wersji jako wstęp do tomu opowiadań „Night Shift" („Nocna zmiana", stąd tytuł polski), mikropowieść „Ballada o celnym strzale" (str. 23), należąca do niewątpliwych literackich osiągnięć kontrowersyjnego pod tym względem Kinga, oraz teksty krytyczne: jeden poświęcony jego pisarstwu (str. 43), drugi – filmom zrealizowanym na podstawie jego powieści (str. 64).

(K. Sok.)

Nocna zmiana

Porozmawiajmy sobie, ty i ja. Porozmawiajmy o strachu.

Piszę te słowa w pustym domu. Za oknem pada zimny deszcz. Jest noc. Czasami wyje wiatr i kiedy go słyszysz, tracisz przytomność. Ale dziś nie ma wiatru, więc możemy porozmawiać o strachu. Zastanowimy się, spokojnie i racjonalnie, w jaki sposób człowiek dochodzi do granicy szaleństwa.. a czasami nawet przekracza tę granicę.

Nazywam się Stephen King. Jestem dorosły, mam rodzinę: żonę i troje dzieci. Kocham ich i mam nadzieję, że odwzajemniają to uczucie. Zarabiam na życie jako pisarz i bardzo mi się to podoba. Powieści „Carrie", „Salem's Lot" i „The Shining" odniosły sukces wystarczający, bym oprócz pisania nic już nie musiał robić, a pisanie sprawia mi przyjemność. Na razie jestem chyba zupełnie zdrowy. W zeszłym roku zmieniłem gatunek mocnych papierosów bez filtra, które paliłem od 18 roku życia na nowy, o małej zawartości nikotyny i substancji smolistych i ciągle mam nadzieję, że uda mi się zupełnie rzucić palenie. Mieszkam z rodziną w ładnym domu stojącym nad brzegiem całkiem jeszcze czystego jeziora w stanie Maine. Tej jesieni obudziłem się pewnego ranka i zobaczyłem jelenia, stojącego na trawniku tuż przy drewnianym stole. Wszystko się nam jakoś układa.

Więc...porozmawiajmy o strachu. Bez podnoszenia głosu i bez krzyków, porozmawiajmy sobie rozsądnie – ty i ja. Porozmawiamy o tym, jak solidna materia rzeczywistości rozrywa się czasami tak nagle, że przyprawia nas to o drżenie.

Nocą, kiedy kładę się spać, nim zgaszę światło, zawsze przykrywam nogi kocem. Nie jestem dzieckiem już od dawna...ale nie potrafię zasnąć z nogami wystającymi spod koca. Jakaś zimna dłoń może się przecież wysunąć spod łóżka i złapać mnie za kostkę. A wtedy zacząłbym krzyczeć, krzyczeć tak, że zbudziłbym umarłych. Coś takiego, oczywiście, nie może się zdarzyć i wszyscy o tym wiemy. W moich opowiadaniach spotkać można wiele nocnych stworów: wampiry, potwory i mnóstwo innych strachów. One naprawdę wcale nie istnieją. To coś, co leży pod łóżkiem i czeka, żeby mnie złapać za kostkę, także nie istnieje. Wiem o tym doskonale i wiem także, że jeśli dokładnie schowam nogi pod koc, to nigdy nie zdoła zacisnąć na nich swej zimnej dłoni.

★

Czasami miewam okazję do spotkań z ludźmi, którzy interesują się pisaniem lub literaturą i nim skończę przemówienie, ktoś z nich zawsze podnosi rękę do góry i zadaje następujące pytanie: „Dlaczego wybiera pan sobie takie okropne tematy?"

Zazwyczaj odpowiadam im pytaniem: „A dlaczego myślicie, że miałem jakiś wybór?"

Pisanie to zawód, w którym wszystkie chwyty są dozwolone. Wszyscy rodzimy się wyposażeni w odpowiednie umysłowe filtry, które mają różne wymiary i różne wkłady. To, co zostaje na moim filtrze, przejdzie przez twój. To, co zostanie na twoim, bez problemu przeleci przez mój. Każdy z nas przesiewa żwir, który pozostał na jego filtrze i to, co tam znajduje, staje się jego obsesją. Urzędnik może być fotografem. Astronom może zbierać monety. Nauczyciel może kopiować stare, cmentarne inskrypcje. W cywilizowanym społeczeństwie niepisana umowa wymaga, by takie obsesje nazywać niewinnym słowem „hobby".

Czasami hobby zmienia się w zawód. Urzędnik może stwierdzić, że zarabia fotografią wystarczająco dobrze, żeby utrzymać rodzinę, nauczyciel może zacząć wygłaszać wykłady o inskrypcjach. I są także takie zawody, które rodzą się jako hobby i pozostają hobby nawet wtedy, kiedy dzięki nim zarabia się na życie. Tylko, że „hobby" to takie znane, takie poczciwie brzmiące słowo. Inna niepisana umowa każe więc nazywać takie „zawodowe hobby" sztuką.

Malarstwo. Rzeźba. Muzyka. Śpiew. Aktorstwo. Gra na różnych instrumentach. Pisanie. Na tych siedem tematów napisano już tyle książek, że mogłyby zatopić flotę luksusowych transatlantyków. Powszechna zgoda panuje tylko pod jednym względem: ci, którzy uprawiają którąś z tych sztuk uczciwie, pracowaliby nawet wtedy, gdyby nikt im za to nie płacił, nawet gdyby ich krytykowano, gdyby kpiono, grożono więzieniem i śmiercią. Brzmi to dla mnie jak całkiem dobre określenie obsesji, odnoszące się zarówno do zwykłych hobby, jak i do „sztuki". Kolekcjonerzy broni nalepiają na zderzakach samochodów nalepki z tekstem: „Strzelbę zabierzecie mi po moim trupie", a na przedmieściach Bostonu niepracujące żony, które odkryły niedawno, czym może być polityczna aktywność, często nalepiają na zderzaki swych kombi slogan: „Raczej pójdę do więzienia, niż oddam dziecko do szkoły w śródmieściu". I podobnie: gdyby jutro zakazać prawem kolekcjonowania monet, astronom najprawdopodobniej nie oddałby nikomu swych cennych groszaków; owinąłby je raczej folią, zatopił na dnie spłuczki w toalecie i podziwiał tylko w nocy.

Może ci się wydawać, że odeszliśmy daleko od naszego tematu, ale tak naprawdę jesteśmy ciągle blisko niego. Żwir, który zatrzymuje się w moim filtrze, często zawiera okruchy strachu. Strach jest moją obsesją. Nigdy nie pisałem dla pieniędzy, choć wiele opowiadań publikowałem w magazynach, nim ukazały się w książce. Nigdy też nie odesłałem nie zrealizowanego czeku – może i mam obsesję, ale nie jestem wariatem! Ale, powtarzam: nie piszę dla pieniędzy – piszę, bo przyszło mi do głowy, żeby coś napisać. Moją obsesję łatwo sprzedać. W wygłuszonych celach szpitali całego świata mnóstwo jest szaleńców, którzy nie mają tego szczęścia.

Nie jestem wielkim artystą słowa, ale zawsze coś pchało mnie do pisania. Co dzień przesiewam więc żwir, w którym znajdują się okruchy obserwacji, pamięci i myśli, co dzień próbuję sklecić coś z tych okruchów, które nie przeszły przez sito i nie spłynęły w ściek podświadomości.

Louis L'Amour, autor westernów i ja może staniemy kiedyś przy małym zbiorniku wody w Colorado. W tej samej chwili wpadniemy może na podobny pomysł. Może obaj postanowimy zmienić go w słowa. On napisze o prawie do wody, obowiązującym w czasie suszy, ja zaś zapewne napiszę o strasznych potworach, wstających spod martwych wód, by porywać owce...konie...a w końcu także i ludzi. Obsesją Louisa L'Amour jest historia Dzikiego Zachodu, moją – stworzenia przemykające się po świecie w blasku gwiazd. On pisze westerny, ja – horrory. Obaj mamy lekkiego świra.

Sztuka jest obsesją, a obsesje są niebezpieczne. Przypominają intelektualny nóż. W niektórych przypadkach – przychodzi mi na myśl Dylan Thomas, Ross Lockridge, Hart Craine, Sylvia Plath – nóż ten obraca się gwałtownie przeciw osobie, która trzyma go za rękojeść. Sztuka jest jak miejscowa choroba o objawach dobroczynnych (ludzie twórczy na ogół długo żyją) lub okropnych. Trzeba używać tego noża z wyczuciem, ponieważ, jak wiesz, obojętne mu, kogo tnie. A jeśli jesteś mądry, przesiewasz żwir uważnie. To, co pozostaje na sicie, nie musi być jeszcze...martwe.

★

Gdy rozprawię się już z pytaniem o to, dlaczego piszę „takie rzeczy", pada zwykle pytanie o to, dlaczego ludzie je czytają. „Dlaczego to się sprzedaje?" W tym pytaniu ukryte jest przypuszczenie, że zainteresowanie strachem dowodzi niezdrowych gustów. Ludzie, którzy piszą do mnie listy, zaczynają je zazwyczaj tak: *Może pomyśli Pan, że coś ze mną nie w porządku, ale z przyjemnością przeczytałem „Salem's Lot". Być może to chorobliwe, ale podobała mi się każda strona „The Shining"...*

Być może kluczem do zrozumienia takich stwierdzeń jest zdanie z omówienia pewnego filmu w „Newsweeku". To był horror, raczej taki sobie, a zdanie brzmiało jakoś tak: *Cudowny film dla ludzi, którzy zwalniają, żeby popatrzyć na ofiary wypadku samochodowego.* Fajnie napisane, ale jeśli przyjrzeć się temu bliżej stwierdzimy, że odnosi się chyba do wszystkich horrorów filmowych i literackich.(...)

Nawet wielka literatura fantastyczna ma coś z motywu „Popatrz! Wypadek!" Boewulf morduje matkę Grendela. Hobbit Sam walczy z pajęczycą Szelobą w ostatniej księdze trylogii Tolkiena. (...)

Faktem jest – po cichu wszyscy zdajemy sobie z tego sprawę – że tylko niewielu z nas potrafi powstrzymać się od spojrzenia na rozbity samochód otoczony przez policyjne radiowozy. Starsi obywatele biorą do ręki poranną gazetę i zaczynają czytać ją od ostatniej strony, chcąc sprawdzić, kogo przeżyli. Wszystkich nas szokuje wiadomość, że zmarł ktoś sławny: Dan Blocker, Freddy Prinze, Janis Joplin. Czujemy strach i dziwny rodzaj radości, gdy w porannych wiadomościach usłyszymy, że młoda kobieta weszła podczas deszczu pod obracające się śmigło samolotu na małym lotnisku lub że robotnik obsługujący wielką przemysłową wirówkę oparł się o wyłącznik. Nie ma sensu walczyć z oczywistymi faktami: życie pełne jest nieszczęść wielkich i małych, a ponieważ potrafimy pojąć jedynie te małe, one właśnie budzą pamięć o moralności.

Nie da się zaprzeczyć, że te kieszonkowe nieszczęścia bardzo nas interesują, nie da się również zaprzeczać, że budzą także uczucie grozy. Te dwa uczucia mieszają się w nierównych proporcjach...a w tej mieszaninie przeważa wstyd, który wydaje się podobny do wstydu towarzyszącego seksualnemu przebudzeniu.

Nie mam zamiaru tłumaczyć ci, byś nie czuł się winny, tak samo jak nie mam zamiaru usprawiedliwiać i tłumaczyć moich powieści i opowiadań. Można jednak zauważyć interesujące podobieństwo między popędem płciowym a strachem. Gdy jesteśmy już zdolni do nawiązania stosunków seksualnych, zaczynamy się nimi interesować i to zainteresowanie, jeśli nie przybierze z jakichś powodów form nienaturalnych, kończy





się stosunkiem płciowym i przedłużeniem gatunku. W chwili, w której stajemy się świadomi końca życia, poznajemy strach. Myślę, że strach prowadzi do pojęcia nieuniknioności śmierci, tak jak seks prowadzi do przedłużenia trwania gatunku.

Istnieje bardzo stara opowieść o siedmiu ślepcach, próbujących opisać słonia. Jeden z nich sądził, że złapał węża, inny mówił o wielkim, palmowym liściu, jeszcze inny przekonany był, że dotyka kamiennej kolumny. Dopiero kiedy porozumieli się między sobą, stwierdzili, że to był słoń.

Strach jest uczuciem, które czyni z nas ślepców. Jak wielu rzeczy się boimy! Boimy się zapalić światło, kiedy mamy mokre ręce. Boimy się wsunąć nóż do toastera i nie wyciągniemy nim przypalonej grzanki, póki nie wyłączymy wtyczki z sieci. Boimy się tego, co powie nam lekarz zaraz po skończonych badaniach. Boimy się w samolocie, który znienacka wpada w powietrzną dziurę. Boimy się wyczerpywania zapasów ropy, zapasów dobrego powietrza, dobrej wody i dobrego życia. Córka obiecała wrócić o jedenastej, jest już piętnaście po dwunastej, udajesz więc, że oglądasz nocny film w telewizji i tylko popatrujesz od czasu do czasu na milczący telefon, a to, co czujesz, oślepia cię i już nie potrafisz myśleć...

Dziecko nie czuje strachu do chwili, w której po raz pierwszy zacznie płakać, a mama nie pojawi się, żeby podać mu pierś. Maluch szybko uczy się kilku twardych i bolesnych prawd: drzwi często się zatrzaskują, piecyk parzy, wraz z chorobami pojawia się gorączka. Dziecko szybko uczy się strachu, czasami poznaje go z twarzy matki lub ojca, którzy wchodzą do łazienki i widzą, jak bawi się buteleczką z lekarstwami lub ostrzem maszynki do golenia.

Strach nas oślepia, więc dotykamy swego strachu z gwałtowną ciekawością wynikającą z egoistycznego instynktu poznania, próbujemy złożyć w całość słonia, złożyć go w całość z setek oddzielnych części, tak jak składali go ślepcy ze starej opowieści.

Czujemy kształt. Dzieci poznają ten kształt łatwo, później zapominają o nim i muszą uczyć się go od nowa, już jako dorośli. Poznajemy kształt, poznajemy go wcześniej lub później: jest to kształt ciała przykrytego białym prześcieradłem. Nasze małe strachy sumują się w wielki strach, małe strachy są częścią jednego, wielkiego strachu – jego ręką, palcem, uchem. Boimy się spoczywającego pod białym prześcieradłem ciała, ponieważ jest to nasze ciało. Horror przyciągał ludzi przez wieki tym, że pełnił rolę próby generalnej przed naszą własną śmiercią.

Nigdy nie ceniono wysoko tej literatury. Przez długi czas jedynymi przyjaciółmi Poego i Lovecrafta byli Francuzi, którzy potrafili jakoś tam dogadać się z seksem i ze śmiercią. Braciom Amerykanom zawsze brakowało do tego cierpliwości. Amerykanie byli tak bardzo zajęci budowaniem linii kolejowych, że zarówno Poe, jak i Lovecraft umarli w zapomnieniu. Fantazje tolkienowskiego Śródziemia istniały przez 20 lat nim odniosły poważniejszy sukces, a Kurt Vonnegut, którego książki tak często dotyczą problemu śmierci jako teatralnej próby, ciągle jest krytykowany, najczęściej przy pomocy histerycznego pisku.

Pewnie bywa tak dlatego, że twórcy horrorów przynoszą zawsze złe wieści. Umrzesz, mówią. Tłumaczą, byś nie przejmował się optymistycznym: „coś dobrego dziś ci się przydarzy", bowiem zdarzy ci się dziś także coś złego, może rak, może zawał, może wypadek samochodowy – coś złego czeka cię za najbliższym rogiem. Biorą twoją dłoń w swoją, prowadzą cię do ciemnego pokoju, każą położyć ręce na przykrytym prześcieradłem kształcie i dotknąć go... i jeszcze raz... jeszcze raz...

Oczywiście – nie tylko my zajmujemy się śmiercią. Bardzo wielu pisarzy tak zwanego „nurtu głównego" też się nią zajmowało: „Zbrodnia i kara" Fiodora Dostojewskiego, „Kto się boi Wirginii Woolf" Edwarda Albee, nawet powieści z Lwem Archerem Rossa McDonalda. Strach to coś ważnego. I śmierć jest ważna. Co do tego wszyscy są zgodni. Lecz tylko ktoś, kto pisze horrory i literaturę niesamowitą, daje czytelnikowi okazję do pełnej identyfikacji – i katharsis. Każdy z operujących na tym polu twórców – jeśli ma tylko odrobinkę samoświadomości – wie, że to pole jest rodzajem błony dyfuzyjnej, rozpostartej między świadomością i podświadomością. Horror jest jak stacja przesiadkowa metra ludzkiej psychiki: linia zielona to to, co możemy bezpiecznie przyjąć, linia czerwona to to, co musimy z siebie wyrzucić w taki czy inny sposób.

Czytasz horrory i tak naprawdę wcale nie wierzysz w to, co czytasz. Tak naprawdę nie wierzysz w wampiry, wilkołaki, w ciężarówki, w których silniki włączają się same z siebie, wyjeżdżające na szosę bez kierowcy. Wierzymy tylko w strach, który opisują Dostojewski, Albee, McDonald: w nienawiść, wyobcowanie, beznadziejną, samotną starość i wrogi świat, w który wkracza się niepewnym krokiem młodości. W naszym codziennym świecie przypominamy często maski Komedii i Tragedii, na zewnątrz uśmiechnięte, wewnątrz skrzywione grymasem goryczy. Gdzieś wewnątrz jest jakiś przełącznik lub transformator, w którym stykają się przewody prowadzące do obu masek. I w ten punkt powinien trafić horror. (...)

W latach pięćdziesiątych pojawiło się naraz wiele filmów o potworach: „One!", „The Begining of the End", „The Deadly Mantis" i tak dalej. W miarę, jak robiło się ich coraz więcej, odkrywaliśmy z całą pewnością, że te wielkie, wstrętne mutanty pojawiły się jako skutek prób z bronią jądrową w Nowym Meksyku lub na jakimś atolu na Pacyfiku. W bardziej współczesnym „Horror of the Party Beach" przyczyną ich pojawienia była awaria reaktora atomowego. Te filmy, zebrane razem, formowały niewątpliwy wzór, świadczyły o ogarniającym cały naród strachu przed nową epoką, którą zapoczątkował Projekt Manhattan. Trochę później pojawiła się seria horrorów „z nastolatkami": począwszy od „Teen-Agers from Outer Space" po „Blob", w którym Steve McQuinn, jeszcze bez zarostu, walczył z galaretowatymi mutantami przy pomocy swych nastoletnich przyjaciół. W czasach, w których każdy tygodnik zawierał przynajmniej jeden artykuł o wzbierającej fali przestępczości wśród nieletnich, takie filmy ujawniały budzący się w całym kraju strach przed kiełkującą młodzieżową rewolucją i kiedy widziałeś, jak Michael Landon zmienia się w wilkołaka mając na sobie marynarkę od szkolnego mundurka, pojawiało się połączenie między ekranową fantazją a łobuzem w szybkim samochodzie, który próbuje umówić się z twoją córką. Dla samych nastolatków (byłem wtedy jednym z nich i mówię z własnego doświadczenia) potwory wylęgające się w studiach dzierżawionych przez American-International były szansą ujrzenia czegoś okropniejszego niż oni sami; cóż znaczy kilka pryszczy w porównaniu ze strasznym „tym", dzieciakiem ze szkoły w „I was a Teen-Age Frankenstein"? Ten sam cykl wyrażał także powszechny u nastolatków żal, że rodzice kontrolują ich i popychają, że oni po prostu „nie rozumieją". Filmy są wzorcotwórcze (tak jak horror, literacki i kinowy), a przyjęty przez nie wzorzec wyrażał jasno ogarniającą całe pokolenie paranoję, bez wątpienia przynajmniej częściowo spowodowaną artykułami, które czytali rodzice. W tych filmach jakiś straszny, pokryty brodawkami stwór zagrażał Elmsville. Dzieciaki o tym wiedziały, bo widziały latający spodek lądujący przy ulicy, na której spotykają się zakochani. W pierwszej scenie potwór zabijał starego człowieka w ciężarówce (grał go wspaniale Elisha Cook, Jr). W następnych trzech scenach próbowały więc przekonać rodziców, że gdzieś w okolicy czai się potwór. „Zjeżdżajcie, nim was zamknę za uchylanie się od poboru" – ostrzegał ich szef policji Elmsville chwilę przed tym, nim potwór rzeczywiście pojawiał się na Ulicy Głównej, szerząc zniszczenie. W końcu to właśnie jakiś cwany dzieciak wykańczał tego potwora, szedł do jedynego w mieście lokalu, zamawiał koktajl czekoladowy, wrzucał monetę do grającej szafy i kiwał się w rytm jakiejś zapomnianej już dziś melodii, a na ekranie leciały ostatnie napisy.

Trzy zupełnie różne okazje do katharsis w jednym cyklu filmów – całkiem nieźle jak na grupę tanich dzieł, produkowanych na ogół w jakieś 10 dni. Nie stało się tak dlatego, że chcieli tego producenci i reżyserzy – zdecydował o tym sam horror, czujący się najlepiej tam, gdzie świadomość styka się z podświadomością, a jest to miejsce, w którym obraz i alegoria pojawiają się w najbardziej naturalny sposób z najbardziej niszczącym skutkiem. Można wyznaczyć prostą linię ewolucji pomiędzy „I was a Teen-Age Werewolf" i „Mechaniczną pomarańczą" Kubricka oraz między „Teen-Age Monster" i „Carrie" Briana de Palmy.

Dobry horror jest prawie zawsze alegoryczny. Czasami ta alegoria jest zamierzona, jak w „Folwarku zwierzęcym" lub „1984", czasami po prostu jest – J.R.R. Tolkien przysięgał na wszystko, że Ciemny Władca Mordoru nie jest Hitlerem w fantastycznym przebraniu, a prace magisterskie i doktorskie powtarzają to raz za razem. Może dzieje się tak na zasadzie powiedzenia Boba Dylana, że jeśli masz w ręku nóż i widelec, musisz w końcu coś przekroić.

Dzieła Edwarda Albee, Steinbecka, Camusa, Faulknera dotyczą strachu i śmierci. Ocierają się czasami o horror, lecz na ogół twórcy „głównego nurtu" radzą sobie z tym w sposób bardziej żywiołowy, normalny. Ich książki ujęte są w ramy rzeczywistego świata – to opowieści o tym, co „mogło się" zdarzyć. Jadą tą linią metra, która prowadzi w zewnętrzny świat. Są też inni pisarze: James Joyce, znów Faulkner i poeci tacy jak Eliot, i Sylvia Plath, i Anne Sexton, których dzieła umieszczone są w krainie symbolicznej nieświadomości. Ich pociąg jedzie w świat wnętrza. Twórca horrorów, jeśli tylko jest coś wart, żyje tam, gdzie przecinają się te linie. Jeżeli coś mu się uda, mamy dziwne wrażenie: nie śpimy i nie jesteśmy do końca obudzeni, czas wydłuża się i skraca, słyszymy głosy, lecz nie rozumiemy słów, sen jest rzeczywistością, a rzeczywistość snem.

★

Oto kilka moich sądów o tym, czym jest horror, lecz jestem całkiem pewien, że musi być w nim coś jeszcze, coś najważniejszego. Musi opowiadać historię, która rzuca czar na czytelnika lub słuchacza zagubionego w świecie, którego nigdy nie było i nie mogło być. Przez całą mą pisarską karierę przekonany byłem o tym, że w pisarstwie walory fabuły są ważniejsze od każdej innej warsztatowej umiejętności: charakterystyka postaci, styl, nastrój nie mają żadnej wartości, jeśli fabuła usypia. A jeśli jest dobra, usprawiedliwia każdy grzech. Ulubione przeze mnie zdanie na ten temat wypowiedział Edgard Rice Burroughs. Nikt nie twierdzi, że był on Naprawdę Wielkim Pisarzem, ale walory szybkiej akcji rozumiał jak mało kto. Na pierwszej stronie „The Land That Time Forget" narrator znajduje w butelce rękopis, reszta powieści to właśnie treść tego rękopisu. Narrator mówi: „Przeczytaj tylko stronę, a zapomnisz o mnie". Tej obietnicy Burroughs potrafił dotrzymać. Nie udało się to pisarzom większym niż on.

★

(...) I tu cię opuszczam. Przedstawienie już się zaczyna. Wejdziemy do ciemnego pokoju i dotkniemy przykrytego prześcieradłem kształtu. (...)

Czekam tu, gdzie ciągle jest ciemno, gdzie ciągle pada deszcz. Mamy przed sobą noc. Chcę wam coś pokazać, pozwolić wam na dotknięcie czegoś. Niedaleko stąd, na następnej stronie, jest pokój.

Proszę wejść.

Przełożył i opracował
Krzysztof Sokołowski

Ja miałem oryginał i trzy fotokopie, które wylądowały w Jackson River razem z samochodem. Zapakowane w kartonowe pudło. No, tak. Gdybym je włożył do bagażnika, pewnie by ocalały - tył samochodu w ogóle nie zanurzył się w wodzie, a nawet gdyby, kartki przecież można suszyć. Ale ja chciałem je mieć blisko siebie, więc jechały na siedzeniu. Kiedy wpadłem do rzeki, okna były otwarte. Przypuszczam, że po prostu popłynęły. Do morza. Wolę wierzyć, że to było właśnie tak, że nie zgniły w leżącym na dnie wraku, że nie pożarły ich ryby, że nie zdarzyło im się coś...nieestetycznego. Wierzyć, że popłynęły do morza jest znacznie przyjemniej, choć to trochę mniej prawdopodobne, ale w kwestiach tego, w co chcę wierzyć, a w co nie, jestem jeszcze ciągle wystarczająco elastyczny. No, tak.

Redaktor wsiadł do swojego samochodziku i odjechał. Pisarz stał i patrzył za nim, póki czerwone światełka nie mrugnęły i nie rozpłynęły się w mroku. Później odwrócił się i zobaczył żonę, stojącą w ciemności na szczycie schodów, uśmiechającą się do niego trochę nieśmiało. Ręce splatała mocno na piersiach, choć noc była raczej ciepła.

- Zostaliśmy tylko my - powiedziała. - Wejdziemy?

- Oczywiście.

A kiedy wchodzili po schodach zatrzymała się nagle i zapytała:

- Paul, w twojej maszynie nie ma fornitów? Prawda?

Zaś pisarz, który czasem - często - zastanawiał się nad tym, skąd właściwie biorą się słowa, odpowiedział bohatersko: „Nie".

Weszli do domu trzymając się za ręce i zamknęli drzwi przed otaczającą ich nocą.

KONIEC

STEPHEN KING

BALLADA O CELNYM STRZALE

(The Ballad of the Flexible Bullet)

przełożył **Krzysztof Sokołowski**

Stephen King urodził się 21 września 1947 r. w Portland w stanie Maine. Swoje pierwsze „dzieła" pisał mając siedem lat – powstawały one głównie pod wpływem powieści fantastyczno-naukowych, które namiętnie czytał od dzieciństwa. W 1965 r. opublikował w fanzinie pierwsze opowiadanie „I was a Teenage Grave Robber" (Byłem nastoletnią hieną cmentarną), umiejętność znajdowania dobrych tytułów towarzyszyła mu od tej pory przez całą pisarską karierę. W 1967 r. zadebiutował jako profesjonalista opowiadaniem „The Glass Floor" (Szklana podłoga) opublikowanym przez „Startling Mystery Stories", w tym samym roku ukończył też pierwszą powieść „The Long Walk" (Długi spacer), której nie odważył się posłać do wydawnictwa. Za to druga powieść „Sword in the Darkness" (1968, Miecz w ciemności) została odrzucona aż przez dwunastu wydawców, ciągle jeszcze nie wiedzących, że może to być żyła złota. Od czasu do czasu publikując opowiadania, pisze dwie powieści (również nie przyjęte do druku). W 1969 r. żeni się, pracuje przez pewien czas jako robotnik, uzyskuje posadę nauczyciela na uniwersytecie stanowym w Maine i wreszcie w 1973 r. publikuje swą pierwszą powieść „Carrie".

Zyski z niezwykłego powodzenia „Carrie" umożliwiają mu rzucenie pracy i utrzymanie rodziny z pisania. Obok niezliczonych opowiadań, do 1976 r. (przełomowego w i tak błyskawicznej karierze) King publikuje jeszcze jedną powieść – „Salem's Lot" (1975).

W 1976 r. wchodzi na ekrany film Briana de Palmy „Carrie", będący ekranizacją jego pierwszej powieści i od tej pory gwiazda Kinga świeci coraz jaśniej. W tym samym roku „Salem's Lot" otrzymuje „World Fantasy Award". W 1977 r. ukazuje się „The Shining" (Lśnienie). W 1979 r. „Salem's Lot" zostaje przerobiony na serial telewizyjny. W 1980 r. na ekranach kin pojawia się ekranizacja „Lśnienia" w reżyserii Stanleya Kubricka. W 1981 r. nowela „The Mist" (Mgła) otrzymuje „World Fantasy Award" i nominację do nagrody Nebula. Data ta jest ważna i z tego powodu, że w tym samym roku debiutuje żona Kinga, Tabitha, powieścią „Small World", która cieszy się jednak uznaniem znacznie mniejszym niż dzieła jej męża. W 1982 r. kolejną „World Fantasy Award" otrzymuje opowiadanie „Do the Dead Sings" (Czy martwi śpiewają), książka „Danse Macabre" (rozważania nad horrorem literackim i filmowym) otrzymuje nagrodę Hugo, zaś powieść „Cujo" staje się laureatką „British Fantasy Award", choć powszechnie uważa się ją za najgorszą w dorobku Kinga.

Rok 1983 – brak wprawdzie nagród, ale (w ciągu roku!) na ekrany wchodzą trzy filmy zrealizowane na podstawie utworów Kinga: „Cujo" (reż. Lewis Teague), „The Dead Zone" (reż. David Cronenberg) i „Christine" (reż. John Carpenter).

W 1984 r. na ekranach pojawiają się dwa kolejne filmy („Children of the Corn", reż. Fritz Kiersch, i „Firestarter", reż. Mark Lester), opublikowany zostaje „Talisman" (wspólnie z Peterem Straubem), którym natychmiast interesuje się Steven Spielberg.

Kolejne lata przynoszą kolejne książki, opowiadania i filmy. Kariera Kinga wydaje się nie znać granic. Debiutuje jako aktor i reżyser (1986, „Maximum Overdrive"). Jest wykładowcą uniwersyteckim, a na jego wykładach sale są pełne.

Aż strach pomyśleć...

K. Sok.

mikrofalowej. Wiem, że to brzmi jak zwierzenia wariatki, ale widziałam krew – prysnęła na szkło i zaczęła po nim ściekać.

– Trafiłem! – powiedział bardzo szczęśliwy Jimmy. – Dosta...

Reg złapał go i przerzucił przez cały pokój. Plastikowy miotacz upadł na podłogę i przełamał się na pół. Tak, to był tylko plastik i baterie.

Reg spojrzał na maszynę i krzyknął. To nie był krzyk bólu lub gniewu, choć brzmiał w nim gniew – to był krzyk dojmującego żalu. Obrócił się tam, gdzie leżał chłopiec – Jimmy upadł na podłogę i kimkolwiek mógłby być przedtem, jeśli w ogóle był kimkolwiek innym niż dość przewrotnym i bardzo nieposłusznym chłopcem – na podłodze leżał już tylko śmiertelnie przerażony sześciolatek. Reg podniósł rękę z rewolwerem i to już wszystko, co pamiętam."

Redaktor wypił resztę wody mineralnej i ostrożnie odstawił puszkę.

– Gertruda Rulin i Jimmie Rulin opowiedzieli resztę. Jane krzyknęła: „REG! NIE!", a kiedy się obejrzał, skoczyła i złapała go za rękę.

Strzelił i zgruchotał jej łokieć, ale go nie puściła. Szarpali się i Gertruda zdążyła zawołać syna, który pozbierał się już z podłogi.

Reg odepchnął żonę i strzelił jeszcze raz. Pocisk otarł się o jej skroń, parę milimetrów w prawo i byłoby po wszystkim. Nie ma co do tego wątpliwości i nie ma wątpliwości, że gdyby nie interwencja Jane Thorpe, Reg z pewnością zabiłby Jima, a najprawdopodobniej także jego matkę.

W końcu i tak postrzelił chłopca, akurat zdążył, nim Jim w objęciach matki znikł za drzwiami. Lecąca z góry na dół kula trafiła go w pośladek, wyszła udem omijając kość. Utkwiła w łydce Gertrudy. Polało się sporo krwi, ale nikt nie został poważnie poszkodowany.

Gertruda zatrzasnęła drzwi pracowni i uciekła na dwór niosąc krzyczącego i płaczącego syna.

Albo Jane już była nieprzytomna, albo rozmyślnie wolała zapomnieć o tym, co nastąpiło później. Reg usiadł przy maszynie i przyłożył lufę do czoła. Pociągnął za spust. Kula nie przeleciała obok czaszki, żeby utkwić w ścianie i nie trafiła w mózg tak, by zrobić z niego żywą roślinę. Fantazja może być, no, tak... elastyczna, ten ostatni pocisk był jednak tak twardy, jak powinien. Na maszynę upadła głowa martwego pisarza.

Kiedy na miejscu pojawiła się policja, zobaczyła taką scenę: Jane siedziała w kącie półprzytomna.

Maszyna pokryta była krwią i najprawdopodobniej również pełna krwi – rany głowy nie należą do najczystszych.

Cała krew była grupy 0.

Grupy Rega.

Panie i Panowie – to wszystko. Nie ma nic więcej do powiedzenia – głos redaktora zamarł w ochrypłym szepcie.

Nie było zwykłych po przyjęciu rozmówek. Nie było trochę może niezręcznej, lecz zawsze błyskotliwej wymiany zdań, służącej zagadaniu popełnionej w czasie zabawy niedyskrecji lub przynajmniej zamaskowaniu tego, że rozmowa zeszła na zbyt poważne tory. Lecz pisarz, odprowadzający redaktora do samochodu, nie mógł powstrzymać się od zadania ostatniego, najważniejszego pytania:

– Opowiadanie – powiedział. – Co się stało z opowiadaniem.

– Myślisz o...?

– „Ballada o celnym strzale". Tak. To przecież od niego się zaczęło. To ono przecież oddało ten celny strzał, jeśli nie w niego, to przynajmniej w ciebie. Co stało się z tym cholernym opowiadaniem, które było aż tak dobre?

Redaktor otworzył drzwi małej, niebieskiej Chevette. Na zderzaku błysnęła nalepka: Przyjaciele nie pozwalają przyjaciołom prowadzić po pijaku.

– Nikt go nigdy nie opublikował. Jeśli Reg miał kopię, zniszczył ją pewnie zaraz po tym, jak dowiedział się, że je opublikuję. Biorąc pod uwagę jego paranoiczne fantazje na ICH temat, wydaje mi się to całkiem prawdopodobne.

bywał tam już przedtem? Myślę, że tak. Jane mówiła, że trzy lub cztery dni wcześniej dała chłopcu pomarańcze, a nazajutrz podczas sprzątania znalazła skórki pod kanapą w pracowni. Reg nie jadał pomarańczy, twierdził, że jest na nie uczulony.

Jane rzuciła powłoczkę, którą właśnie prała, z powrotem do zlewu i pobiegła do pracowni. Słyszała głośne: „pah! pah! pah" miotacza i krzyk chłopca: „Mam cię! Nie uciekniesz! Widzę cię!" I twierdziła, że słyszała... słyszała... krzyk. Wysoki, jękliwy krzyk tak pełen bólu, że niemal nie do zniesienia.

„Kiedy to usłyszałam – powiedziała mi – wiedziałam już, że będę musiała odejść od Rega niezależnie od tego, co się stało, że opowieści starych bab są prawdziwe, że szaleństwem można się zarazić. Słyszałam Rackne – mówiła – ten wstrętny chłopak mordował Rackne, mordował go plastikowym miotaczem za dwa dolary.

Drzwi do pracowni były otwarte, a klucz tkwił w zamku. Dopiero później zauważyłam krzesło przysunięte do kominka i ślady butów Jimmy'ego na siedzeniu. Stał przy stoliku pod maszynę. To był stary, biurowy model z zakładanym na wałek szklanym ochraniaczem. Jimmy przycisnął lufę do szkła i strzelał – pah! pah! pah!, błyskało czerwone światełko i nagle zrozumiałam wszystko, co Reg mówił mi o elektryczności, ta zabawka działała przecież na zwykłe baterie, a ja czułam fale bólu, wypływające z niej i przepalające mi mózg.

– Widzę cię! – krzyczał Jimmy z pięknym, a zarazem obrzydliwym wyrazem błogości na twarzy. – Nie uciekniesz przed Kapitanem Future!

I ten krzyk...wrzask...jęk...coraz słabszy...cichszy.

– Jimmy, dość! – krzyknęłam.

Aż podskoczył. Zaskoczyłam go. Spojrzał na mnie, przygryzł wysunięty z napięcia język...i znów przycisnął lufę miotacza do szkła, znów zaczął strzelać pah!pah!pah! i to straszne, purpurowe światło...

Gertruda biegła przez korytarz wrzeszcząc, że ma natychmiast przestać i obiecując mu lanie, jakiego nie dostał w życiu...i wtedy frontowe drzwi otworzyły się nagle i w progu stanął wrzeszczący Reg. Wystarczyło na niego spojrzeć... od razu wiedziałam, że jest szalony. W ręku trzymał rewolwer.

– Nie zastrzelisz go! – pisnęła Gertruda i próbowała złapać Rega za rękę. Prawie nie zwrócił na nią uwagi, tylko uderzył ją kolbą i odepchnął.

Jimmy chyba nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje... po prostu dalej strzelał w maszynę. Widziałam purpurowe światło migające w jej ciemnym wnętrzu, wyglądało jak taki elektryczny łuk, na który nie wolno patrzeć bez specjalnych okularów, bo można uszkodzić źrenice i oślepnąć na całe życie.

Reg przepchnął się do pokoju odpychając mnie siłą i krzycząc: RACKNE! RACKNE! ZABIJASZ RACKNE!

A kiedy Reg biegł przez pokój najwyraźniej mając zamiar zabić tego dzieciaka – mówiła mi Jane – miałam jeszcze czas, żeby się zastanowić, ile razy właził wcześniej do tego pokoju, ile razy mógł już strzelać do maszyny pah!pah!pah!, kiedy ja z Gertrudą słałyśmy łóżka, albo wieszałyśmy pranie za domem i nic nie słyszałyśmy...ani strzałów, ani krzyków tej...tego...fornita, który mieszkał w maszynie.

Jimmy nie przestał nawet wtedy, kiedy wrzeszczący coś Reg prawie już sięgał go ręką, po prostu strzelał dalej tak, jakby wiedział, że ma ostatnią szansę i do tej pory nie mogę przestać myśleć o tym, że być może miał rację, być może ONI istnieją naprawdę, może po prostu unoszą się wokół nas, a od czasu do czasu nurkują w głębi czyjejś głowy jak skoczek robiący podwójne salto z wieży, zmuszają kogoś do zrobienia za nich brudnej roboty i uciekają, a ten ktoś mówi: „Co? Ja? Że co zrobiłem?"

Sekundę przedtem, nim Reg zdążył interweniować, wydobywający się z maszyny do pisania skrzek zmienił się w krótki, straszliwy wrzask i zobaczyłam krew rozbryzgującą się na szklanej osłonie jakby to coś ze środka po prostu eksplodowało. Jak, często o tym mówią, zwierzę zamknięte w kuchence

Przyjęcie właściwie już się skończyło. Było to udane przyjęcie – każdy mógł wypić, ile chciał, krwiste steki doskonale upiekły się na gorących węglach, a przyrządzona przez Meg sałatka ze specjalnie dobranymi przyprawami smakowała wszystkim. Zaczęli o piątej, a teraz było już wpół do dziewiątej i szybko zapadał zmierzch. O tej porze wielkie przyjęcia dopiero się rozkręcają, ale to nie było wielkie przyjęcie. Bawiło się tylko pięć osób: agent z żoną, młody pisarz i jego żona oraz redaktor pewnego magazynu, który miał niewiele ponad sześćdziesiątkę, ale wyglądał starzej. Redaktor pił tylko wodę mineralną. Jeszcze nim przyjechał, agent wyjaśnił pisarzowi, że redaktor pił kiedyś zbyt wiele. Już nie ma tego problemu, podobnie jak żony redaktora. Dlatego spotkali się w piątkę, a nie w szóstkę.

Przyjęcie nie rozkręciło się więc tak naprawdę, a kiedy zaczęło się ściemniać, wszystkich siedzących w ogrodzie przy domu młodego pisarza, ogrodzie, który ciągnął się aż do brzegu jeziora, ogarnął nastrój wspomnień. Pierwsza powieść młodego pisarza zyskała uznanie krytyki i sprzedawała się doskonale. Był więc szczęściarzem i – to mu trzeba przyznać – wiedział o tym.

Wszyscy nieźle się bawili, więc z tego rozbawienia od omawiania sukcesu młodego pisarza przeszli do rozmowy na temat innych twórców, którzy młodo odnieśli sukces, a później popełnili samobójstwo. Wspomniano Rossa Lockridge'a i Toma Hagena. Żona agenta wymieniła Sylvię Plath i Anne Sexton, a pisarz odpowiedział jej, że trudno uznać Sylvię Plath za autorkę, która odniosła sukces. W każdym razie nie popełniła samobójstwa, dlatego bo się jej powiodło, raczej powiodło się jej dlatego, że popełniła samobójstwo. Agent uśmiechał się i milczał.

– Bardzo was proszę, zmieńmy lepiej temat – z lekkim zaniepokojeniem poprosiła żona młodego pisarza.

Nie zwracając uwagi na jej prośbę, agent dodał:

– Również szaleństwo. Byli i tacy, którzy zwariowali z powodu sukcesu.

Powiedział to spokojnym, ale dźwięcznym głosem, jak aktor występujący na scenie.

Żona pisarza znów próbowała protestować. Zbyt dobrze wiedziała, jak bardzo jej mąż lubi takie rozmowy. Dawały mu okazję do żartów, a żartował, gdyż sam zbyt wiele na ten temat myślał. Spróbowała więc protestować, ale akurat odezwał się redaktor, to zaś, co powiedział, było tak niezwykłe, że słowa zamarły jej na ustach.

– Szaleństwo jest jak elastyczny pocisk.

Żona agenta wyglądała na zaskoczoną. Zaciekawiony pisarz pochylił się w stronę redaktora.

– To brzmi znajomo – powiedział.

DNESDAY, OCTOBER 28, 1987 B17

APARTMENT HOUSES (700)

APARTMENT HOUSES Manhattan 701 GREENWICH VILLAGE/SOHO

APARTMENT HOUSES Queens 711

BUILDINGS & FACTORIES Brooklyn 807

BAKUŁA

Hanna Bakuła

dzieje. ONI, znów ONI, mimo wszystko ONI. I, najwyraźniej, nawet jego żona była jednym z nich! Przecież to ona zostawała w domu, kiedy przychodziła tam Gertruda z Jimmym i przecież nie wspomniała ani słowem o chłopcu. Co mi wcześniej napisał? *Czasami myślę też o mojej żonie.*

Kiedy tego dnia wróciła do domu, zastała kartkę na stole w kuchni. *Kochanie, poszedłem do księgarni, wrócę na kolację.* Dla niej brzmiało to zupełnie niewinnie, nie wiedziała przecież nic o telegramie. Gdyby o nim wiedziała, pewnie strasznie by się przeraziła. Zrozumiałaby, że Reg myśli, że gra w przeciwnej drużynie.

Reg tymczasem w ogóle nie zbliżył się do księgarni. Poszedł do sklepu i kupił czterdziestkę piątkę oraz 2000 sztuk amunicji. Pewnie kupiłby karabin maszynowy, gdyby ktoś chciał mu coś takiego sprzedać. Bronił swojego fornita. Przed Gertrudą. Przed dzieckiem. Przed żoną. Przed NIMI.

Następny dzień zaczął się całkiem normalnie. Jane pamięta, że zastanawiała się, czemu Reg w taki piękny dzień ubrał się w ciepły sweter, ale to wszystko. Sweter był, oczywiście, konieczny ze względu na broń. Reg poszedł na spacer z psem i rewolwerem zatkniętym za pasek.

Wyjątkowo szybko dotarł do kawiarni, nie przystawał, z nikim nie rozmawiał. Poszedł z psem na parking z tyłu, przywiązał go tam i bocznymi uliczkami wrócił do domu.

Wiedział, co o tej porze dzieje się z sąsiadami, wiedział, że nie będzie ich w domu. Wiedział też, gdzie chowają zapasowe klucze. Wszedł do nich i obserwował własny dom.

O ósmej czterdzieści zobaczył wchodzącą Gertrudę Rulin. Gertruda Rulin nie była sama. Przyszedł z nią chłopiec.

Zachowanie Jimmy'ego w pierwszej klasie upewniło zarówno nauczycieli, jak i szkolnego psychologa o tym, że będzie lepiej dla wszystkich (może z wyjątkiem matki, która miałaby ochotę trochę odpocząć), jeśli chłopiec poczeka jeszcze rok. Jimmy wrócił więc do zerówki, a w pierwszej połowie roku miał tam chodzić po południu. Dwa punkty opieki nad dziećmi w sąsiedztwie nie miały wolnych miejsc, a Gertruda nie mogła chodzić do Thorpe'ów po południu, ponieważ codziennie od drugiej do czwartej sprzątała na drugim końcu miasta.

Całą sprawę zakończyło ostatecznie to, że Jane zgodziła się, by Gertruda przyprowadzała ze sobą syna, dopóki jej sprawy jakoś się nie ułożą lub póki Reg nie odkryje, co się dzieje, a w końcu musiał to odkryć.

Jane myślała, że może jednak Reg się tym nie przejmie, w końcu ostatnio był bardzo miły i całkiem rozsądny. Z drugiej strony mógł protestować i wtedy trzeba byłoby wszystko układać inaczej. Gertruda stwierdziła, że doskonale to rozumie. I – prosiła Jane – na miłość Boską – niech chłopiec nie dotyka żadnej z rzeczy Rega. Gertruda zapewniła, że nawet się do nich nie zbliży, a drzwi do pracowni pana są i pozostaną zamknięte.

Thorpe musiał przekradać się przez dwa podwórka jak zwiadowca przez ziemię niczyją. Zobaczył, że Jane i Gertruda piorą w kuchni bieliznę pościelową. Chłopca z nimi nie było. Więc przekradał się dalej pod ścianami. Sypialnia – pusta. Jadalnia – pusta. Pracownia – tak, Reg, chory, tam właśnie spodziewał się znaleźć Jimmy'ego i tam go odnalazł. Twarz chłopca płonęła wręcz z ciekawości i Reg z pewnością uwierzył, że trafił w końcu na ICH zdeklarowanego agenta.

Chłopiec trzymał w ręku coś w rodzaju miotacza promieni śmierci, celował nim w biurko, a z maszyny – i Reg to słyszał – krzyczał Rackne.

Możecie sobie pomyśleć, że opisuję subiektywne uczucia człowieka, który już nie żyje lub – żeby określić to bardziej bezceremonialnie – po prostu zmyślam. Nie. Jane i Gertruda słyszały aż w kuchni warkot plastikowego „kosmicznego miotacza”, z którego Jim strzelał od czasu, kiedy w ogóle zaczął przychodzić do tego domu. Jane żyła z dnia na dzień wyłącznie nadzieją, że baterie w końcu się wyczerpią. Nikt nie mógł pomylić źródła, z którego dochodził terkot – to musiała być pracownia Rega.

Ten chłopak był chyba rzeczywiście materiałem na niezłego rzezimieszka. W całym domu zabroniono mu wchodzenia do jednego pokoju, więc oczywiście musiał tam wleźć, albo umrzeć z ciekawości. Szybko odkrył, że Jane trzyma klucz do pracowni na półeczce nad kominkiem w dużym pokoju. Czy

– Dziękuję, Meg.

Wypił, zakaszlał i machnięciem ręki odmówił kolejnego papierosa.

– Dość na dziś. I tak mam zamiar rzucić palenie. W następnym wcieleniu. No, tak. Reszty właściwie nie trzeba opowiadać. Obarczona jest najgorszym grzechem, jaki można popełnić w opowieści – łatwo przewidzieć koniec. Z samochodu wyłowili coś z czterdzieści butelek whisky, większość pustych. Opowiadałem o elfach, elektryczności, fornitach, plutonie i fornusie, wydałem im się kompletnie szalony i rzeczywiście – byłem kompletnie szalony.

A co zdarzyło się w Omaha, kiedy sądząc z kwitków ze stacji benzynowych, które znaleźli w skrytce, przejechałem przez pięć północno-wschodnich stanów? O tym dowiedziałem się od Jane Thorpe, przede wszystkim z listów pisanych w ciągu długiego i bardzo bolesnego okresu, który skończył się spotkaniem twarzą w twarz w New Heaven, w którym zresztą mieszka do dziś, zaraz po tym, kiedy odwołałem, co miałem odwołać i wypuścili mnie z wariatkowa. Na zakończenie tego spotkania wypłakaliśmy się sobie w ramionach i wtedy dopiero uwierzyłem, że mogę znów żyć i – nawet – może znów być szczęśliwy?

Tego dnia, około trzeciej po południu, ktoś zapukał do drzwi domu Thorpe'ów. To był posłaniec z telegramem. Telegramem ode mnie. To on zakończył naszą poronioną korespondencję. *REG PEWNA INFORMACJA RACKNE UMIERA TO MAŁY CHŁOPIEC TAK TWIERDZI BELLIS MÓWI IMIĘ JIMMY FORNIT I FORNUS HENRY.*

Na wypadek, gdyby znów przyszło wam do głowy wspaniałe pytanie Howarda Bakera: „Co wiedział i skąd", mogę od razu wyjaśnić, że wiedziałem, że Jane wynajęła sprzątaczkę, ale nie wiedziałem – chyba że od Bellis – że sprzątaczka ma synka z piekła rodem imieniem Jimmy. Myślę, że będziecie musieli uwierzyć mi na słowo, chociaż muszę powiedzieć, że ci szarlatani, którzy pracowali nade mną przez dwa i pół roku nigdy mi jednak nie uwierzyli.

Kiedy ten telegram przyszedł, Jane akurat robiła sprawunki. Znalazła go dopiero po śmierci Rega, w tylnej kieszeni jego spodni. Na blankiecie zanotowano zarówno czas odbioru, jak doręczenia oraz notatkę: *doręczyć osobiście, nie przez telefon.* Jane mówiła, że chociaż ten telegram nadany był dzień wcześniej, przeszedł przez tyle rąk, że wyglądał, jakby miał rok.

W pewien sposób to właśnie ten telegram był celnym strzałem, który trafił Rega wprost w mózg, choć strzelałem aż z Paterson w New Jersey, tak pijany, że nawet nic nie pamiętam.

Przez dwa tygodnie życia Reg postępował według schematu, który sam w sobie wydawał się całkiem normalny. Wstawał o szóstej, robił śniadanie dla siebie oraz żony i pisał przez jakąś godzinę. Około ósmej zamykał pracownię i brał psa na długi spacer. Na spacerze spotykał różnych ludzi i był dla nich bardzo miły, rozmawiał z każdym, kto miał ochotę z nim pogadać. Przed południem pił kawę zawsze w tej samej kawiarni, a potem wracał do domu. Najczęściej przychodził już po dwunastej, czasami nawet bliżej pierwszej. Pewnie robił tak częściowo po to, żeby uciec przed Gertrudą Rulin, tak przynajmniej twierdziła Jane. W każdym razie te spacery zaczęły się w parę dni po tym, gdy pierwszy raz pojawiła się u nich w domu.

Jadł lekki lunch, kładł się na godzinkę, a później przez dwie lub trzy godziny pracował dalej. Wieczorem często odwiedzał studentów, sam albo z Jane, czasami szli do kina, a czasami Reg siedział po prostu w dużym pokoju i czytał. Chodzili spać wcześnie, on najczęściej przed nią. Z tego, co mi pisała, w tych ostatnich dniach mało było seksu, a jeżeli już próbowali, zwykle kończyło się niczym. *Ale seks nie jest dla kobiet tak ważny, jak przypuszcza większość mężczyzn* – pisała mi. – *Reg znów pracował na pełnych obrotach i to było dla niego najważniejsze. Powiedziałabym, że – biorąc pod uwagę okoliczności – te dwa tygodnie były od pięciu lat najszczęśliwszymi.* Cholera, kiedy to czytałem, chciało mi się płakać.

Nie wiedziałem nic o Jimmym, ale Reg wiedział. Wiedział wszystko z wyjątkiem jednego, najważniejszego faktu, z wyjątkiem tego, że Jimmy zaczął przychodzić do nich z matką.

Musiał strasznie się zdenerwować, kiedy dostał już mój telegram i zrozumiał, co się wokół niego

– Jasne – odparł redaktor. – Samo określenie, obraz, wymyśliła Marianne Moore. Użyła go chyba po to, żeby opisać jakiś samochód czy coś. Zawsze myślałem, że to także dobrze opisuje stan szaleństwa. Szaleństwo jest rodzajem umysłowego samobójstwa. Czy lekarze nie zaczęli teraz twierdzić, że prawdziwa śmierć, to śmierć mózgu? Szaleństwo jest jak elastyczny pocisk, który ugodził w mózg.

Żona pisarza skoczyła na równe nogi.

– Czy ktoś ma ochotę się napić? – zapytała.

Nikt nie miał ochoty.

– Więc napiję się sama, jeśli mamy dalej rozmawiać na ten temat – stwierdziła i poszła przygotować sobie drinka.

Redaktor mówił dalej:

– Dostałem raz opowiadanie. To było wtedy, kiedy jeszcze pracowałem w „Logan's"... teraz już go nie ma, poszedł w ślady „Collier's" i „Saturday Evening Post", ale wtedy byliśmy lepsi – w jego głosie słychać było cień dumy. – Drukowaliśmy trzydzieści sześć opowiadań rocznie, czasem więcej, i każdego roku cztery czy pięć z nich znajdowało miejsce w jakiejś antologii „najlepszych opowiadań roku". I ludzie je czytali. Nieważne... to opowiadanie nazywało się „Ballada o celnym strzale", a napisał je Reg Thorpe. Był wtedy równie młody jak ten tu młody człowiek i prawie tak samo ceniony.

– To on napisał „Postacie z podziemia", prawda? – zapytała żona agenta.

– Tak. Niesamowite powodzenie jak na pierwszą powieść. Wspaniałe recenzje, sprzedaż jak marzenie, wszystko! Nawet film był dobry, nie tak dobry jak książka, ale dobry.

– Uwielbiałam tę książkę – powiedziała żona pisarza, włączając się w rozmowę wbrew swemu najgłębszemu przekonaniu.

– Czy on coś jeszcze napisał? „Postacie z podziemia" czytałam w szkole, to było... no, zbyt dawno, żeby o tym myśleć.

– Nic się nie zmieniłaś, kochanie – powiedziała serdecznie żona agenta, choć myślała o tym, że żona pisarza nosi zbyt mały biustonosz i zbyt obcisłe szorty.

– Nie – odpowiedział redaktor. – Nic więcej, oprócz tego opowiadania, o którym wspomniałem. Popełnił samobójstwo. Oszalał i popełnił samobójstwo.

– Och! – krzyknęła słabo żona pisarza. Temat wrócił.

– Czy ktoś opublikował to opowiadanie? – zapytał pisarz.

– Nie, ale nie dlatego, że pisarz oszalał i popełnił samobójstwo. Nikt go nie opublikował, ponieważ czytający je redaktor oszalał i niemal popełnił samobójstwo.

Agent wstał nagle i wzmocnił sobie drinka, chociaż jego drink z pewnością tego nie potrzebował. Wiedział, że redaktor przeżył załamanie nerwowe w 1969 roku, a niedługo później skończyła się epoka „Logan's".

– To ja nim byłem – poinformował redaktor resztę towarzystwa. – W pewnym sensie wariowaliśmy razem, Reg Thorpe i ja, chociaż ja mieszkałem w Nowym Jorku, a on w Omaha i nigdy się nawet nie spotkaliśmy. Jego książka była na rynku już jakieś pół roku, kiedy przeniósł się do Omaha. Żeby „pozbierać myśli" – tak wtedy mówił. Akurat tak się złożyło, że znam tę część historii, bo czasami spotykam jego żonę, kiedy przyjeżdża do Nowego Jorku. Maluje teraz i to całkiem nieźle. Miała szczęście dziewczyna. Niemal zabrał ją ze sobą.

Agent wrócił ze szklaneczką w ręku.

– Zaczynam sobie przypominać – powiedział. – Tam była nie tylko żona, prawda? Postrzelił kilka osób, także dziecko.

– Tak. To właśnie dzieciak go załatwił.

– Dzieciak? – zdumiała się żona agenta. – Jak to, dzieciak?

Twarz redaktora pozostała nieruchoma. Najwyraźniej chciał mówić, nie zaś odpowiadać na pytania.

– I tę część historii też znam. Sam ją przeżyłem. Też miałem szczęście. Cholerne szczęście. Różne dziwne rzeczy dzieją się z tymi, którzy próbują popełnić samobójstwo przykładając sobie lufę do czoła i pociągając za spust. Myślicie może, że ta metoda jest pewniejsza niż pigułki czy podcięcie żył, ale mylicie się. Kiedy strzelacie sobie w łeb, nie wiecie, co się może zdarzyć. Pocisk może się na przykład odbić od

czaszki i zabić kogoś innego. Może ześliznąć się po kości i lecieć dalej. Może utkwić w mózgu i oślepić na całe życie. Jeden gość palnie sobie w łeb z trzydziestki ósemki i ocknie się w szpitalu, inny użyje dwudziestki dwójki i ocknie się w piekle... jeżeli coś takiego w ogóle istnieje. Osobiście sądzę, że piekło istnieje na Ziemi, najprawdopodobniej w New Jersey.

Żona pisarza roześmiała się raczej piskliwie.

– Jedyną zupełnie pewną metodą samobójstwa jest skok z wysokiego budynku, lecz używają jej jedynie ci naprawdę zdecydowani. Nieciekawie się później przedstawiają, prawda? Ale chodzi mi o coś innego: jeżeli trafi cię elastyczny pocisk, nie wiesz, co się może zdarzyć. Ja zjechałem z mostu, a potem ocknąłem się na brudnym nabrzeżu, zaś kierowca ciężarówki machał moimi rękami i wyginał je tak, jakby miał dwadzieścia cztery godziny na zostanie kulturystą i pomylił mnie z symulatorem kajaka. Dla Rega ten pocisk był zabójczy. Reg... ale opowiadam wam tu coś takiego nie mając pojęcia, czy w ogóle chcecie mnie słuchać?

W gęstniejącej szybko ciemności uważnie przyjrzał się ich twarzom. Agent i jego żona patrzyli na siebie pytająco, a żona pisarza już, już miała stwierdzić, że na dziś chyba wystarczy nieprzyjemnych rozmów, kiedy odezwał się jej mąż:

– Chciałbym usłyszeć więcej, jeżeli oczywiście może pan o tym mówić. To znaczy, z powodów osobistych.

– Nigdy o tym nie opowiadałem, lecz nie z powodów osobistych. Być może nie spotykałem właściwych słuchaczy?

– Więc proszę spróbować dziś.

– Paul... – żona położyła mu dłoń na ramieniu. – Nie sądzisz...

– Nie teraz, Meg.

Redaktor już mówił dalej:

– Opowiadanie przyszło zwyczajnie, pocztą, w czasach, gdy „Logan's" nie przyjmował już przypadkowych tekstów. Kiedy nadchodziły, sekretarka przekładała je po prostu do załączonych kopert zwrotnych wraz z karteczką: *Z powodu wzrastających kosztów utrzymania pisma i wzrastających trudności z czytaniem wciąż wzrastającej liczby nadsyłanych tekstów, nasza redakcja nie przyjmuje materiałów nie zamówionych. Życzymy powodzenia w próbach opublikowania pana, pani pracy w innych pismach.* Co za cudowny bełkot! Niełatwo przecież wstawić słowo „wzrastać" trzy razy w jedno zdanie, a im się to jakoś udało.

– A jeżeli koperta nie była załączona, tekst wędrował prościutko do kosza, prawda? – stwierdził domyślnie pisarz.

– Pewnie! Nie ma litości dla cudzej słabości.

Dziwny wyraz niepewności pojawił się nagle na twarzy pisarza. Tak mógł wyglądać ktoś, kto znalazł się w klatce pełnej tygrysów, które rozszarpały już tuziny lepszych od niego. Jak na razie nie dostrzegł żadnego tygrysa, ale miał wrażenie, że wiele czai się w ciemności i że ciągle mają ostre kły.

– W każdym razie – redaktor wyjął papierosa – opowiadanie przyszło pocztą, sekretarka wyjęła je z koperty, nalepiła wiadomą informację i już miała je włożyć do załączonej koperty zwrotnej, kiedy zobaczyła nazwisko autora. Cóż, czytała „Postacie z podziemia". Tak się składało, że wszyscy albo już to czytali, albo właśnie zamierzali przeczytać i zapisywali się w kolejki w bibliotekach lub penetrowali supermarkety w poszukiwaniu wydania kieszonkowego.

Żona pisarza, która dostrzegła i zrozumiała błysk strachu w jego oczach, wzięła go za rękę, a on ciepło się do niej uśmiechnął. Błysnął płomyk złotego Ronsona i w jego świetle wszyscy mogli zauważyć, jak bardzo zniszczona jest twarz redaktora, jak luźno wiszą mu pod oczami worki pomarszczonej jak u krokodyla skóry. Widzieli poorane zmarszczkami policzki i brodę sterczącą w tej starej twarzy jak bukszpryt żaglowca. „Ten żaglowiec – pomyślał pisarz – nazywa się starość. Nikt nie marzy o tym, żeby gdzieś nim popłynąć, ale wszystkie kajuty są zajęte. I hamaki pod pokładem także".

Płomyk zgasł i w powietrze uniósł się kłąb dymu.

– Ta sekretarka, która przeczytała opowiadanie i pchnęła je dalej, zamiast odesłać, jest dziś lektorką u Putnama. O nazwisko mniejsza, ważne jest, że tam, w sekretariacie „Logan's", krzywa jej życia przecięła się na wielkim wykresie z krzywą życia Rega Thorpe – jedna szła w górę, a druga w dół. Dziewczyna



chwiałem się stojąc nad przepaścią. Gdybym zobaczył całego elfa, to bym chyba oszalał... no, tak... O ucieczce w ogóle nie było mowy, zapomniałem nawet, że mam nogi. Pewnie i stanąć bym nie mógł.

„Klak, klak, klak" - trzaski, słaby, zdyszany oddech, po każdym słowie blada, ubrudzona tuszem i zakurzona piąstka z całej siły waląca w klawisz między literami B i N, żeby zrobić odstęp. Nie wiem, jak długo to trwało. Może siedem minut. Może dziesięć. A może wieczność.

W końcu trzaski ustały i zdałem sobie sprawę z tego, że już nie słyszę ciężkiego oddechu. Może zemdlał... może dał sobie spokój... może umarł? Na atak serca czy coś takiego. Na pewno wiedziałem tylko, że nie dokończył wiadomości. To, co zdążył napisać, brzmiało tak:

rackne umiera chłopiec jimmy thorpe nie wie
powiedz thorpe rackne umiera chłopiec jimmy zabija
rackne bel

To było wszystko.

Poczułem, że mam nogi, więc wstałem i wyszedłem z pokoju. Szedłem na palcach, wielkimi krokami, jakbym myślał, że Bellis poszedł spać i jeśli go obudzę, znów zacznie pisać... myślałem, że jeśli znów usłyszę ten trzask, zacznę wyć. I będę tak wył, aż pęknie mi serce lub głowa.

Mój Chevy stał na parkingu przed domem, zatankowany, opakowany i gotów do drogi. Usiadłem za kierownicą i przypomniałem sobie o butelce w kieszeni. Ręce trzęsły mi się do tego stopnia, że upuściłem ją, ale spadła na siedzenie i nie stłukła się.

Wiem, że film mi się urywał i przyjaciele, przerwa w życiorysie to było akurat to o czym marzyłem i co dostałem. Pamiętam pierwszy łyk wprost z szyjki, pamiętam drugi, pamiętam obrót kluczyka w stacyjce, szum silnika i Franka Sinatrę śpiewającego przez radio „Ta stara, czarna magia", co jakby pasowało do sytuacji. Do tej specyficznej sytuacji. No, tak. Pamiętam, jak z nim śpiewałem i jeszcze trochę popijałem. Stałem na skrzyżowaniu i widziałem, jak migają światła na autostradzie. Myślałem o klekotaniu stojącej w pustym pokoju maszyny i o niesamowitym świetle zachodzącego słońca, które ten pusty pokój wypełniało. Myślałem o szybkim oddechu, jakby jakiś elf-kulturysta ćwiczył sobie na ramionach czcionek. Widziałem oderwany od ściany i pokryty grudkami zaschniętego kleju kawałek tapety. Próbowałem sobie wyobrazić, co działo się, nim wszedłem do pokoju... chciałem zobaczyć to... jego... Bellisa... wychodzącego z maszyny, chwytającego za oderwany kawałek tapety wiszący przy drzwiach łazienki, gdyż to była jedyna rzecz w pokoju przypominająca papier, czepiającego się, odrywającego nóżki od podłogi i oddzierającego wreszcie ten kawałek, i niosącego go na głowie jak wielki palmowy liść. Próbowałem wyobrazić sobie, jak on... to... zdołało w ogóle wkręcić papier w maszynę. Próbowałem wyobrazić sobie jeszcze wiele rzeczy - nie umiałem przestać myśleć, więc piłem, a Frank Sinatra zamilkł i słuchałem reklam, a później Sarah Vaughan zaczęła śpiewać „Powinnam napisać list" i to także z czymś mi się skojarzyło - to właśnie zrobiłem, albo przynajmniej myślałem, że zrobiłem, aż do dzisiaj, kiedy coś spowodowało, że zacząłem jeszcze raz to sobie przemyśliwać. Więc siedziałem i śpiewałem w chórze ze starą, dobrą Sarah i zaraz potem musiałem osiągnąć prędkość ucieczki, ponieważ w środku drugiej zwrotki, bez żadnej przerwy w czasie, wyrzygiwałem już z siebie jaja, a ktoś walił mnie po plecach. To był właśnie ten kierowca. Kiedy walił mnie w plecy czułem, jak coś mi wzbiera w gardle, gotowe cofnąć się w każdej chwili. Tylko się nie cofało, bo mi wyginał ręce, i jak tylko wygiął mi ręce, rzygałem od nowa i wcale nie była to tylko whisky, ale głównie woda. Kiedy już zebrałem się w sobie na tyle, żeby podnieść głowę i zobaczyć, co się wokół dzieje, była szósta po południu trzy dni później. Leżałem na brzegu Jackson River w zachodniej Pennsylwanii mniej więcej sześćdziesiąt mil na północ od Pittsburgha. Z rzeki sterczał kufer Chevroleta, a na zderzaku widać było nalepkę...

- Mogę się jeszcze czegoś napić, kochanie?

Żona pisarza podała mu szklankę pochylając się i impulsywnie całując go w pomarszczony jak u krokodyla policzek. Redaktor uśmiechnął się do niej i oczy rozbłysły mu w mroku. Ale ona była dobrą, wiele rozumiejącą kobietą i ten błysk wcale jej nie oszukał. Męskie oczy nie tak błyszczą z zadowolenia.

dała tekst swemu szefowi, a jej szef dał go mnie. Przeczytałem i zakochałem się na śmierć. Było trochę za długie, ale już widziałem, gdzie można je bez większych problemów przystrzyc o jakieś pięćset słów. I to wystarczało.

- A o czym było? - zainteresował się pisarz.

- Nawet nie powinieneś pytać - uśmiechnął się redaktor. - Cudownie pasowało do naszej dzisiejszej rozmowy.

- O tym, jak kogoś ogarnia szaleństwo?

- Jasne. Czego cię uczą na pierwszych zajęciach pierwszego semestru na pierwszym kursie pisarstwa w college? Pisz o tym, na czym się znasz. Reg Thorpe znał się na tym, jak zaczyna się szaleństwo, bo szaleństwo właśnie go ogarniało. To opowiadanie przemówiło do mnie tak silnie prawdopodobnie dlatego, że ja również byłem w trakcie podobnego procesu. A gdybyś kiedykolwiek pracował w magazynie, to pewnie wiedziałbyś, że jest jeden temat, którego czytającym Amerykanom nie musisz wciskać: „Jak elegancko zwariować w Ameryce", podpunkt A: „Nikt nikogo nie rozumie". Dość to popularne w literaturze XX wieku. Wielcy fruwali jak ptaki wśród gałęzi tego drzewa, mali jak robaki podgryzali jego korzenie. Ale to opowiadanie było akurat fajne. To znaczy wesołe. Czytałem je jak nic przed nim i nic po nim. Najbliższe było chyba niektórym opowiadaniom Scotta Fitzgeralda... i „Gatsby'emu". Facet z opowiadania Thorpe'a wariował, ale w strasznie wesoły sposób. Cały czas szczerzyłeś zęby, a w niektórych miejscach - najlepsze było to, w którym bohater wywala galaretkę pomarańczową na łeb starej, grubej baby - śmiałeś się głośno. Ale - wiecie - to był raczej nerwowy śmiech. Chichoczesz i naraz musisz się odwrócić, żeby zobaczyć, kto cię może usłyszeć. Wspaniale było stopniowane napięcie. Im bardziej się śmiałeś, tym bardziej się bałeś. A im bardziej się bałeś, tym głośniejszy był śmiech... i tak aż do momentu, w którym bohater wraca z przyjęcia wydanego na jego cześć i zabija żonę oraz córeczkę.

- I to było o tym? - zapytał pisarz.

- Nie, ale nie w tym rzecz. To była po prostu opowieść o młodym człowieku, przegrywającym powoli ze swym własnym powodzeniem. Zostawmy tę sprawę. Opowiadanie fabuły jest nudne. Zawsze. Tak czy inaczej, napisałem do niego list. Mniej więcej tak: *Drogi panie Thorpe, właśnie przeczytałem „Balladę o celnym strzale" i uważam ją za wielkie dzieło. Chciałbym ją opublikować na początku przyszłego roku, jeśli ten termin Panu odpowiada. Czy suma osiemset dolarów wydaje się Panu wystarczająca? Płacimy po akceptacji.* Nowy akapit.

Redaktor wydmuchnął kłąb dymu w pachnące, wieczorne powietrze.

- *Opowiadanie jest nieco przydługie i chciałbym, żeby Pan je skrócił o mniej więcej pięćset słów, jeśli to możliwe. Zgodzę się ewentualnie na dwieście słów, jeśli się Pan uprze. Zawsze możemy przecież wywalić rysunki. Akapit. Proszę o odpowiedź. Podpis.*

- I tak to pan pamięta, słowo w słowo? - zapytała żona pisarza.

- Trzymałem jego listy w osobnej teczce. Oryginały listów do mnie i kopie moich odpowiedzi. Pod koniec teczka ta była już całkiem gruba, zawierała także trzy lub cztery listy od Jane Thorpe, jego żony. Czytywałem to dość często. Chciałem zrozumieć, ale to się nie da zrobić. Elastyczny pocisk da się zrozumieć równie łatwo jak to, że wstęga Moebiusa ma tylko jedną stronę. Tak to już jest na tym najlepszym ze światów. No tak, znam je słowo w słowo. Niektórzy tak się uczyli deklaracji niepodległości.

- Założę się, że zadzwonił następnego dnia - uśmiechnął się agent. - Co, wygrałem?

- Nie, nie zadzwonił. Krótko po wydaniu „Postaci z podziemia" Thorpe przestał w ogóle używać telefonu. Jego żona powiedziała mi o tym. W nowym domu, po przeniesieniu się z Nowego Jorku do Omaha, nawet go nie założyli. Wiecie, on stwierdził, że telefon wcale nie działa dzięki elektryczności, tylko w oparciu o rad. Myślał, że jest to jeden z dwóch czy trzech najlepiej strzeżonych sekretów we współczesnym świecie. Twierdził - w rozmowach z żoną - że to rad powoduje wzrost zachorowań na raka, a nie papierosy, spaliny i inne zanieczyszczenia. Że k a ż d y telefon ma w słuchawce kryształek radu i k a ż d a rozmowa zostawia w głowie kupę promieniowania.

- Ach, on naprawdę zwariował - powiedział pisarz i wszyscy się roześmieli.

- Zamiast tego napisał - redaktor pstryknął niedopałkiem w stronę jeziora. - Brzmiało to mniej więcej tak: *Drogi Panie Wilson (a właściwie Henry, jeśli można). Twój list to wspaniała i przyjemna niespodzianka. Moja żona była nawet bardziej zachwycona, jeśli to tylko możliwe, niż ja. Honorarium całkiem*

mi odpowiada... choć pragnę stwierdzić uczciwie, że sama możliwość publikacji w „Logan's" wydaje mi się wystarczającym wynagrodzeniem (lecz – oczywiście – przyjmę czek!). Przejrzałem skróty, które zaproponowałeś i w pełni je akceptuję. Dzięki nim opowiadanie jest lepsze i będzie miejsce na ilustracje. Z najlepszymi życzeniami, Reg Thorpe.

Pod podpisem był mały, śmieszny rysuneczek... czy raczej zwykły gryzmoł. Oko w piramidzie – jak na dolarowym banknocie. Lecz zamiast napisu *Novus Ordo Seculorum* na wstędze pod rysunkiem zobaczyłem napis *Fornit i Fornus*.

– Albo to łacina, albo Groucho Marx – wtrąciła żona agenta.

– Po prostu dowód rosnącej... ekscentryczności Rega Thorpe'a. Jego żona powiedziała mi, że Reg uwierzył w „ludziki" – elfy czy coś. Fornity. Miały przynosić szczęście. Wierzył, że jeden nawet zamieszkał w jego maszynie do pisania.

– O mój Boże – westchnęła żona pisarza.

– Według Thorpe'a każdy fornit ma coś takiego jak pistolecik i strzela z niego... przynoszącym szczęście pyłkiem, tak to chyba trzeba nazwać. A ten pyłek...

– Nazywa się fornus – dokończył pisarz szczerząc zęby.

– No tak, jego żona też uważała to za bardzo zabawne. Do czasu. Na początku myślała – bo Thorpe wymyślił fornity dwa lata wcześniej, pracując nad „Postaciami z podziemia" – że mąż ją po prostu nabiera. I może tak to się właśnie zaczęło? A później rosło: od kaprysu, przez przesąd, do koszmarnej wiary. To była, no... luźna fantazja. Ale w końcu stwardniała. Na stal. Tak, stwardniała.

Nikt się nie odezwał, tylko uśmiechy spełzły z twarzy.

– Fornity potrafiły zachowywać się zabawnie – mówił redaktor. – Ni stąd ni zowąd maszyna do pisania Thorpe'a zaczęła dziwnie często trafiać do warsztatu. Zdarzyło się to kilka razy już w Nowym Jorku i powtarzało coraz częściej w Omaha. Dostał tam z warsztatu inną maszynę, kiedy jego była pierwszy raz w naprawie. Po zwrocie pożyczonej maszyny przyszedł do nich właściciel warsztatu i powiedział, że ona też będzie naprawiona na ich rachunek.

– O co mu chodziło? – zdziwiła się żona agenta.

– Ja chyba wiem – powiedziała żona pisarza.

– Obie były pełne jedzenia – wyjaśnił im redaktor. – Małych kawałków ciasta i tak dalej. A na czcionkach ktoś rozsmarował masło kakaowe. To Reg żywił fornita z maszyny. Na wszelki wypadek sypał też jedzenie w maszynę zastępczą – kto wie, czy takie fornity nie przeprowadzają się na czas napraw?

– Aż tak? – spytał pisarz.

– Oczywiście ja o tym jeszcze wtedy nie wiedziałem. Moja sekretarka przepisała list, przyniosła mi do gabinetu do podpisu i po coś tam poszła. Podpisałem go, a jej jeszcze nie było. Więc, bez najmniejszego racjonalnego powodu, sam nabazgrałem coś pod moim podpisem. Piramida. Oko. I *Fornit i Fornus*. Obłęd. Sekretarka to zobaczyła i zapytała, czy chcę wysłać list tak, jak jest. Tylko wzruszyłem ramionami.

Po dwóch dniach zadzwoniła do mnie Jane Thorpe. Powiedziała, że mój list bardzo podniecił Rega, że Reg myśli, że znalazł pokrewną duszę... kogoś, kto coś wie o fornitach. Widzicie, co się zaczęło dziać? Z tego, co wiedziałem, te fornity mogły być wszystkim, począwszy od klucza francuskiego dla mańkutów, a skończywszy na samochodzie bez kół. Ditto fornus. Więc wyjaśniłem Jane, że po prostu skopiowałem bazgroły Rega. Oczywiście, chciała wiedzieć czemu. Pominąłem to pytanie. No bo co jej miałem powiedzieć? Że byłem zalany, kiedy podpisywałem list?

Przerwał i nad trawnikiem zapadła krępująca cisza. Goście wpatrywali się w niebo, w jezioro, w wierzchołki drzew, choć przez ostatnie parę chwil nic się tam z pewnością nie zmieniło.

– Popijałem sobie przez całe dorosłe życie i zupełnie nie potrafię określić, kiedy straciłem nad tym kontrolę. W sprawach zawodowych podpierałem się butelką prawie do samego końca. Zaczynałem od lunchu i wracałem do redakcji *el blotto*. A jednak pracowało mi się doskonale. To picie po pracy, najpierw w metrze, a później i w domu, w końcu mnie wykończyło.

Mieliśmy z żoną inne problemy, nie związane z piciem, ale przez picie stały się one jeszcze poważniejsze. Od dłuższego czasu chciała ode mnie odejść, a tydzień przed tym, nim dostałem opowiadanie Thorpe'a, wreszcie się zdecydowała.

brzmi to trochę jak cud z rozmnożeniem chleba i ryb, ale cóż – tak właśnie było. Nie zastanawiałem się nad tym, tylko po prostu cieszyłem. Jasne, miłe światło wypełniało ten pokój nawet w deszczowy dzień.

Ale tego wieczora światło zachodzącego słońca było zdecydowanie niesamowite. Czerwone jak z martenowskiego pieca. Pozbawiony mebli pokój wydawał się zbyt wielki. Kiedy przez niego szedłem, echo odbijało się od ścian.

Maszyna stała mniej więcej pośrodku podłogi i właśnie próbowałem ją ominąć, kiedy zobaczyłem na wałku jakiś strzęp papieru. To mi dało do myślenia, pamiętałem, że kiedy szedłem po poprzednią butelkę, nie było tam żadnego papieru.

Rozejrzałem się, pewnie myślałem, że jest tu jeszcze ktoś oprócz mnie. Nie myślałem jednak ani o włamywaczach, ani o narkomanach... tylko o duchach.

Zobaczyłem czarną plamę na ścianie, po lewej stronie drzwi do sypialni. Zrozumiałem przynajmniej, skąd wziął się papier. Ktoś po prostu oderwał kawałek starej tapety.

Ciągle patrzyłem w tamtą stronę, kiedy za plecami usłyszałem głośne „klak". Podskoczyłem i obróciłem się, czując serce w gardle. Byłem przerażony, chociaż doskonale znałem ten dźwięk i nie miałem żadnych wątpliwości. Ktoś, kto zarabia na życie przy pomocy słów, nie ma żadnych trudności z rozpoznaniem odgłosu, z jakim czcionka uderza o papier, nawet o zmroku, w ciemnym pokoju, kiedy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby uderzyć w klawisz.

Patrzyli na niego z ciemności, a ich twarze wyglądały jak białe, okrągłe plamy. Siedzieli bliżej siebie niż na początku opowieści, żona pisarza ściskała jego dłoń w obu swoich.

– Czułem się... no, jakbym wyszedł z siebie. Nierealne. Być może tak czuje się każdy, kto dotrze do granic niewytłumaczalnego. Powoli podszedłem do maszyny, serce waliło mi jak oszalałe, ale umysł miałem... spokojny, nawet chłodny.

„Klak" – poruszyła się inna czcionka. Tym razem zobaczyłem nawet, która: trzeci rząd od góry, po lewej.

Chciałem uklęknąć i nawet zgiąłem kolana – i nagle wszystkie mięśnie nóg odmówiły mi posłuszeństwa. Prawie zemdlałem, ale tylko prawie, usiadłem przed maszyną, a porwana i brudna, choć niegdyś elegancka marynarka otoczyła mnie jak sukienka głęboko dygającą panienkę. Dwie kolejne czcionki trzasnęły raz po raz, przerwa, i jeszcze jeden trzask. Każde uderzenie budziło echo zupełnie jak moje kroki.

Coś wsunęło kawałek tapety w maszynę w ten sposób, że czcionki uderzały o powierzchnię pokrytą zaschłym klejem. Litery były przez to trochę niewyraźne i zatarte, ale mogłem przeczytać: *rackn*. Maszyna trzasnęła jeszcze raz i słowo to brzmiało już *rackne*.

– Później... – redaktor chrząknął i skrzywił wargi w lekkim uśmiechu.

– Nawet teraz, kiedy minęło już tyle lat, ciężko mi o tym mówić... ciężko mi opowiadać ot, tak sobie... W porządku. Fakty, bez żadnych ozdobników. Zobaczyłem, jak spomiędzy klawiszy wysuwa się ręka. Bardzo cieniutkie ramię. Bardzo drobna dłoń. Pojawiła się między literami B i N w najniższym rzędzie, zwinięta w pięść i uderzyła w długi, najniższy klawisz. Wałek przeskoczył o jeden znak – bardzo szybko, jakby miał czkawkę – i rączka zniknęła.

Żona agenta zachichotała przenikliwie.

– Zamknij się, Martha – powiedział agent i Martha zamknęła się.

– Teraz trzaski stały się trochę częstsze – mówił dalej redaktor. – Po chwili zaczęło mi się wydawać, że słyszę, jak to coś, to stworzonko, pociąga za ramiona czcionek i dyszy, sapie tak jak ciężko pracujący i już prawie wykończony tą robotą człowiek. Liter nie było już prawie widać, klej zalepił czcionki, ale z biedą potrafiłem je jeszcze odczytać, odbijały się przecież na miękkim papierze. Przeczytałem: *rackne umie* i za chwilę klawisz z literą r uderzył o kawałek tapety i zablokował się. Patrzyłem na to przez chwilę, po czym wyciągnąłem palec i odlepiłem czcionkę. Nie wiem czy to... czy Bellis... poradziłby sobie sam. Chyba nie. Ale i tak wolałem nie widzieć tego... jego... jak próbuje. Sam widok tej piąstki spowodował, że

Wilcza Klątwa ~1

Komorowski * Ziemkiewicz













Wilcza Klątwa











Wilcza Klątwa







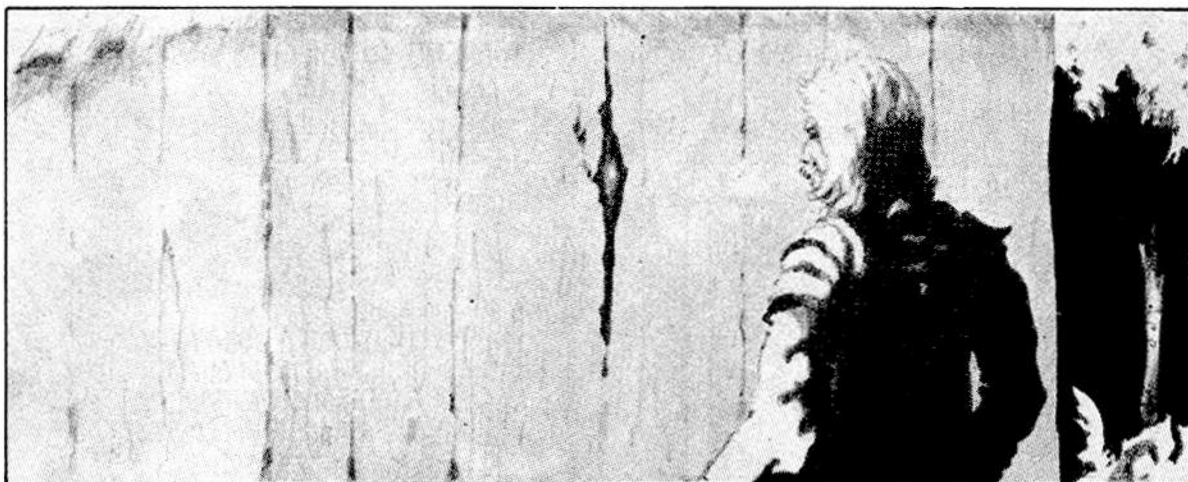






Wilcza Klątwa













jak w 1849 roku poszukiwacze wypłukiwali z piasku złoto. Tylko, że ONI wcale nie chcieli wysadzić miasta, nic z tych rzeczy. ONI je tylko nim posypywali, żeby nikt już nie mógł myśleć. ONI byli złymi fornitami, a radioaktywny pył był złym fornusem. Najgorszym fornusem w historii.

Więc zdecydowałem, że tak naprawdę to wcale nie chcę sprzedać „Ballady...", a już z pewnością nie w Nowym Jorku i że mogę wyjechać natychmiast, jak tylko dostanę zamówione czeki. Kiedy już wyjadę na północ, zacznę ją wysyłać do prowincjonalnych magazynów: „Sewanne Review", myślałem, będzie całkiem dobre, albo może „Iowa Review". Wytłumaczę to Regowi później. Reg na pewno mnie zrozumie. To chyba rozwiązuje wszystkie problemy – myślałem – więc wypiłem za dobre rozwiązanie. A później wypiłem za swoje zdrowie. A później już alkohol pił się sam... no, tak. Urwał mi się film. Jak się okazało, po raz przedostatni.

Następnego dnia przyszły czeki „Arvin Company". Wypełniłem jeden z nich na maszynie i poszedłem do przyjaciela, który miał je kontrsygnować. Jeszcze raz przeszedłem przez krzyżowy ogień pytań, ale tym razem trzymałem się w ryzach – potrzebowałem jego podpisu. I w końcu go dostałem. W ciągu pięciu minut zrobiono mi pieczątkę. Przystemplowałem nią kopertę, wystukałem na niej adres Rega (maszynę wcześniej wyczyściłem z cukru pudru, ale klawisze ciągle się lepiły), włożyłem do niej czek wraz z krótkim, prywatnym liścikiem, w którym pisałem, że nigdy nie wysyłałem autorowi czeku z większą przyjemnością... co zresztą było prawdą. I ciągle jest. Przez prawie godzinę przyglądałem się mojemu dziełu i nie mogłem wyjść z podziwu, że tak oficjalnie wygląda. Nigdy byście nie uwierzyli, że śmierdzący pijak, który od dziesięciu dni nie zmieniał gaci, zdołał dokonać czegoś takiego.

Przerwał, zdusił papierosa i popatrzył na zegarek. Potem, zupełnie jak konduktor oznajmiający wjazd pociągu na jakąś ważną stację, powiedział: „A teraz zaczyna się niewytłumaczalne".

– Oto fragment opowieści, który najbardziej zainteresował dwóch psychiatrów i tych wszystkich specjalistów od świrów, z którymi utrzymywałem bliskie kontakty przez następne trzydzieści miesięcy. Tylko to kazali mi odwołać na znak, że mi się poprawiło. Jak powiedział jeden z nich: „To jedyny fragment w pańskiej opowieści, w którym występuje załamanie rozumowania indukcyjnego, to znaczy jedyny, którym nie rządziła wewnętrzna logika". Więc w końcu to odwołałem, wiedziałem przecież, choć oni może jeszcze o tym nie wiedzieli, że rzeczywiście już mi się poprawiło i bardzo chciałem wyrwać się ze szpitala dla wariatów. Wiedziałem też, że jeżeli szybko się z niego nie wydostanę, oszaleję od nowa. No więc odwołałem – Galileusz odwołał tak swoje poglądy, kiedy wsadzono mu stopy w ogień, ale na zawsze zachowałem to w pamięci. Nie twierdzę, że to, co wam teraz opowiem, naprawdę się zdarzyło. Twierdzę, że wierzę, że tak właśnie było. To może mała różnica, ale dla mnie jest ona najważniejsza ze wszystkiego.

A więc, przyjaciele, oto niewytłumaczalne:

Następne dwa dni spędziłem przygotowując się do przeprowadzki. Przy okazji: konieczność prowadzenia samochodu nie martwiła mnie w najmniejszym stopniu, jeszcze jako dziecko czytałem, że samochód jest jednym z najbezpieczniejszych na świecie schronień przeciw burzy, bo napompowane opony działają jako prawie stuprocentowe izolatory. Czekałem na tę chwilę, kiedy usiądę za kierownicą mojego starego Chevroleta, zamknę okna i wyjadę z miasta, które wydawało mi się już tylko bagnem świateł. Ale te przygotowania obejmowały także wyjęcie żarówek z lampek oświetlających kabinę, zaklejenie ich oraz przykręcenie kontrolki świateł na desce rozdzielczej do oporu w lewo, żeby deska była prawie ciemna.

Ostatnią noc zamierzałem spędzić w domu. Mieszkanie było już puste, w kuchni stał tylko stół, w sypialni łóżko, a w pracowni, na podłodze, maszyna do pisania. Nie miałem zamiaru jej zabierać, budziła zbyt wiele złych skojarzeń, a poza tymi i tak klawisze zawsze miały się już lepić. Niech się o nią martwi następny lokator – i o Bellis też!

Słońce zachodziło, barwiąc całe mieszkanie w niezwykły wręcz sposób. Byłem już nieźle wlany, a inna pełna butelka miała chronić mnie przed nocą. Właśnie przechodziłem przez pracownię, chyba po to, żeby iść do sypialni. Pewnie usiadłbym na łóżku, myślał o kablach i elektryczności i – oczywiście – popijał.

Pokój, który nazywałem pracownią, był w istocie największy w mieszkaniu. Pracowałem w nim, bo miał wielkie, zachodnie okna, z których widać było horyzont. Na piątym piętrze domu na Manhattanie

Próbowałem jakoś się z tym wszystkim uporać i wtedy pojawiło się to opowiadanie. Piłem za wiele. Wszystko się skomplikowało – cóż, gdybyśmy chcieli to nazwać jakoś modnie, był to z pewnością kryzys wieku średniego. Wszystko, co wtedy wiedziałem, to tylko to, że przygnębia mnie życie, zawodowe i prywatne. Walczyłem – albo przynajmniej próbowałem walczyć – z rosnącą pewnością, że redagowanie opowiadań, które w końcu czytać będą zdenerwowani pacjenci w poczekalni u dentysty, niepracujące żony w porze lunchu i od czasu do czasu nudzący się studenci, nie jest szczególnie szlachetnym zajęciem. Walczyłem – albo przynajmniej starałem się walczyć, jak wszyscy w redakcji w owym czasie – z przekonaniem, że w ciągu najbliższych sześciu, może dziesięciu, a może czternastu miesięcy zabawa nazywana „Logan's" skończy się definitywnie.

I w tym melancholijnym krajobrazie wieku średniego pojawiło się nagle słońce bardzo dobrego opowiadania, napisanego przez bardzo dobrego pisarza. Błyskotliwy, przenikliwy rzut oka na mechanizm szaleństwa. Wiem, że te słowa brzmią dziwnie – w końcu bohater zabija żonę i dziecko, ale zapytajcie każdego wydawcę, co mu może sprawić największą przyjemność i z pewnością odpowie wam, że doskonała powieść albo opowiadanie, które niespodziewanie ląduje mu na biurku jak jakiś cholerny gwiazdkowy prezent w lecie. Cóż, chyba znacie opowiadanie Shirley Jackson „Loteria"? Kończy się niewiarygodnie przygnębiająco, to znaczy wyprowadzają miłą kobietę i kamienują ją, a jej syn i córka biorą w tym udział. Ale cóż to za wspaniała robota! Założę się, że redaktor „New Yorkera", który przeczytał to pierwszy, wracał wieczorem do domu wesoło pogwizdując.

Próbuję wam tylko wyjaśnić, że opowiadanie Thorpe'a było najlepszą rzeczą, jaka mi się wtedy wydarzyła. Jedyną dobrą. A z tego, co mi tłumaczyła Jane, jedyną dobrą rzeczą, jaka się ostatnio przydarzyła Regowi, było przyjęcie jego opowiadania do druku. Relacja autor – wydawca zawsze jest relacją pasożytniczą, ale w przypadku moim i Thorpe'a to pasożytnictwo podniesione było do n-tej potęgi!

– Wróćmy do Jane Thorpe – poprosiła żona pisarza.

– Tak. A co, próbuję odstawić ją na boczny tor? Była raczej wściekła z powodu tej całej historii z fornitami. Na początku. Wyjaśniłem jej, że nabazgrałem ten rysuneczek ot tak sobie, zupełnie nie wiedząc, czego to może dotyczyć i przeprosiłem, jeżeli zrobiłem coś złego. Przestała się złościć i na odmianę wylała przede mną swe żale. Niepokoiła się coraz bardziej, biedactwo, i po prostu nie miała z kim pogadać. Jej rodzice nie żyli, wszyscy przyjaciele pozostali w Nowym Jorku. Reg nie wpuszczał do domu nikogo. Wszyscy, którzy mieli do nich jakiś interes, byli albo z CIA, albo z FBI, albo mieli coś wspólnego z podatkami. Zaraz po tym, jak przyjechali do Omaha, zadzwoniła do drzwi mała skautka sprzedająca ciasteczka na jakieś tam cele. Reg na nią nawrzeszczał, kazał się jej wynosić, krzyczał, że wie, kim ona jest i tak dalej. Jane próbowała przemówić mu do rozsądku. Powiedziała przy tym, że dziewczynka miała najwyżej dziesięć lat. Reg stwierdził autorytatywnie, że ci od podatków nie mają serca i sumienia. A poza tym – powiedział – ta mała mogła przecież być androidem, a androidy nie podlegają prawom zakazującym zatrudniania dzieci. I że on prywatnie sądzi, że Urząd Podatkowy stać na wysłanie mu do domu skautki – androida napakowanego radem, żeby sprawdzić, czy nie ukrywa jakichś sekretów, a on nie chce dostać raka od promieniowania..

– Dobry Boże – westchnęła żona agenta.

– No więc Jane czekała na jakiś znak od przyjaciela i akurat ja się jej trafiłem. Przełknąłem opowieść o skautce, dowiedziałem się, jak się troszczyć o fornity i jak je żywić, co to jest fornus i jak Reg odmawia rozmów przez telefon. Rozmawiała ze mną z automatu, pięć przecznic od domu. Powiedziała, że obawia się, że Reg wcale nie boi się CIA, FBI czy Urzędu Podatkowego. Że myśli, że to ONI, wielka, tajemnicza organizacja istot nienawidzących Rega, zazdrosnych o Rega, gotowych na wszystko, żeby zniszczyć Rega, odkryła prawdę o jego fornicie i chce go zabić! A gdyby zginął fornit, nie byłoby powieści, nie byłoby opowiadań. Rozumiecie? Oto istota szaleństwa! To ONI prześladują. W końcu nie było nawet Urzędu Podatkowego, który, nawiasem mówiąc, rzeczywiście przycisnął go trochę w związku z zyskami z „Postaci z podziemia", żeby posłużył jako chłopiec do bicia. Skończyło się na NICH. Klasyczne urojenie paranoika. To ONI chcą zabić fornita!

– Mój Boże! I cóż pan na to? – zainteresował się agent.

– Chciałem jej dodać odwagi. Siedziałem sobie wygodnie za biurkiem, świeżo po przerwie na lunch, zakropiony pięcioma martini i przemawiałem dostojnie do wystraszonej kobiety stojącej przy automa-

cie gdzieś w Omaha. Próbowałem jej tłumaczyć, że wszystko jest w porządku, że nie ma się czego bać, że nie ma nic strasznego w tym, że jej mąż wierzy w telefony pełne kryształków radu i w tajemne sprzysiężenie wysyłające androidy przebrane za skautki z zadaniem przeszukania ich domu. Że nie ma nic złego w zachowaniu człowieka, którego talent oderwał się od sił umysłowych w stopniu umożliwiającym mu wiarę w elfa mieszkającego w maszynie do pisania!

– Nie sądzę, żeby był pan zbyt przekonywający.

– Prosiła mnie – nie, błagała – żebym pracował z Regiem nad tym jego opowiadaniem i żebym mu je wydrukował. Robiła wszystko, żeby mnie przekonać, wszystko oprócz przyjazdu do Nowego Jorku i otwartego stwierdzenia, że „Ballada o celnym strzale" jest ostatnią więzią jej męża z tym, co z uśmiechem na ustach nazywamy rzeczywistością. Zapytałem ją, co mam robić, jeśli Reg znowu wspomni o fornitach.

– Niech go pan uspokoi – powiedziała. Te słowa pamiętam bardzo dokładnie. „Niech go pan uspokoi". I odwiesiła słuchawkę.

Następnego dnia przyszedł list od Rega. Pięć stron maszynopisu, pojedynczy odstęp. Pierwsza część dotyczyła opowiadania. Praca nad poprawkami raźno posuwała się do przodu. Sądził, że skróci je nawet o siedemset słów: z oryginalnej długości dziesięciu tysięcy pięciuset do dziewięciu tysięcy ośmiuset. Druga w całości poświęcona była fornitom... i fornusowi. Była pełna opisów jego doświadczeń i obserwacji. I pytania... dziesiątki pytań...

– Obserwacje? – głowa pisarza pojawiła się w kręgu światła. – To znaczy, że on już je widywał?

– Nie. Nie to, żeby widywał, ale... Chociaż... Wiesz, astronomowie wiedzieli o Plutonie na długo przedtem, nim mieli teleskopy odpowiednio potężne, żeby go zobaczyć. Dowiedzieli się o nim wszystkiego dzięki obserwacjom orbity Neptuna. W ten właśnie sposób Reg „obserwował" fornity. Lubią jeść w nocy – napisał – czy to zauważyłeś? Dawał im jedzenie o różnych porach dnia, ale większość pożywienia znikała po ósmej wieczorem.

– Halucynacje? – zainteresował się pisarz.

– Nie. Jego żona po prostu sama próbowała doczyścić maszynę, kiedy Reg wychodził na spacer. A wychodził zawsze dokładnie o dziewiątej.

– I miała czelność przyczepić się do pana! – burknął agent przesuwając swe wielkie cielsko na ogrodowym fotelu.– Przecież ona sama ożywiała jego fantazje!

– Pan nie rozumie, dlaczego dzwoniła i dlaczego była taka zdenerwowana – odpowiedział spokojnie redaktor i spojrzał na żonę pisarza. – Jestem pewien, że ty to pojmujesz, Meg.

– Może – odpowiedziała i z zakłopotaniem popatrzyła na męża. – Ona nie złościła się dlatego, że pan ożywiał jego fantazje. Bała się, że pan je może zniszczyć.

– Brawo! – redaktor zapalił kolejnego papierosa. – I z tego samego powodu czyściła mu maszynę. Gdyby jedzenie gromadziło się w niej przez dłuższy czas, Reg mógłby wprost ze swych nielogicznych przesłanek wyciągnąć logiczny wniosek: fornit zmarł lub opuścił go. A więc nici z fornusu. A więc... nici z pisania. A więc...

Ostatnie „więc" uleciało w powietrze wraz z papierosowym dymem. Nikt nie przerwał ciszy.

– Sądził, że fornity są stworzeniami nocnymi. I że nie lubią hałasu – zauważył, że nie potrafi pisać rankiem po szczególnie udanych przyjęciach. Że nienawidzą telewizji, elektryczności i radu. Reg sprzedał swój telewizor za dwadzieścia dolarów i pozbył się zegarka z hm... radowym wyświetlaczem cyfr. Pytania? O, było ich mnóstwo: skąd się dowiedziałem o fornitach? Czy to możliwe, że też mam jednego? Jeśli tak, to co sądzę o tym, o tamtym i o owym? Nie muszę chyba wchodzić w szczegóły. Jeśli ktokolwiek z was miał kiedykolwiek psa jakiejś szczególnej rasy i pamięta, jak się dowiadywał, czym go żywić i jak o niego dbać, przypomni sobie większość pytań, jakie Reg mi wtedy zadał. Jeden gryzmoł pod podpisem wystarczył, żeby otworzyć puszkę Pandory.

– Co pan mu odpisał? – zainteresował się agent.

Redaktor odpowiedział spokojnie i cicho:

– Tu dopiero zaczęły się prawdziwe kłopoty. Dla nas obu. Jane powiedziała mi: „Niech go pan uspokoi". No więc, właśnie to zrobiłem. Niestety, udało mi się chyba zbyt dobrze. Odpisałem na jego list w domu, byłem mocno pijany, a mieszkanie wydało mi się aż za puste. Śmierdziało zastarzałym dymem z

zbyt dużo) z pewnością należą do NICH. Krążyłem z maszynopisem i zaczynałem marzyć, żeby spędzić ich wszystkich pod ścianę, ustawić w rządku i załatwić jedną kulą.

Niemal pięć lat minęło, nim mogłem patrzeć na to z ich punktu widzenia. Zdenerwowałem szefów, a to byli faceci, którzy spotykali mnie akurat wtedy, kiedy wyłączano ogrzewanie i zbliżał się czas na Bożonarodzeniową szklaneczkę. Inni... cóż, ironia polega na tym, że część z nich była naprawdę moimi przyjaciółmi. Jared Baker był wtedy zastępcą w „Esquire", a przecież w czasie wojny służyliśmy w jednej kompanii strzelców. Nowe i poprawione wydanie Henry'ego Wilsona nie mogło się im podobać, więcej: byli nim przerażeni. Gdybym po prostu wysłał maszynopis ze spokojnym listem wyjaśniającym okoliczności sprawy, prawdopodobnie sprzedałbym to opowiadanie na pniu. Ale nie, to mnie nie satysfakcjonowało. Nie. „Ballada..." wymagała przecież mojej osobistej opieki! Więc łaziłem z nią od drzwi do drzwi, cuchnący, posiwiały redaktor z trzęsącymi się dłońmi, zaczerwienionymi oczami i wielkim zastarzałym siniakiem w miejscu, w którym uderzył się o drzwi łazienki szukając na czworakach kibelka. Równie dobrze mogłem nosić w klapie znaczek z wielkim napisem: ALKOHOLIK.

Nie chciałem też gadać z tymi facetami w ich biurach. Tak naprawdę to nawet nie mogłem. Dawno minęły czasy, kiedy po prostu wsiadałem do windy i spokojniutko jechałem nią na czterdzieste piętro. Teraz umawiałem się z nimi jak handlarze narkotyków z klientami: w parkach, gdzieś na schodach lub, jak w przypadku Jareda Bakera, w „Burger Heaven" na Czterdziestej Dziewiątej. Przynajmniej Jared z pewnością chciałby mi postawić dobry obiad, ale, rozumiecie, dawno już minął czas, kiedy ceniący swą pracę maitre d'hotel wpuściłby mnie do restauracji, w której spotykają się ludzie interesu.

Agent drgnął.

– No jasne, otrzymywałem mgliste propozycje przeczytania maszynopisu, po których natychmiast szły pełne troski pytania o to, jak się czuję i jak dużo piję. Pamiętam niezbyt dokładnie, że kilku z nich próbowałem przekonać o tym, że to elektryczność uniemożliwia im prawidłowe myślenie i że kiedy Andy Rivers z „American Crossing" zaproponował mi pomoc w znalezieniu lekarza, nawrzeszczałem mu, żeby sam do niego poszedł, bo to on potrzebuje pomocy.

Widzisz tych wszystkich ludzi tam, na ulicy? – tłumaczyłem mu, a staliśmy, pamiętam, w Washington Square Park. Połowa z nich, może nawet trzy czwarte, ma guza mózgu. Nie sprzedałbym ci opowiadania Thorpe'a, Andy. Przecież tu, w tym mieście, nawet byś go nie pojął. Twój mózg siedzi na krześle elektrycznym i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy! Miałem w ręku maszynopis opowiadania zwinięty jak gazeta i uderzyłem go tym maszynopisem po nosie jak nieposłusznego psa, sikającego pod murem. Później po prostu odszedłem. Pamiętam, że krzyczał za mną, żebym wrócił, że możemy przecież pójść na kawę i jeszcze sobie pogadać na ten temat, a później znalazłem się pod sklepem z płytami, pod głośnikami wypluwającymi na ulicę heavy metal i falę zimnego, jarzeniowego światła i jego głos znikł w czymś w rodzaju szumu przelewającego mi się w głowie. Pamiętam, że mogłem już myśleć tylko o dwóch sprawach: że muszę szybko, jak najszybciej opuścić miasto, bo sam się nabawię guza mózgu i że zaraz, natychmiast, muszę się napić.

Tego wieczora znalazłem pod drzwiami mieszkania karteczkę: *Wynoś się stąd, głupku!* Wyrzuciłem ją, w ogóle o niej nie myśląc. My, wariaci, mamy większe kłopoty niż anonimowe żale zdenerwowanych sąsiadów.

Myślałem o tym, co powiedziałem Andy'emu Riversowi o opowiadaniu Rega. Im więcej o tym myślałem (i im więcej piłem), tym bardziej sensowne mi się to wydawało. „Ballada..." była zabawna i pozornie łatwa w czytaniu... ale pod tą powierzchnią kryła się bardzo skomplikowana treść. Czy w ogóle można mieć nadzieję, że jakiś wydawca jest zdolny zrozumieć ją w całości? Tak myślałem, ale czy myślę tak dalej, teraz, kiedy już otworzyły mi się oczy? Czy ciągle mogę mieć nadzieję, że ktoś coś może pojąć i zrozumieć w mieście owiniętym kablami jak bomba terrorysty? Boże, przecież wolty przeciekają tu ze wszystkich stron!

Czytałem gazetę, póki pozwalało na to dzienne światło, starałem się zapomnieć o tych wszystkich strasznych sprawach i tam, na kartach „Timesa" znalazłem historię o tym, jak to materiały radioaktywne znikają z elektrowni jądrowych. Autor pisał, że znikło już wystarczająco wiele, żeby można było zrobić z tego bombę.

Siedziałem przy kuchennym stole, zachodziło słońce, a ja widziałem ICH, wypłukujących pluton tak,

odczułem wtedy żadnej ulgi, wręcz przeciwnie, poczułem przelewające się przez mój mózg wielkie, czarne fale bólu – jak fale radiowe. Przez chwilę miałem wrażenie, że to oczy odwróciły mi się w oczodołach i patrzę na mózg, na jego palące się, zwęglone i umierające komórki. To był wykrywacz dymu – w 1969 roku urządzenie jeszcze nowsze niż mikrofalowa kuchenka.

Wypadłem z mieszkania jak strzała i pobiegłem po schodach – mieszkałem na piątym piętrze, ale w tym czasie używałem już wyłącznie schodów – i zacząłem walić do mieszkania dozorcy. Krzyczałem, że ma to usunąć, że ma to w ogóle usunąć, że ma to usunąć dzisiaj, że ma to usunąć w ciągu godziny. Patrzył na mnie, jakbym był zupełnie – proszę mi wybaczyć to określenie – bonzo seco. Teraz już łatwo mi go zrozumieć. Wykrywacz dymu miał przecież sprawić, żebym się czuł bezpieczniej i lepiej. Teraz już oczywiście są wszędzie, ale wtedy był to wielki Skok w Przyszłość i płacił za to związek właścicieli domów.

Dozorca go oczywiście usunął. Nie zabrało mu to wiele czasu, ale nawet na chwilę nie spuszczał ze mnie oka i teraz – do pewnego stopnia, pojmuję jego uczucia. Nie goliłem się od Bóg wie kiedy i śmierdziałem whisky, brudne włosy lepiły mi się do głowy, marynarkę też miałem brudną. Oczywiście wiedział, że już nie chodzę do pracy i widział, jak wynoszą telewizor. Wiedział też, że kazałem odłączyć telefon. Po prostu myślał, że oszalałem.

Może i byłem szaleńcem, ale tak jak i Thorpe, niekoniecznie zaraz idiotą. Włączyłem dla niego cały mój wdzięk, ile go zostało – no, tak, wiecie, redaktorzy pism literackich muszą go trochę mieć. Pozbyłem się go spokojnie dzięki dziesięciodolarówce i w końcu jakoś naprostowałem tę sprawę, ale z tego, jak przez następne parę tygodni patrzyli na mnie sąsiedzi (a były to ostatnie tygodnie, jakie miałem tam spędzić) mogłem się domyśleć, że opowieść poszła w świat. Zwłaszcza wiele mówiący był fakt, że nie odwiedził mnie nikt ze związku właścicieli, żeby poskomliwać nad moją czarną niewdzięcznością. Pewnie bali się, że ich zaatakuję nożem do mięsa.

O tym wszystkim jednak prawie wtedy nie myślałem. Siedziałem w półmroku, ciągle paliła się latarnia i bijąca przez okna elektryczność Manhattanu też oświetlała trochę moje trzy pokoje. Siedziałem z butelką w jednej i papierosem w drugiej ręce wpatrzony w miejsce, w którym wykrywacz dymu świecił czerwonym okiem tak dyskretnie, że w dzień w ogóle nie było go widać i myślałem. Myślałem o tym, że chociaż wyłączyłem całą elektryczność, on został. A jeśli go przeoczyłem, to mogłem przeoczyć także co innego.

A jeśli nawet nie, to przecież cały dom i tak naszpikowany był przewodami, był tak ich pełen, jak umierający na raka człowiek pełen jest chorych komórek i gnijących organów. Zamykałem oczy i widziałem kable biegnące w ścianach, świecące niesamowicie zielonkawym światłem. Jeden, niemal nieszkodliwy, cieniutki przewód biegł od kontaktu... wychodzący z kontaktu kabel był już nieco grubszy i biegł do piwnicy, w której łączył się z jeszcze grubszym, łączącym się w podziemnym kanale z całą wiązką bardzo już grubych... No, tak.

Kiedy Jane Thorpe napisała mi, że Reg zakleił kontakty, jedna część mego umysłu wiedziała, że ona uznaje to za dowód szaleństwa męża i ta część podpowiedziała mi, żeby jej odpisać tak, jakby była całością. Druga część, teraz już znacznie większa, krzyczała coś zupełnie innego: „Przecież to wspaniały pomysł!" – no i zaraz następnego dnia zrobiłem oczywiście to samo. Pamiętajcie, to ja byłem człowiekiem, który miał pomóc Regowi. W jakiś straszny sposób to wszystko było nawet śmieszne.

Tej nocy zdecydowałem się opuścić Manhattan. W Adirondacs był kawałek należącej do rodziny ziemi, mógłbym tam trochę pomieszkać i ten pomysł bardzo mi się spodobał. W mieście trzymała mnie już tylko „Ballada o celnym strzale". Jeśli była ona kołem ratunkowym, pomagającym Regowi pływać po oceanie szaleństwa, to ze mną było podobnie. Chciałem już tylko umieścić ją w dobrym magazynie i gdyby mi się to udało, mógłbym zniknąć z miasta.

Tak właśnie wyglądały niezbyt znane w świecie relacje Wilson-Thorpe tuż przed tym, nim śliwka wpadła w gówno. Byliśmy jak dwóch umierających narkomanów, jeden udowadniał drugiemu wyższość heroiny nad morfiną. No, tak. Reg miał fornita w maszynie, ja miałem fornita w ścianie, a obaj mieliśmy fornity w głowach.

No i byli ONI. Nie należy zapominać o NICH. Niewiele czasu zabrało mi przekonanie się, że wszyscy redaktorzy działów literatury we wszystkich nowojorskich magazynach (nie, żeby w 1969 roku było ich

papierosów. Z odejściem Sandry wszystko zaczęło powoli podupadać, zmięta narzuta na tapczanie, brudne naczynia w zlewie... tego rodzaju rzeczy. Mężczyzna w średnim wieku całkowicie nie przygotowany do samodzielności.

Siedziałem w tym mieszkaniu nad kartką papieru, wkręconą w maszynę i myślałem: potrzebuję fornita. Potrzebuję z tuzin fornitów, żeby posypały fornusem całe to mieszkanie od drzwi do okna. Byłem wystarczająco pijany, żeby zazdrościć Regowi Thorpe jego złudzeń.

No i odpisałem mu, że rzeczywiście mam fornita. Napisałem, że charaktery mają zupełnie podobne. Aktywne w nocy. Nienawidzi hałasu, ale mój najwyraźniej lubi Bacha i Brahmsa... często dobrze mi się pracuje wieczorem, kiedy słucham ich muzyki. Że mój zdecydowanie lubi kiełbasę bolońską... może warto spróbować poczęstować nią i twojego, co, Reg? Zostawiam po prostu kawałki koło mojego redaktorskiego ołówka, a rano prawie zawsze nie ma po niej śladu. Chyba że – jak sam wspomniałeś, Reg – poprzednia noc była rozrywkowa. Podziękowałem mu za informację o radzie i napisałem, że sam używam normalnego, nakręcanego zegarka. Napisałem, że mój fornit towarzyszy mi już od czasu szkolnych wypracowań. Wyobraźnia tak mnie poniosła, że wyszło tego chyba z sześć stron. Na końcu dodałem notkę o opowiadaniu, raczej pobieżną. Podpisałem...

– A pod podpisem...? – odezwała się żona agenta.

– Oczywiście. *Fornit i Fornus...* – przerwał i zamilkł na chwilę.

– Nie zobaczycie tego w ciemności, ale się rumienię. Byłem taki pijany, taki cholernie zadowolony.... Może w świetle poranka przemyślałbym tę sprawę raz jeszcze, ale rano już było za późno.

– Wysłałeś list jeszcze w nocy – mruknął pisarz.

– Wysłałem. Przez półtora tygodnia wstrzymywałem oddech i czekałem. Pewnego dnia do redakcji przyszedł adresowany do mnie maszynopis, bez listu. Skróty były takie, jak uzgodniliśmy i opowiadanie wyszło świetnie w każdym szczególe, ale maszynopis... cóż, wpakowałem go do teczki, zabrałem do domu i sam przepisałem jeszcze raz. Był pokryty żółtymi plamami, myślałem, że to...

– Uryna? – zapytała żona agenta.

– Tak, to właśnie sobie pomyślałem. Myliłem się. A kiedy przyjechałem do domu, w skrzynce czekał już na mnie list od Rega. Tym razem dziesięciostronicowy. Z tymi samymi żółtymi plamami. Oczywiście. Nie mógł dostać kiełbasy bolońskiej,więc kupił inną. Napisał, że jego fornit po prostu ją uwielbia, szczególnie z musztardą. Tego dnia byłem zupełnie trzeźwy. Ale ten list... i ślady musztardy, rozsmarowanej po kartkach pchnęły mnie prosto do barku. Nic nie było mnie w stanie zatrzymać. Wypiłem.

– Co jeszcze było w liście? – dopytywała się żona agenta. Najwyraźniej ta opowieść zaczynała ją coraz bardziej fascynować i teraz pochylała się w stronę redaktora nad swym wcale pokaźnym brzuszkiem w pozie, która żonie pisarza przypominała Snoopy'ego, siedzącego na swej budzie i udającego sępa.

– Tym razem tylko ze dwa wiersze poświęcił opowiadaniu. Reszta dotyczyła fornita... i mnie. Kiełbasa to był rzeczywiście znakomity pomysł. Rackne musiał ją naprawdę polubić i...

– Rackne? – spytał pisarz.

– Tak miał na imię ten fornit. Rackne. Dzięki kiełbasie Rackne na serio wziął się do roboty przy skrótach. Reszta to był już prawdziwy bełkot szaleńca. Czegoś takiego nie widzieliście w życiu.

– Reg i Rackne... małżeństwo zawiązane w niebie – powiedziała żona pisarza i zachichotała nerwowo.

– Nie, to wcale nie tak. To była przyjaźń oparta na wspólnocie interesów. A Rackne był samcem.

– Co jeszcze pisał?

– Tego akurat dokładnie nie pamiętam. Macie szczęście. Nawet szaleństwo po jakimś czasie może zacząć nudzić. Listonosz był człowiekiem CIA. Gazeciarz – FBI, Reg dostrzegł rewolwer z tłumikiem w jego torbie, wśród gazet. Sąsiedzi byli jakimiś tam szpiegami – w ich półciężarówce Reg widział aparaturę podsłuchową. Bał się chodzić nawet do najbliższego sklepu, bo właściciel też był androidem i przez jego łysinę przeświecała siatka przewodów. A promieniowanie radu w domu wyraźnie się zwiększyło i ściany świeciły w nocy zielonkawą poświatą.

Ten list kończył się mniej więcej tak: *Mam nadzieję, że mi odpiszesz i powiadomisz mnie o tym, jak to wygląda u ciebie. Co z fornitem i wrogami, Henry? Sądzę, że nasza znajomość zawiązała się przez coś więcej niż przypadek. Bóg, Opatrzność, Los (nazwij to jak chcesz) w ostatniej chwili rzucił mi koło*

ratunkowe. Mężczyzna nie może samotnie w nieskończoność opierać się tysiącom nieprzyjaciół. A odkrycie, że nie jest sam... czy powiem zbyt wiele, jeśli stwierdzę, że fakt, że mamy wspólne doświadczenia stanął między mną a całkowitym zniszczeniem? Chyba nie. Muszę wiedzieć, czy wrogowie polują na twojego fornita tak jak na Rackne. Jeśli tak, to jak sobie z nimi radzisz? Jeśli nie, to czy możesz się domyślić dlaczego? Powtarzam: muszę to wiedzieć!

List podpisany był tym samym symbolem, pod którym znajdowało się jeszcze postscriptum. To jedno zdanie uderzyło mnie z siłą śmiertelnego ciosu: *Czasami myślę też o mojej żonie.*

Przeczytałem ten list trzy razy i w tym czasie zdołałem rozprawić się z całą butelką Black Velvet. Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że jakoś przecież muszę mu odpisać. Jak? Jasne, to tonący wołał do mnie „na pomoc!". Opowiadanie trzymało go w kupie przez pewien czas, ale teraz było już prawie skończone. To, czy Reg nie rozsypie się na kawałki, zależało już tylko ode mnie. Rozumiałem go, w końcu to ja przecież zacząłem tę całą historię. Chodziłem tam i z powrotem po ciemnych pokojach i nagle zacząłem wyciągać wtyczki z kontaktów. Pamiętajcie, byłem kompletnie zalany, a alkohol rozpuszcza bariery sceptycyzmu. To dlatego wydawcy i prawnicy wyskakują na trzy drinki przed podpisaniem kontraktu i obiadem.

Agent wybuchnął śmiechem ale to nie poprawiło nastroju. Wszyscy byli napięci i zażenowani.

– Proszę, pamiętajcie i o tym, że Reg był pisarzem jak diabli! I do tego całkiem przekonanym, że rzeczy wyglądają dokładnie tak, jak mi je opisał. FBI. CIA. Podatki. ONI. WROGOWIE. Niektórzy pisarze posiadają niezwykły dar – im bardziej czują temat, tym chłodniej piszą. Robił tak Hemingway, Steinbeck i Reg Thorpe. Wchodzicie w ich świat. Świat zupełnie logiczny. Zaczynacie myśleć jak oni – trzeba tylko przyjąć pewne podstawowe przesłanki, fornita, trzydziestkę ósemkę z tłumikiem w torbie listonosza. Dzieciaki z przeciwka mogą przecież rzeczywiście być agentami KGB, mogą mieć kapsułki z trucizną w sztucznych zębach i misję: zginąć albo porwać lub zabić Rackne.

Oczywiście nie uznałem tych przesłanek. Tylko tak trudno szło mi myślenie. Więc wyrywałem kolejne wtyczki. Najpierw tę od kolorowego telewizora, bo wszyscy przecież wiedzą, że naprawdę one czymś tam promieniują. W „Logan's" publikowaliśmy nawet artykuły znanego naukowca tłumaczące, że promieniowanie kolorowego telewizora ma wpływ na fale ludzkiego mózgu i zmienia je, nieznacznie wprawdzie, lecz permanentnie. Ten naukowiec udowadniał, że to właśnie kolorowe telewizory powodują, że dzieci w szkołach mają niższe oceny na testach z umiejętności czytania i pisania i z matematyki. W końcu to one oglądają najwięcej telewizji.

Więc wyłączyłem telewizor i wydało mi się, że mogę już myśleć jaśniej. Poczułem się na tyle dobrze, że mogłem wyłączyć radio, maszynkę do grzanek, pralkę i suszarkę. Zupełnie nagle przypomniałem sobie o kuchence mikrofalowej i też ją wyłączyłem. Ulżyło mi. Ta kuchenka była stara, wielka jak szafa i prawdopodobnie nie całkiem bezpieczna. Dzisiejsze modele są chyba lepiej zabezpieczone.

Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z tego, ile rzeczy w zwykłym gospodarstwie niezbyt zamożnego człowieka podłącza się do kontaktu. Dostrzegłem potworną, elektryczną ośmiornicę z mackami z kabli pełznących w ścianach i łączących się z najbliższą, oczywiście rządową, elektrownią.

Cierpiałem na coś w rodzaju rozdwojenia myśli. – Redaktor popił wody mineralnej ze szklaneczki i mówił dalej. – W zasadzie wiedziałem, że to wszystko przesąd. Jest przecież wielu ludzi, którzy nie otworzą parasolki pod dachem i nie przejdą pod drabiną. Koszykarze żegnają się przed rzutami osobistymi i zmieniają skarpetki, kiedy nie trafią. Racjonalna świadomość i irracjonalna podświadomość grają sobie fałszywy choć stereofoniczny podkład. Gdybym musiał wam zdefiniować nieracjonalną podświadomość, to powiedziałbym, że jest ona małym pokoikiem, znajdującym się we wnętrzu każdego z nas. Jedynym meblem w tym pokoiku jest stolik. Na stoliku leży rewolwer. A rewolwer naładowany jest elastycznymi pociskami.

Schodzisz z chodnika, żeby ominąć drabinę, wychodzisz na deszcz ze zwiniętym parasolem i z twojego racjonalnego ja odpada łupina: wchodzisz do pokoju i bierzesz w rękę rewolwer. Myślisz o dwóch rzeczach na raz: „przechodzenie pod drabiną z pewnością nikomu nie szkodzi" i „ominięcie drabiny też nie może zaszkodzić". Ominąłeś drabinę, otworzyłeś parasol – i znów jesteś sobą.

– To całkiem interesujące – powiedział pisarz. – Czy mógłbyś tu coś jeszcze wyjaśnić? To znaczy, kiedy ta „irracjonalna podświadomość" przestaje bawić się rewolwerem i przykłada go do czoła?

Przebijające przez nie słońce świeciło jakby zza chmur... no, tak: wróciliśmy do tematu. Świeciło tak jak wtedy, kiedy na niebie zbierają się takie pierzaste chmurki i wiesz, że wkrótce będzie już lało jak z cebra.

I te wszystkie dobre wiadomości: studenci, pies, sprzątaczka, nowa powieść – przecież była zbyt inteligentna, żeby uwierzyć, że wszystko może znowu być dobrze. Ja o tym wiedziałem, nawet po pijaku. Reg zdradzał symptomy psychozy, a z psychozą jest jak z rakiem płuc: sama się nie wyleczy, choć od czasu do czasu chorzy mogą się czuć lepiej.

– Mogę cię znów prosić o papierosa, kochanie?

Żona pisarza poczęstowała go jeszcze jednym Salemem.

– W końcu – mówił dalej redaktor, wyciągając zapalniczkę – miała wokół siebie wszystkie symptomy jego idee fixe. Brak telefonu. Żadnej elektryczności. Kontakty zaklejone taśmą. Reg wkładał jedzenie do maszyny równie regularnie jak do miski psa. Studenci z przeciwka mogli go mieć za wspaniałego faceta, ale studenci z przeciwka nie widzieli, jak codziennie rano, ze strachu przed promieniowaniem wkładał na ręce gumowe rękawiczki, żeby podnieść leżącą na progu gazetę. Nie słyszeli, jak jęczy przez sen i nie uspokajali go, kiedy budził się z krzykiem, nie pamiętając koszmaru, który go przeraził.

– Ty, moja droga – powiedział patrząc wprost w oczy żonie pisarza – zastanawiasz się pewnie, dlaczego przy nim została. Myślisz o tym, choć nic nie mówisz. Prawda?

Skinęła głową.

– Tak, a ja nie mam zamiaru przedstawiać wam długiej rozprawy na temat jej motywów. We wszystkich prawdziwych opowieściach bardzo wygodne jest to, że można powiedzieć: tak się właśnie stało i pozostawić słuchaczom kłopot z odkryciem – dlaczego? A w ogóle to nikt na ogół nie wie, dlaczego było właśnie tak a nie inaczej, a już szczególnie głupi są ci najzupełniej pewni, że rozumieją wszystko.

Z subiektywnego punktu widzenia Jane Thorpe działo się jednak znacznie, ale to znacznie lepiej. Znalazła sprzątaczkę – Murzynkę w średnim wieku i zmusiła się do opowiedzenia jej o dziwactwach swego męża. Ta kobieta, Gertruda Rulin, roześmiała się tylko i powiedziała, że pracowała już dla ludzi, którzy byli o całe niebo dziwaczniejsi. Pierwszy tydzień po jej zaangażowaniu Jane spędziła tak, jak pierwszy wieczór u studentów: czekając na wybuch szaleństwa. Ale Reg podbił serce sprzątaczki całkowicie, tak jak wcześniej serca tych dzieciaków. Mówił o jej parafialnych pracach, o mężu, o najmłodszym synku, Jimmym, który – według Gertrudy – zapędziłby w kozi róg samego Kubę Rozpruwacza. Miała jedenaścioro dzieci, ale między tym i najmłodszym z pozostałych było dziewięć lat różnicy i to nikomu nie ułatwiało życia.

Więc z Regiem wszystko wydawało się układać nieźle i jeżeli spojrzeć na to z pewnego punktu widzenia, było tak rzeczywiście. Tylko w rzeczywistości był nie mniej szalony niż poprzednio i oczywiście, podobnie było ze mną. Cóż, szaleństwo może sobie być jak elastyczny pocisk, ale każdy liczący się ekspert od balistyki powie wam, że nie ma dwóch identycznych pocisków. W jednym z listów Reg napisał coś tam o powieści tylko po to, żeby zaraz przejść do sprawy fornitów. Fornitów w ogólności, a Rackne szczególnie. Zastanawiał się przede wszystkim, czy ONI chcą go tylko zabić, czy też złapać żywcem i przesłuchać – i skłaniał się ku tej drugiej ewentualności. Na końcu stwierdzał: *Mój pogląd na świat, tak jak i apetyt, poprawiły się znacznie od czasu, kiedy zaczęliśmy do siebie pisać, Henry. Bardzo Ci za to dziękuję. Zawsze Twój – Reg.* A w postscriptum pytał, czy znalazłem już ilustratora do „Ballady o celnym strzale". To ostatnie spowodowało u mnie oczywiście nasilenie poczucia winy, które skierowało mnie wprost do butelki.

Reg pisał mi o fornitach, a ja jemu o kablach i polach. Coraz bardziej interesowała mnie elektryczność, mikrofale, fale radiowe, interferencje fal, promieniowanie i Bóg jeden wie, co jeszcze. Chodziłem do bibliotek i pożyczałem książki, chodziłem do księgarń i kupowałem książki. Było w nich sporo dość przerażających wiadomości na ten temat, a ja przecież w gruncie rzeczy tego właśnie poszukiwałem.

Kazałem wyłączyć telefon i elektryczność. Na jakiś czas pomogło, ale kiedyś, gdy leżałem pijany tuląc w dłoni butelkę whisky i czując ciężar drugiej w kieszeni marynarki, zobaczyłem małe, czerwone, świecące na mnie z sufitu światełko, Boże, przez chwilę myślałem, że dostanę ataku serca. Wyglądało to jak owad... wielki, czarny robal patrzący jednym, błyszczącym, czerwonym okiem.

Miałem latarnię gazową, zapaliłem ją i od razu zorientowałem się, co to naprawdę jest. Tylko, że nie

wiecie: wyprostować rękę, napełnić szklankę, opróżnić szklankę, wyprostować rękę. Po pewnym czasie ta praca męczy tak, że zasypia się przy stole. Zdarzały się pewnie i inne rzeczy, ale obchodziła mnie głównie właśnie ta. O ile dobrze pamiętam. No, tak. Musiałem dużo pracować, przez cały czas byłem praktycznie zalany i na jedno wydarzenie, które pamiętam, przypada z pięćdziesiąt albo może i sześćdziesiąt tych, o których nie mam najmniejszego pojęcia.

Rzuciłem pracę i wszyscy wokół odetchnęli z ulgą. Tego jestem pewien. Zwolniłem ich z rozstrzygania egzystencjalnego problemu: jak wyrzucić z pracy szaleńca, który kieruje rozwiązanym działem. Ja też odetchnąłem. Nie miałem siły, by jeszcze raz wejść do tego budynku. Z jego windami, lampami, telefonami i całą czającą się na człowieka elektrycznością.

W ciągu tych trzech tygodni napisałem kilka listów do Rega Thorpe'a i kilka do Jane. Pamiętam, jak pisałem do niej, z pisaniem do niego było jak z listem Bellis. Tworzyłem w zamroczeniu. Po pijaku trzymałem się sposobu pracy dokładnie tak samo jak błędów. Zawsze były kopie – kiedy dochodziłem do siebie rano, podłoga była nimi usłana. Czytałem je jak dzieła kogoś zupełnie nieznajomego.

To nie to, że te listy były szalone. Raczej przeciwnie. Ten, który kończył się wzmianką o wirówce wydawał mi się najgorszy. Inne były... no, prawie rozsądne.

Zamilkł i powoli potrząsnął głową.

– Biedna Jane. Nie w tym rzecz, że wszystko skończyło się właśnie tak. Była pewna, że wydawca Rega bardzo zręcznie i jakże humanistycznie próbuje wyciągnąć go z pogłębiającej się depresji. Jeśli stawiała sobie pytanie, czy wszystko powinno wyglądać właśnie tak w przypadku faceta, który doświadcza różnego rodzaju paranoicznych fantazji, a raz niemal skrzywdził małą dziewczynkę, to chyba podświadomie wolała na nie nie odpowiadać. A ja w końcu robiłem przecież to samo co ona. Trudno tu mieć do niej pretensje, nie był w końcu rzeźnym zwierzęciem, szkapą, którą trzeba głaskać i tuczyć, tuczyć, tuczyć aż w końcu sama zgodzi się pójść do końskiej jatki. Ona przecież kochała tego faceta! Jane Thorpe była na swój sposób wielką, wspaniałą kobietą. Po tym, jak przeżyła to wszystko: spokój, chorobę, a wreszcie szaleństwo, moim zdaniem zgodziłaby się z Bellis, że należy błogosławić węzeł, a nie przeklinać upadek. Pewnie, im wyżej złapiesz węzeł, tym mocniej szarpnie cię sznur przy powieszeniu, ale szybki koniec też może być błogosławieństwem. Kto w końcu pragnie się długo dusić?

Obydwoje odpisywali mi regularnie. To były bardzo, bardzo pogodne listy, choć w tej ich pogodzie wyczuwało się... coś ostatecznego. Wyglądało na... och, do cholery, tanią filozofię! Opowiem wam, kiedy znów będę umiał o tym myśleć. Niech to wszyscy diabli!

Reg spotykał się z tymi dzieciakami z przeciwka co wieczór i kiedy liście zaczęły opadać z drzew, był już dla nich czymś w rodzaju Boga, który zstąpił na ziemię. Grali w karty i we Frisbee, a kiedy się zmęczyli, pod jego delikatnym przewodnictwem gadali o literaturze. Reg wziął też psa ze schroniska i chodził z nim na długie spacery rano i wieczorem, spotykał innych ludzi i rozmawiał z nimi dokładnie tak, jak to robią wszyscy właściciele takich kundli. Ci, którzy wcześniej sądzili, że Thorpe'owie mają trochę źle w głowie, zaczęli powoli zmieniać zdanie. Kiedy Jane stwierdziła, że sama nie poradzi sobie w domu bez elektryczności i powinna jednak mieć jakąś pomoc, Reg zgodził się na to bez słowa, z uśmiechem. Aż zaniemówiła! Oczywiście, nie była to kwestia pieniędzy – po „Postaciach z podziemia" płynęły prawie nieprzerwanym strumieniem – to była, według Jane, sprawa ICH, ONI przecież byli, zdaniem Rega, wszędzie, a kto mógłby być ICH najlepszym narzędziem, jeśli nie sprzątaczka pętająca się po całym domu i zaglądająca do szaf, pod łóżko, a może nawet do nie zamkniętych na siedem zamków szuflad biurka.

Ale nie, Reg zgodził się z nią całkowicie i powiedział, że czuje się jak nieczuła świnia, że powinien pomyśleć o tym wcześniej, choć – Jane to specjalnie mocno podkreślała – sam wykonywał z własnej woli najbrudniejsze prace, takie jak na przykład ręczne zmywanie. Poprosił tylko o jedno: sprzątaczka miała nie wchodzić do pracowni.

A najlepsze i najwspanialsze z punktu widzenia Jane było to, że Reg z powrotem wziął się do pracy. Tym razem miała to być powieść. Przeczytała pierwsze trzy rozdziały i – według niej – były po prostu wspaniałe! A wszystko to, pisała, zaczęło się od tego, że przyjąłem do druku „Balladę o celnym strzale", przedtem panowała susza, teraz przyszedł ulewny deszcz.

Jestem pewien, że tak właśnie myślała, ale w jej podziękowaniach mało było prawdziwego ciepła.

– Kiedy nasz delikwent zaczyna pisać listy do gazet, domagając się likwidacji wszystkich drabin w mieście, bo przechodzenie pod nimi jest niebezpieczne.

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

– No, to powiedzieliśmy już tyle, że równie dobrze możemy skończyć. Irracjonalna podświadomość strzela w mózg elastycznymi pociskami wtedy, kiedy zaczynasz biegać po mieście i przewracać drabiny, być może raniąc tych, którzy na nich pracują. Do szpitala nie trafiają faceci, którzy po prostu omijają drabiny i ci, którzy piszą listy do gazet, że w Nowym Jorku źle się dzieje, bo jest on pełen głupków, pozbawionych wrażliwości i łażących pod drabinami. Wariatkowa pełne są tych, którzy próbowali je przewracać.

– Ponieważ to akurat widać – powiedział pisarz.

– Wiesz, Paul, w tym coś jest. Nigdy nie chciałem zapalać trzech papierosów jedną zapałką. Nie wiedziałem czemu, ale nie chciałem. Dopiero później przeczytałem gdzieś, że to się zaczęło w okopach I wojny światowej. Że niemieccy strzelcy wyborowi tylko czekali na głupich Anglików, uprzejmie przypalających sobie nawzajem papierosy. Pierwszy – i mieli namiar. Drugi – poprawka na wiatr. Za trzecim odstrzeliwali gościowi łeb. Ba, ale wiesz o tym czy nie, to bez różnicy. Ciągle, nawet dziś, nie zapalam ludziom trzech papierosów pod rząd. Wiem, że mogę ich zapalić nawet dwadzieścia, tylko z drugiej strony mój wewnętrzny głos mówi z akcentem Borisa Karloffa: „Aaaa, tylko spróbuj, przyjacielu...".

– Ale przecież nie zawsze szaleństwo to zabobon – powiedziała skromnie żona pisarza.

– Nie? A Joanna d'Arc? Ona przecież słyszała głosy. Z nieba. Niektórzy ludzie są pewni, że opanowały ich demony. Jeszcze inni widzą diabły... albo upiory... albo, cóż, fornity. Wariactwo, mania, irracjonalność, szaleństwo – te wszystkie słowa sugerują także przesądy. Dla szaleńca rzeczywistość jest skrzywiona. Rozszczepiona osobowość integruje się w małym pokoiku. W pokoiku stoi stolik. A na stoliku leży rewolwer.

Moje racjonalne ja ciągle jednak trzymało pion. Okrwawione, posiniaczone, wściekłe i trochę przestraszone, trzymało się jednak twardo. Tłumaczyło mi nawet: „No, no – wszystko w porządku. Jutro, jak wytrzeźwiejesz, wetkniesz wszystko na miejsce. I dzięki Bogu! Baw się, jeśli musisz, ale ani kroku dalej. Tylko ani kroku dalej!"

Ten wspaniały głos rozsądku miał prawo się bać. Jest w nas coś takiego, że szaleństwo nas ciekawi. Każdy, kto chociaż raz wychylił się z balkonu wysokiego domu, na pewno czuł delikatną, lecz morderczą ochotę, żeby skoczyć. A każdy, kto choćby raz przyłożył sobie lufę do czoła...

– Nie! Proszę... – żona pisarza prawie krzyczała.

– No dobrze – zgodził się redaktor. – Chciałem tylko wytłumaczyć, że nawet najnormalniejszy człowiek zaledwie wisi na śliskim sznurze normalności. W ludzkie zwierzę obwody normalności wbudowano bardzo niedbale.

Kiedy już wszystko wyłączyłem, poszedłem do pracowni, napisałem list do Rega, wsadziłem go do koperty, nakleiłem znaczek i wysłałem. Zupełnie nie pamiętam, jak to zrobiłem. Byłem zbyt pijany, żeby pamiętać. Mogłem tylko wszystko sobie wydedukować, bo jak już doszedłem do siebie następnego ranka, przy maszynie leżała kopia, znaczki i paczka kopert. List był prawie taki, jakiego można się spodziewać po zalanym pijaku. Było tam mniej więcej tak: *Nieprzyjaciół przyciągają zarówno fornity, jak i elektryczność. Pozbądź się elektryczności, a pozbędziesz się nieprzyjaciół.* Na dole dopisałem: *To elektryczność nie pozwala ci myśleć jasno o tych sprawach, Reg. Interferuje z falami mózgowymi. Czy twoja żona ma elektryczną wirówkę?*

– No, to skończyło się na listach do gazet – powiedział pisarz.

– Tak. Napisałem ten list w piątek w nocy. Wstałem w sobotę o jedenastej rano, skacowany i zaledwie świadomy tego, co wyprawiałem poprzedniego dnia. Włączając wszystko z powrotem wstydziłem się jak cholera. Wstydziłem się jeszcze bardziej – i bałem się – kiedy przeczytałem to, co napisałem Regowi. Szukałem oryginału listu i miałem nadzieję, że go znajdę. Nie znalazłem. Przeżyłem cały ten dzień próbując wziąć się w garść jak mężczyzna i obiecując sobie, że nie tknę więcej whisky. Dotrzymałem słowa. Jak cholera.

Wyciągnij osiemset i coś-tam-jeszcze dolarów ze swojego konta i każ bankowi założyć dla siebie nowe konto pod hasłem Arvin Publishing Inc. Upewnij się, że zrozumieli, że chcesz mieć bardzo profesjonalnie wyglądające czeki, żadnych ślicznych piesków i malowniczych kanionów. Poproś przyjaciela, kogoś, komu możesz zaufać i zarejestruj go jako wspólnika, to ci będzie te czeki kontrsygnował. Kiedy je już dostaniesz, wypisz jeden na 800 dolarów i daj wspólnikowi do podpisu. Później wyślij go Regowi Thorpe'owi. Na jakiś czas będziesz miał spokój.

Koniec. Bez odbioru.

Podpisano – *Bellis.* Nie znaczkiem. Na maszynie.

– Phi! – mruknął pisarz.

– Kiedy wstałem, w oczy rzuciła mi się najpierw maszyna, wyglądała, jakby ją ktoś ucharakteryzował na ducha maszyny do taniego horroru. Wczoraj to był jeszcze stary, czarny i bardzo biurowy Underwood. Ale kiedy wstałem – z łbem wielkim jak północna Dakota – zobaczyłem, że jest jakiś taki szarawy. Wystarczyło tylko jedno spojrzenie, by pomyśleć, że chyba się już wykończył. Przejechałem po nim palcem, polizałem go i poszedłem prosto do kuchni. Na barku stała torba z cukrem pudrem, a w niej łyżeczka. Cukier rozsypany był wszędzie między kuchnią a moją pracownią.

– Żywiłeś fornita – stwierdził pisarz. – Bellis to prawdziwy pies na słodycze, albo tak ci się przynajmniej wydawało.

– Aha. Ale nawet chory i do tego jeszcze skacowany, wiedziałem doskonale, kto tu jest fornitem.

Wyliczył im na palcach:

– Po pierwsze: Bellis to panieńskie nazwisko mojej matki. Po drugie: słowa „el bonzo seco" – mówiliśmy tak z bratem o kimś, kogo uważaliśmy za stukniętego. Jak byliśmy dziećmi. Po trzecie i najbardziej denerwujące: pisownia „gupi". Nigdy nie udało mi się dobrze napisać tego słowa. Znałem jednego nieprzyzwoicie wykształconego pisarza, który zawsze pisał „wogóle" i wszyscy musieli to po nim poprawiać. A inny facet, z doktoratem z Princeton zawsze pisał „na prawdę".

Żona pisarza roześmiała się nagle równie rozbawiona co zażenowana.

– Ja też tak piszę – powiedziała.

– Chciałem tylko powiedzieć, że błędy ortograficzne to takie literackie odciski palców człowieka. Zapytajcie o to kogoś, kto poprawiał kilka tekstów jednego autora.

Cóż, Bellis był mną, a ja – to Bellis. Udzielał jednak dobrych, więcej, doskonałych rad. Jest jeszcze coś innego – podświadomość zostawia czasami dziwne ślady. Jest taką cholerną istotą, która cholernie dużo wie. Nigdy w życiu nie widziałem „kontrsygnatury" i – przynajmniej świadomie – nie miałem pojęcia, co to jest. Ale coś takiego rzeczywiście istnieje. Bankowcy używają nawet dokładnie tego słowa! Dziwne.

Znalazłem telefon i zadzwoniłem do przyjaciela. Kiedy przykładałem do ucha słuchawkę, poczułem znajomy ból, ból nie do wytrzymania. Pomyślałem o Regu Thorpe, pomyślałem o radzie i szybko odłożyłem słuchawkę. Wziąłem za to prysznic, ogoliłem się, chyba z dziesięć razy sprawdziłem w lustrze, czy wyglądam jak człowiek i poszedłem zobaczyć się z przyjacielem osobiście. Zadawał pytania i przyglądał mi się bardzo uważnie, były więc chyba jakieś ślady, których nie starło mydło, żyletka i spora doza lekarstwa na kaca. Ten przyjaciel nie siedział w biznesie, i – wiecie – to chyba dobrze. Te wiadomości jakoś szybko się rozchodzą. W środowisku. No tak. Gdyby siedział w biznesie wiedziałby, że „Arving Publishing" wydaje „Logan's" i pewnie zacząłby się zastanawiać, jaki to głupi pomysł przyszedł mi do głowy. Ale nie wiedział, więc zdołałem się wytłumaczyć, że mam zamiar zostać samodzielnym wydawcą, bo „Logan's" zlikwidował dział literatury.

– Zapytał, dlaczego nazwałeś firmę „Arvin Publishing?"

– Tak.

– I co mu powiedziałeś?

– Powiedziałem mu – redaktor nieznacznie się uśmiechnął – że Arvin to panieńskie nazwisko mojej matki.

Na chwilę zapadła cisza, po czym redaktor znów zaczął opowiadać i już niemal do końca nikt mu nie przerywał.

– No więc czekałem na czeki, a potrzebowałem dokładnie jednego. W tym czasie byłem raczej zajęty,

Moje biuro było piętro niżej. Zbiegłem po schodach, pogasiłem wszystkie światła i zabrałem teczkę. Na dół zjechałem windą, teczkę postawiłem między nogami i z całej siły zatykałem palcami uszy. Pamiętam też, że trzy czy cztery osoby zjeżdżające tą samą windą patrzyły na mnie raczej dziwnie. Redaktor roześmiał się sucho.

– Były przerażone. I nie ma się czemu dziwić. Każdy zamknięty w klatce z wariatem ma prawo się bać.

– Och, z pewnością nie było aż tak źle – powiedziała żona agenta.

– Dokładnie tak. Szaleństwo przecież gdzieś się musi zacząć. A ja, jeśli w ogóle opowiadam o c z y m ś – jeżeli zdarzenia z własnego życia można nazwać c z y m ś – to mówię o początkach szaleństwa. Ono musi się gdzieś zacząć i do czegoś doprowadzić. Jak droga. Albo wystrzelona z rewolweru kula...

Gdzieś się musiałem podziać, więc poszedłem do „Four Fathers", baru na Czterdziestej Dziewiątej. Pamiętam, że specjalnie wybrałem ten bar, bo nie było tam szafy grającej, kolorowego telewizora i jasnych świateł. Pamiętam, że zamawiałem drinka, pierwszego drinka, a później już nic. Obudziłem się w domu, we własnym łóżku. Na podłodze leżały zaschnięte rzygowiny, a w powłoczce wypalona była wielka dziura. Zalany w trupa uniknąłem najwyraźniej dość nieprzyjemnej śmierci: spalenia lub uduszenia w dymie. Ale i tak bym tego pewnie nie poczuł.

– O, jak rany! – powiedział agent prawie z szacunkiem.

– Przerwa w życiorysie. Po raz pierwszy miałem autentyczną, pełną przerwę w życiorysie. Nie zdarzają się zbyt często, bo po prostu nie ma na nie czasu. To początek zbliżającego się końca. A taki czy inny, ten koniec następuje szybko. Tylko, że każdy alkoholik powie wam, że przerwa w życiorysie w niczym nie przypomina omdlenia. Dla wszystkich byłoby lepiej, żeby przypominała, ale nie. Kiedy alkoholik ma przerwę w życiorysie – działa! Jest nawet cholernie pracowity! Jak jakiś oszalały fornit. Dzwoni do swojej byłej żony, żeby jej nawymyślać, wjeżdża pod prąd na autostradę i ładuje się na samochód pełen dzieciaków. Może rzucić pracę, obrabować sklep, zastawić obrączkę. Jest pracowity jak cholera.

Ja najwyraźniej zdecydowałem się wrócić do domu i napisać list. Ale nie do Rega. Do siebie. I to nie ja go pisałem – tak przynajmniej wynikało z listu.

– A kto? – zapytała żona pisarza.

– Bellis.

– A to co?

– Jego fornit – odpowiedział pisarz, który najwyraźniej błądził myślami gdzieś daleko i miał nieprzytomne, nieobecne spojrzenie.

– Właśnie – powiedział redaktor, który wcale nie wyglądał na zaskoczonego. Wyrecytował im ten list w słodkim, świeżym powietrzu nocy, podkreślając co ważniejsze fragmenty ruchem palca.

Pozdrowienia od Bellis. Przykro mi, że masz problemy, przyjacielu, lecz chciałbym ci od razu wytłumaczyć, że nie jesteś jedynym gościem z problemami. Mnie też nie jest łatwo. Mogę zasypać tę twoją przeklętą maszynę do pisania fornusem jak stąd do wieczności, ale przyciskanie KLAWISZY to chyba Twoje zajęcie. PO TO Bóg stworzył takich wielkich ludzi. Więc trochę Ci współczuję, ale nie licz na to, że tego współczucia będzie więcej.

Rozumiem, że martwisz się o Rega Thorpe'a. Ja się nie martwię o Rega Thorpe'a, ja się martwię o mojego brata Rackne. Thorpe martwi się, co z nim będzie, jak Rackne odejdzie, ale to dlatego, że jest samolubem. Przekleństwo służenia pisarzom polega na tym, że wszyscy są samolubami. Ja się martwię o to, co będzie z Rackne, jak Thorpe odejdzie. El bonzo seco. Ta myśl najwyraźniej nie raczyła się pojawić w jego jakże wrażliwym umyśle. Nasze szczęście polega na tym, że na krótką metę wszystkie problemy mają proste rozwiązania, więc wytężam moje wątłe ręce i krótkie ciałko, żeby ci je podać, mój ty drogi Pijaku. Ty możesz szukać rozwiązań długofalowych, ale zapewniam Cię, że coś takiego nie istnieje. Wszystko jest śmiertelne. Bierz, co jest Ci dane. Czasami znajdujesz węzeł na sznurze, ale każdy sznur ma swój koniec. Więc co? Błogosław węzeł i nie trać oddechu, by przeklinać upadek. Wdzięczne serca wiedzą, że i tak wszyscy w końcu spadniemy.

Sam musisz mu zapłacić za to opowiadanie. Tylko nie wysyłaj normalnego czeku! Thorpe ma poważne, być może nawet groźne kłopoty z głową, ale to wcale nie oznacza gupoty.

Redaktor przerwał i przeliterował: g-u-p-o-t-y.

W środę przyszedł list od Rega. Jedna strona, zapisana ręcznie. Znaczki *Fornit i Fornus*, gdzie się tylko dało. A w środku tylko tyle: *Miałeś rację. Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję. Reg. Fornit w porządku. Reg. Dzięki. Reg.*

– Boże! – powiedziała żona pisarza.

– Założę się, że jego żona dostała szału – dodała żona agenta.

– Nie dostała. Zadziałało.

– Zadziałało? – zdziwił się agent.

– Zadziałało. Dostał mój list w poniedziałek rano. Po południu kazał sobie wyłączyć prąd. Jane Thorpe dostała oczywiście histerii. Miała elektryczną kuchenkę. Miała wirówkę, maszynę do szycia, maszynę do zmywania z suszarką... no, rozumiecie. Tego wieczora z pewnością by się ucieszyła, gdyby ktoś jej podał moją głowę na tacy.

To zachowanie Rega sprawiło, że zaczęła mnie uważać za cudotwórcę, a nie szaleńca. Posadził ją na fotelu i mówił całkowicie rozumnie. Twierdził, że wie, że się dziwnie zachowywał. Że wie, że się o niego bała. Że bez elektryczności czuje się znacznie lepiej. Że teraz jej pomoże, żeby się nie męczyła i nie czuła niewygód. A później dodał, że chyba powinni pójść do sąsiadów i powiedzieć im: „Cześć!"

– Chyba nie do tych agentów KGB z półciężarówką wyładowaną radem? – zdziwił się pisarz.

– Właśnie do nich. Jane nie wierzyła własnym uszom! Zgodziła się w końcu, ale mówiła mi później, że była gotowa na najgorsze. Oskarżenia, groźby, histeria. Zaczęła nawet rozważać możliwość odejścia od Rega, jeśli nie zdecydowałby się na przyjęcie pomocy. Wtedy, w środę rano, mówiła mi, że odcięcie elektryczności to była ostatnia kropla. Jeszcze coś, a wróci do Nowego Jorku. Wiecie, po prostu zaczęła się bać. To wszystko pogarszało się stopniowo, prawie niedostrzegalnie, ale ona ciągle go kochała. Tyle że dla niej był to już kres możliwości. Postanowiła, że jeśli Reg chociaż raz powie studentom z sąsiedztwa coś dziwnego, to się wyprowadza. Dużo później odkryłem, że bardzo ostrożnie rozpytywała się, jak załatwić przymusowe leczenie w Nebrasce.

– Biedna kobieta – powiedziała cicho żona pisarza.

– Ten wieczór to był wielki sukces – mówił dalej wydawca. – Reg wypadł wspaniale, a według Jane, miał wiele wdzięku, jeśli chciał. Takim nie widziała go od trzech lat. Posępność i coś w rodzaju skrytości znikły, jakby nigdy nie istniały. Tak samo nerwowy tik i to zerknięcie przez ramię, gdy ktoś otwierał drzwi. Popijał piwo i rozmawiał o wszystkim, o czym mówiło się w tamtych ponurych czasach: o wojnie, o możliwości stworzenia ochotniczej armii, o rozruchach w miastach, o prawie.

Wyszło na jaw, że napisał „Postacie z podziemia" i ci młodzi ludzie byli... „oszołomieni autorem", jak to powiedziała Jane. Troje czy czworo z nich już to czytało i nie założyłbym się o to, że pozostali nie pobiegli zaraz do biblioteki.

Pisarz roześmiał się i kiwnął głową. O tym już coś wiedział.

– Więc – mówił dalej redaktor – zostawmy na razie Rega Thorpe i jego żonę bez elektryczności, lecz szczęśliwszych niż przez kilka ostatnich lat...

– Dobrze, że nie miał elektrycznej maszyny do pisania – wtrącił się agent.

– ... i powróćmy do Pana Redaktora. Minęły dwa tygodnie. Lato się kończyło. Pan Redaktor, oczywiście, popijał sobie od czasu do czasu, lecz tak w ogóle był całkiem w porządku. Dni mijały tak, jak mijać miały. Na Przylądku Kennedy'ego przygotowywali się do wysłania człowieka na Księżyc. Nowe wydanie „Logan's" leżało na półkach i sprzedawało się tak samo kiepsko jak poprzednie. Złożyłem zamówienie na zakup praw do druku. Opowiadanie: „Ballada o celnym strzale". Autor: „Reg Thorpe". Pierwodruk. Wydanie: styczeń 1970, cena: 800 dolarów, tyle zwykle płaciliśmy za opowiadanie wiodące.

Aż tu nagle wezwał mnie mój szef, Jim Dohegan. Czy mógłbym wpaść do niego na minutkę? Pobiegłem truchcikiem i zgłosiłem się przed dziesiątą, wyglądając i czując się wspaniale. Dopiero później dotarło do mnie, że sekretarka Jima, Janey Morrison, wyglądała jak pierwsza sztormowa fala.

Usiadłem i zapytałem Jima, co mogę dla niego zrobić lub vice versa. Nie twierdzę, że nie myślałem o Regu Thorpe. Mając w garści coś tak znakomitego spodziewałem się czegoś w rodzaju gratulacji. Toteż możecie sobie wyobrazić jak zgłupiałem, kiedy podał mi dwa zamówienia: na opowiadanie Rega Thorpe'a i Johna Updike'a, które planowałem na luty. Na obu przystemplowano: Zwrot.

Popatrzyłem na zamówienie. Popatrzyłem na Jima. Nic nie pojmowałem. Nie mogłem zmusić się,

żeby pomyśleć, co to ma do cholery znaczyć! Coś mi się w głowie zablokowało. Rozejrzałem się po gabinecie i zobaczyłem w kącie małą, elektryczną kuchenkę, którą Jane przynosiła codziennie rano i włączała do kontaktu, żeby jej szef miał zawsze świeżą kawę. Tak było w redakcji już od trzech lat, ale tego ranka mogłem myśleć tylko o jednym: „Gdybym mógł to wyłączyć, wiedziałbym, co jest grane. Wiem, że gdyby to wyłączyć, mógłbym myśleć".

Powiedziałem: „A to co, Jim?"

– Cholernie mi przykro, że to właśnie ja muszę ci o tym powiedzieć, Henry. Od stycznia 1970 „Logan's" nie będzie już publikował literatury.

Redaktor sięgnął po papierosa, ale jego paczka była pusta.

– Czy ktoś może mnie poczęstować papierosem?

Żona pisarza dała mu Salema.

– Dziękuję, Meg.

Zapalił go, wyrzucił zapałkę i zaciągnął się głęboko. W ciemności rozbłysnął wesoły, czerwony ognik.

– Cóż, jestem pewien, że Jim pomyślał, że oszalałem. Powiedziałem: „Można?" i wyłączyłem kuchenkę z kontaktu. Pamiętam, jak opadła mu szczęka.

– Co u diabła, Henry? – zapytał.

– Nie umiem myśleć, kiedy coś takiego się tu dzieje, Jim – powiedziałem. – Interferencja. – I chyba rzeczywiście w to wierzyłem, bo naraz zacząłem myśleć zupełnie jasno.

– Czy to znaczy, że mnie wywalasz?

– Nie wiem, to zależy od Sama i kolegium. Po prostu nie wiem, Henry.

Ja tam miałem mu wiele do powiedzenia. Myślę, że Jim spodziewał się, że będę go błagał o pracę. Znacie to powiedzenie: „Wystawiony tyłkiem do wiatru"? Jestem pewien, że nie zrozumie go nikt, kto nie stał się nagle szefem nie istniejącego działu.

Ale ja nie błagałem go o pracę i o to, żeby „Logan's" dalej publikował opowiadania. Błagałem go za to o Rega Thorpe'a. Najpierw powiedziałem, że mogę go przesunąć na grudzień.

– Numer grudniowy jest zamknięty. Przecież o tym wiesz. A my tu mamy dziesięć tysięcy słów.

– Dziewięć tysięcy osiemset.

– I ilustrację na całą kolumnę. Daj spokój.

– To wywalimy artystę – prosiłem. – Słuchaj, Jimmy, to świetne opowiadanie, może najlepsze, jakie się nam trafiło przez pięć lat.

– Czytałem je i wiem, że jest dobre. Ale tego nie możemy zrobić. Nie w grudniu. To przecież Boże Narodzenie. Do cholery, Henry, chcesz dać czytelnikom pod choinkę opowiadanie o facecie, który zabija żonę i dziecko? Chyba... Tu właśnie przerwał i widziałem, jak zerknął na kuchenkę. Wiecie, równie dobrze mógł skończyć głośno.

Pisarz wolno skinął głową nie spuszczając wzroku z cieni na twarzy redaktora.

– Zaczęła mnie boleć głowa. Na początku słabiutko, tyle, że znów nie mogłem myśleć. Przypomniałem sobie, że Janey Morrison ma na biurku elektryczną temperówkę. I te lampy w gabinecie Jima. Piecyki. Automaty w korytarzu. Jakby tak się nad tym zastanowić, cały budynek trzymał się tylko dzięki elektryczności. Dziwne, że ktokolwiek może tu cokolwiek zrobić. To wtedy pojawiła się ta myśl, myśl o tym, że nic dziwnego, że „Logan's" pada, bo przecież nikt nie może tu trzeźwo myśleć. A nie może trzeźwo myśleć, bo go wpakowano do wielkiego budynku naładowanego kablami, kompletnie zakłócającymi przebieg fal mózgowych. Pamiętam, że myślałem, że gdyby pojawił się tu doktor z maszyną do EEG, to wykresy byłyby, no tak, wstrętne. Pełne tych spiczastych linii alfa oznaczających złośliwego raka mózgu.

Już samo zastanawianie się nad tym spowodowało, że głowa zaczęła mnie boleć jeszcze bardziej. Ale próbowałem dalej. Zapytałem, czy nie mógłbym pogadać z Samem Vaderem, naszym naczelnym, żeby puścił Rega Thorpe'a do numeru styczniowego, jako pożegnanie z literaturą, jeżeli inaczej się nie da. Jako ostatnie opowiadanie w „Logan's".

Jim bawił się ołówkiem i kiwał głową. Powiedział: „Powiem mu o tym, ale wiesz, że to nie zadziała. Mamy tu opowiadanie pisarza z jednym hitem na koncie i mamy opowiadanie Johna Updike'a, które jest równie dobre, a może nawet i lepsze".

– Opowiadanie Updike'a nie jest lepsze!

– No, dobrze. Jezu, Henry, nie musisz przecież krzyczeć...

– Nie krzyczę! – wrzasnąłem.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, a głowa bolała mnie coraz bardziej. Słyszałem jarzeniówki brzęczące jak muchy złapane w butelkę – obrzydliwy dźwięk. Wydało mi się, że słyszę, jak Jane włącza temperówkę. „Oni to robią specjalnie" – pomyślałem. „Chcą mnie ogłupić. Oni wiedzą, że nie wiem, co powiedzieć, kiedy ta... kiedy to wszystko..."

Jim mówił coś jeszcze o poruszeniu tych spraw na kolegium, że będzie sugerował, żeby nie przerywać drukowania opowiadań nagle, tylko wykorzystać te, które już zaplanowałem, chociaż...

Wstałem, przeszedłem przez pokój i wyłączyłem światło.

– Po co to robisz? – zapytał Jim.

– Już ty dobrze wiesz, po co – odpowiedziałem. – Powinieneś wynieść się stąd, Jimmy, inaczej nic z ciebie nie zostanie.

Wstał i podszedł do mnie.

– A ty powinieneś chyba wziąć sobie wolny dzień i odpocząć, Henry. Idź do domu, wypocznij. Wiem, że ostatnio żyłeś w napięciu. Chcę, żebyś wiedział, że zrobię z tym, co tylko będę mógł. Czuję tak samo jak ty... no, może prawie tak samo. A ty powinieneś pójść do domu, położyć się, pooglądać telewizję.

– Telewizję – powiedziałem i roześmiałem się. To był najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek słyszałem. Jimmy, powiedz coś ode mnie Samowi Vaderowi, dobra?

– Co takiego, Henry?

– Powiedz mu, że potrzebuję fornita. Całą drużynę. Fornita? Dwunastu fornitów.

– Fornity – powtórzył Jim. – W porządku, Henry. Powiem mu. Z całą pewnością mu powiem.

Ból głowy był już aż nie do zniesienia. Prawie nic nie widziałem. Gdzieś tam, w kąciku, rodziła się myśl: „Co ja powiem Regowi? Jak on to przyjmie?"

Sam złożę zamówienie, tylko jeszcze nie wiem, do kogo. Może Reg będzie miał jakiś pomysł? Dwanaście fornitów. Niech zasypią fornusem całą tę pieprzoną redakcję! Każdy kąt!

Chodziłem naokoło gabinetu, a Jim gapił się na mnie z otwartymi ustami.

– Wyłącz wszystko, Jimmy. Powiedz mu to. Wszystko wyłączyć! Nikt nie może myśleć przy tych wszystkich elektrycznych interferencjach, prawda?

– Prawda, Henry. Na sto procent. Po prostu idź do domu i odpocznij. Prześpij się, albo coś.

– I fornity też. One nie lubią tych interferencji. Rad, elektryczność. Wszystko jedno. Daj im kiełbasy. Masła orzechowego. Czy możemy zgłosić na to zapotrzebowanie?

Straszny ból głowy, jak czarna kula, siedział mi w głębi czaszki, za oczyma. Widziałem wszystko podwójnie i nagle poczułem, że jeśli się nie napiję... Że po prostu muszę się napić. Jeżeli na świecie nie ma fornusu, a jakaś racjonalna część mnie samego tłumaczyła mi, że z pewnością nie ma, to szklaneczka była jedyną na świecie rzeczą zdolną postawić mnie na nogi.

– Oczywiście, złożymy zamówienie – powtarzał Jimmy.

– Ty w to nie wierzysz, prawda?

– Oczywiście. Wierzę. Wszystko jest w porządku. Tylko musisz pójść do domu, Henry. Po prostu trochę odpocząć.

– Nie wierzysz mi teraz, ale uwierzysz, kiedy ta szmata zbankrutuje. Na Boga, jak możesz podjąć jakąkolwiek trafną decyzję, jeśli siedzisz dziesięć metrów od tych cholernych maszyn! Z Colą, słodyczami i kanapkami!

Tu nagle naszła mnie straszna myśl.

– I kuchenka mikrofalowa! – wrzasnąłem. – Przecież oni podgrzewają sandwicze kuchenką mikrofalową!

Zaczął coś mówić, ale nie zwracałem na niego uwagi. Uciekłem. Kuchenka mikrofalowa wszystko mi wyjaśniła. Musiałem uciec. Właśnie przez nią miałem ten straszny ból głowy. Pamiętam, że widziałem Janey, Kate Younger z reklamy i Mert Strong od łączności z czytelnikami, jak stały i gapiły się na mnie. Musiały usłyszeć wrzaski.

STEPHEN KING

Wstęga zostaje przecięta bez przemówień, bez reklamy i rozgłosu. Wchodzimy do galerii Stephena Kinga. Jest to galeria duża, bogata i malownicza, można w niej spotkać wampiry i wszystkie niemal potwory, których baliśmy się w dzieciństwie. Dziś poznamy pierwszą z kolekcji bestii, których istnienie fascynuje tego niezwykłego pod wieloma względami pisarza. Na imię jej: szaleniec.

Luksusowy wehikuł strachu

Krzysztof Sokołowski

King jest bez wątpienia królem horroru. I to tego horroru, który często pisze się przez duże „H". W jego popularności, mierzonej liczbą kupionych egzemplarzy książek (a nie zmiennymi gustami krytyków) jest coś z fenomenu i coś ze swoistej perwersji. Fenomenu: bowiem okazało się, że możliwa jest literacka penetracja uczucia, które dzielą profesorowie i śmieciarze, studenci i emeryci, niepracujące żony (kategoria społeczna powszechna i wpływowa w Ameryce, a prawie nieznana w Polsce) i ich bardzo zajęci zarabianiem na życie mężowie. Perwersji: bowiem tym uczuciem jest STRACH.

Zaś strach pozostaje emocją prawie nieznaną – to znaczy, nieopisaną. Jest uczuciem wstydliwym. Każdy z nas zna strach i każdy się przed nim broni, nikt jednak nie lubi i nie chce o nim mówić. Podobno to właśnie zdolność uświadomienia sobie nieuniknioności odczuwania strachu i bezradne próby bronienia się przed nim odróżniają człowieka od zwierzęcia. Podobno to człowiek jest „par excellence zwierzęciem odczuwającym strach", jeśli tak – horrory Kinga, zupełnie niezależnie od tego, czy nam się podobają, mają pewne odległe od literatury walory poznawcze. Mogą nam (tak!) pomóc uświadomić sobie, dlaczego strach jest... ludzki.

*

To ostatnie twierdzenie wymaga daleko idących wyjaśnień. Przecież zwierzęta (wydaje się, że nawet przede wszystkim zwierzęta) boją się i strach (oraz sen) wypełnia całe ich życie. Strach (i ból) są czynnikami wspomagającymi i umożliwiającymi przetrwanie każdego gatunku. Każdy, kto kiedykolwiek uważnie obserwował zachowanie swego wiernego kundla mógł jednak zauważyć, że strach zwierzęcy jest instynktowną reakcją na pojedynczy bodziec lub fakt: pies rzuci się na pijaka, bo jego niepewny chód uważa za sygnał zagrożenia, na innego psa, bo tak nakazuje mu instynkt przewodnictwa w nie istniejącym stadzie, nawet na pędzący samochód, bo coś, co przed nim ucieka, najwyraźniej ma do tego jakiś powód. Każdy kolejny pijak, kundel i mały fiat przeraża, więc budzi agresję. We własnym interesie psiaka próbujemy go tego oduczyć, budząc w nim inny, większy i bardziej bezpośredni strach – przed biciem. Budujemy hierarchię strachu ucząc najlepszego z przyjaciół człowieka zasad wzajemnego współżycia.

Człowiek jest myślącym zwierzęciem, a więc zna instynktowny strach przed nieznanym (i strach przed bólem). To, że myśli, sprawia jednak, że boi się inaczej. Myślenie jest nieoddzielne od zdolności przewidywania i od wyobraźni, a jedno i drugie budzi w człowieku strach, który jest właściwy tylko jemu, strach związany z procesem myślenia, a więc niejako „racjonalny". On właśnie jest bohaterem twórczości Kinga.

*

Zacznijmy od wyobraźni, ponieważ jest ona właściwa człowiekowi jako jednostce, a więc stosunkowo łatwa do opisania. Wydaje się, że można obciążyć ją winą za pewną część typowo ludzkiego strachu. To wyobraźnia przecież każe nam domyślać się, że kiedy nas nie ma (najprościej: kiedy śpimy) świat porusza się dalej, a więc, że na świecie istnieje także coś niezależnego od nas. Zgodnie z własnym wyznaniem, w którego szczerość nie ma powodu powątpiewać, sam King nie potrafił zasnąć z odkrytymi nogami ze strachu, że w ciemnym pokoju COŚ wypełznie spod łóżka i chwyci go za kostkę. „Gdy rozum śpi, budzą się upiory". Duchy i wampiry żyją nocą, właśnie wtedy, gdy rozum śpi, a gdy nas „nie ma", świat może się zmienić, może być inny – a więc groźny. Źródło strachu zawdzięczamy temu, że potrafimy myśleć, jego mechanizm jest jednak biologiczny i zwierzęcy, upiory są groźne, bo nieznane. Mitologie, ludowe legendy, baśnie próbowały racjonalizować ten strach, stwarzając zaludniające niesamowity krajobraz nocy stworzenia przyjazne, nieszkodliwe lub przynajmniej obojętne. Odniosły tylko nieznaczny sukces. Gdybyśmy o północy spotkali krasnala, który przyszedł tylko po to, żeby nam posprzątać dom i tak moglibyśmy umrzeć na atak serca. Z pewnością nie potrafilibyśmy powiedzieć mu: „Cześć, może ci potrzymać śmietniczkę".

Wyobraźnia jest jednocześnie darem i przekleństwem. Większości ludzi umożliwia spokojne oczekiwanie następnego dnia tłumacząc im, że tym razem wszystko już będzie dobrze: nie spóźnisz się do pracy, nie pokłócisz z żoną, mężem lub dorastającym synem, skądś znajdą się jakieś pieniądze. „Nowy dzień, nowy dolar" – mówią Amerykanie. Świat może przecież w końcu stać się lepszy, a większość z nas lubi sobie wyobrażać, że wie, co to znaczy „lepszy". Wyobraźnia jest też przekleństwem – bowiem stawia i ponawia nieustannie jedno pytanie, na które nigdy nie potrafimy udzielić odpowiedzi: co się ze mną stanie, kiedy mnie nie będzie? Nie jest to tylko proste pytania o sen. Jest to także pytanie o śmierć.

Zdolność przewidywania przyszłości ma u dwudziestowiecznego człowieka charakter społeczny. Pies czy chętniej opisywany pawian są również stworzeniami żyjącymi w hierarchicznie ukształtowanej grupie, zachowania człowieka nie reguluje jednak instynktowny egoizm psa czy pawiana. Zwierzę pragnie przewodzić i jest to pragnienie instynktowne – przewodzenie w stadzie nie „ułatwia życia", lecz umożliwia pełniejsze zaspokojenie instynktów (choćby przez bezpośredni dostęp do samic gatunku). Człowiek pragnie po prostu przeżyć i próbuje działać racjonalnie po to, by zwiększyć szanse przeżycia. Ruchy pokojowe, partie zielonych i obrońców środowiska kształtowane są przez ludzi, którzy „boją się za każdego z nas". I ze strachu próbują zrobić coś konstruktywnego, choć najczęściej nie wiedzą, co.

Życie w strachu jest więc „kondycją ludzką". Strach towarzyszy nam od narodzin do śmierci. Racjonalizujemy swój strach: jednostkowy (astrologia podpowiada nam, że to, że się w ogóle urodziliśmy, nie jest żadnym tam przypadkiem) i społeczny (likwidacja broni i AIDS może być zapewne tymczasowym, ale na krótką metę skutecznym panaceum na strach). Tam, gdzie krzyżuje się strach świadomy i nieświadomy, jednostkowy i społeczny, racjonalny i biologiczny (zwierzęcy) wchodzi HORROR. Opisuje część naszych strachów, wyolbrzymionych i przypisanych fikcyjnym postaciom. Daje nam chwilę wytchnienia, jest ucieczką i katharsis. King nie robi z tego tajemnicy. Wie, że jego pisarstwo jest eskapistyczne (zapominamy o własnym strachu poznając strach innych) i katarktyczne w tym przynajmniej sensie, że chociaż nie przestajemy się bać, możemy uświadomić sobie, czego najbardziej się boimy.

*

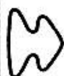
Szaleniec Kinga to właśnie człowiek, w którym strach zabija wszystkie inne uczucia. „Ballada o celnym strzale", przyczyna wszystkich poprzednich rozważań, może być oceniana różnie jako dzieło literackie (do tego zagadnienia przyjdzie nam jeszcze wrócić), jako swego rodzaju „esej" o formach odczuwania strachu jest bliska doskonałości.

Skąd ta nieoczekiwana pochwała? Być może stąd, że jedną z podziwu godnych cech mężczyzny imieniem Stephen King jest umiejętność niejako instynktownego zrozumienia strachu, który odczuwa człowiek jako istota społeczna. Jeżeli mam pewne wątpliwości co do tego, czy popularność Kinga dałaby się przeszczepić na polski grunt, to wynikają one przede wszystkim z tego, że społeczeństwo, w którym dostają obłędu jego bohaterowie różni się w pewnych nieznacznych szczegółach od społeczeństwa, do którego jesteśmy przyzwyczajeni.

By móc to lepiej wyjaśnić, przyjrzyjmy się poznanemu niedawno wariatowi imieniem Henry Wilson. Zawód – redaktor. Miejsce zamieszkania – Nowy Jork. O tych dwóch faktach nie wolno nam zapomnieć.

Redaktor Henry Wilson mieszka w Nowym Jorku wcale nie przypadkowo. Środowisko, w którym się porusza jest środowiskiem całkowicie sztucznym: to mury, samochody, neony, biurowce powodują, że dostaje obłędu. Początki alkoholizmu i „genialne" opowiadanie, którego nie może opublikować, są tylko katalizatorami przyspieszającymi reakcję. Henry Wilson żyje w środowisku, które jest jednocześnie nieludzkie i doskonałe. Funkcjonuje ono praktycznie rzecz biorąc bezbłędnie: światła zawsze świecą, windy nigdy się nie psują, w kuchniach stoją mikrofalowe kuchenki, z sufitów patrzą „niesamowitym, purpurowym okiem" wykrywacze dymu. Ramą ludzkiej egzystencji wydaje się jakieś inne istnienie, celowe i nieludzkie. Co sprawia, że pralka zawsze pierze, że magnetofon gra; światło świeci, z kranu leci ciepła woda? SKĄD się wzięła i jaka jest ta tajemnicza siła, która sprawia, że wszystko wygląda właśnie tak, jak wygląda, że dzieje się właśnie tak, jak ma się dziać?

Henry Wilson znajduje na to odpowiedź. Winna jest elektryczność. I to swego rodzaju PRAWDA, większość cudów, które istnieją wokół niego i które mają mu ułatwić życie działa dzięki elektryczności. Elektryczność istnieje wokół pana Wilsona zarówno wtedy, kiedy wiedzie mu się





dobrze, jak i wtedy, kiedy wiedzie mu się źle. Świat cywilizacyjnych cudów, o który my zaledwie się ocieramy, jest już dla niego światem samym w sobie. Jest światem bezbłędnym, strasznym właśnie dzięki swej bezbłędności, obcym. Jeśli wszystko d z i a ł a, celowo i doskonale, to za tym działaniem coś się musi kryć, musi powodować je jakaś sprawcza siła. Elektryczność staje się tą siłą.

To prawda, świat cywilizacyjnych cudów jest tak obcy i obojętny, że niektórzy – i prawie do końca sam Henry Wilson – po prostu go nie zauważają. Przywykli do niego, widać nie budzi strachu... Dopóki wszystko w naszym świecie dzieje się mniej lub bardziej normalnie, dopóki stosunki między dwoma światami nie zmieniają się, są takie, do jakich przywykliśmy. Cóż jednak robi człowiek słaby, podatny, o podwyższonej wrażliwości, jeśli mu się coś nie uda, jeśli rzuci go żona, jeśli straci pracę i będzie musiał zawieść kogoś, kogo uważa za przyjaciela potrzebującego pomocy?

Szuka winnego. I zawsze go znajduje. Jeśli wokół wszyscy mają równe szanse, a niektórym się powiodło, jeśli nie można się przyznać, że jest się gorszym, głupszym i pechowym (a każdemu, zwłaszcza Amerykaninowi, ciężko się do tego przyznawać) winna może być na przykład ELEKTRYCZNOŚĆ. Tak, ale elektryczność to pojęcie abstrakcyjne – trzeba zwrócić uwagę i na to, że przedmioty codziennego użytku, telewizor, kuchenka lub maszynka do golenia, raz „wyłączone”, przestają już straszyć redaktora Wilsona. Symbolem jego szaleństwa jest kuchenka mikrofalowa i wykrywacz dymu, przedmioty, które u progu lat siedemdziesiątych były w USA taką nowością, jaką dziś byłyby u nas. Pan Wilson wariuje bojąc się w gruncie rzeczy... cywilizacji.

A może raczej ruchu cywilizacji, który nazywamy postępem i który stawia nas wobec coraz to innego nieznanego? Rzecz charakterystyczna – po jakże konwencjonalnych zabiegach bohater Kinga wsiada do samochodu, zapala ŚWIATŁA, włącza RADIO i rusza w drogę. Samochód jest mu tak dobrze znany, że nie należy do strasznego, obcego świata. Człowiek kontroluje samochód i włada nim, mniej więcej pojmuje, jakim cudem TO jedzie, a poza tym samochód lubi się psuć pod każdą szerokością geograficzną i dzięki temu jest zrozumiały.

Nikt z nas nie mógłby zwariować tak, jak Henry Wilson. U nas psują się pralki i kuchenki, od czasu do czasu napięcie w sieci spada tak, że telewizor przestaje działać sam z siebie, brak ciepłej wody, benzyny i nikt nie oglądał kuchenek mikrofalowych (chyba, że na dalekich wakacjach). Otaczający nas świat techniki n i e jest straszny, ponieważ j e s t zawodny. Znamy inne, bardziej „bezpośrednie” lęki, strach cywilizacyjny jest nam jednak całkowicie obcy.

★

Wydaje się, że szaleństwo Rega Thorpe łatwiej przyszłoby nam zrozumieć. Jeśli był on tak genialny, jak o tym zapewnia King, ma niejako z definicji prawo każdego wybitnego człowieka do lekkiego świra. Jako pisarz ma także prawo do skoncentrowania tego „świra” na maszynie do pisania (diabeł malarza mieszkałby zapewne w tubie farby lub pudełku na pędzle). Pisarz ma prawo wymyślić sobie „elfa”. Nie ma natomiast prawa do strzelania z rewolweru do dzieci.

Postać Rega Thorpe nie jest tak konsekwentna jak narratora – Henry Wilsona. Thorpe przegrywa próbując nadążyć za swym sukcesem, a raczej bojąc się, że za nim nie nadąży. Ten strach twórcy wynikający z konieczności natychmiastowego wykorzystania własnego sukcesu, jest dla nas obcy. Jeżeli interesujemy się Thorpem, to częściowo z wyraźnie podanej przez autora sugestii, że jego zachowanie jest „wzorcowe” i każdy twórca, który odniósł sukces rynkowy, prędzej czy później źle skończy. Słuchamy opowieści, a kątem oka patrzymy na „młodego pisarza”, w którym domyślamy się portretu Kinga i czekamy, kiedy rzuci się na swą „młodą żonę”. Nic takiego oczywiście nie następuje, ale to nasze oczekiwanie wykracza nawet poza ramy opowiadania. „Zamknęli drzwi przed otaczającą ich nocą”... zapewne zgasili też światło i noc (cokolwiek słowo to znaczy) w końcu ogarnęła ich miękką falą... CDN.

Thorpe pozostaje jednak postacią nieukształtowaną. King prosi nas o to, byśmy uwierzyli, że jest kolejnym wcieleniem mitu szalonego artysty. Można uwierzyć, można nie... i tylko on sam mógłby nam w tym pomóc.

★

„Ballada o celnym strzale”, z pewnością jeden z najbardziej przejmujących utworów Kinga, jest jednak dzieckiem niekonsekwentnym. Czujemy się straszeni z kilku różnych stron, co powoduje niekorzystne rozproszenie uwagi. Obserwujemy strach Wilsona przed cywilizacją, Thorpe'a przed uwarunkowaniami kulturowymi, w które wpisał się „Postaciami z podziemia”, Jane Thorpe przed szaleństwem męża – zabrakło siły, która mogłaby stworzyć z tego jedną, spójną całość. Narrator się zmienia: najważniejszy fragment historii jest relacją Jane Thorpe, którą cytuje redaktor. Opowiadanie jest niejednorodne nawet stylistycznie: spokojna narracja redaktora przechodzi w histeryczny i niezbyt udany „monolog wewnętrzny”, a przecież skierowany do publiczności. Pytania, którymi przerywana jest opowieść, nie charakteryzują osób, nazwanych od ról, których nie udało im się odegrać. Zbyt wiele podane jest w nim „na wiarę”. Gdybym był redaktorem, skróciłbym „Balladę o celnym strzale” o jakieś dwieście słów, przede wszystkim o ten fragment, w którym streszczone jest opowiadanie Thorpe'a i ten, w którym redaktor mówi, że utonęło w jego samochodzie i znikło bez śladu. Kazałbym czytelnikowi wierzyć, że t o, c o c z y t a, jest tym, przy czym wariował pisarz... odrobina jakże przydatnej w literaturze sofistyki.

★

Dobrych rad potrafi udzielić każdy. „Ballada o celnym strzale” taka, jaka jest, wywiera spore wrażenie. Odbija także i nasze lęki, choć nie wszystkie. Jest wehikułem strachu zbyt luksusowym, byśmy mieli go brać najzupełniej poważnie. Jako czytelnicy jesteśmy z góry postawieni w niekorzystnej sytuacji niczym Philip Marlowe, który patrząc na Rolls Royce'a pomyślał: *Chyba ktoś dla kawału zmontował taką gablotę*. No, ale przynajmniej wiemy, że Rolls Royce'y istnieją i jak (mniej więcej) wyglądają. Jako typowy przykład *paperbackwritera* King nie stara się także być zbyt eleganckim, wolno więc mieć nadzieję, że i my znajdziemy w jego opowiadaniu coś najzupełniej zrozumiałego. Być może nie wszyscy weźmiemy je poważnie, może nie u wszystkich czytelników zwykły horror wzbudzi ochotę do egzystencjalnych przemyśleń, ale wszyscy będziemy umieli w każdym razie ocenić narracyjne zdolności tego pisarza. To one są przecież odpowiedzialne za miliony egzemplarzy jego książek krążących wśród czytelników z całego świata, te zdolności on sam także ceni najwyżej.

To prawda, pisząc o sobie lubi wspominać Faulknera i Dostojewskiego, ale tę odrobinę jakże zrozumiałej próżności możemy mu wybaczyć za to, że nas straszył i bawił. Jako twórca na masowy rynek osiągnął wszystko, co mógł osiągnąć i jeśli teraz zdecyduje się na stworzenie arcydzieła, nie grozi mu już poddasze i głód zimą. Inna rzecz, czy talent dopisze. Kto wie? Pod pseudonimem Richard Bachman zdołał King wydać te książki, których mu kiedyś nie przyjęto do druku. W jednej z recenzji napisano o nich: *Tak mógłby pisać Stephen King, gdyby w ogóle umiał pisać*. Może więc ma on rzeczywiście do zaoferowania coś więcej niż tylko walory fabuły?

Krzysztof Sokołowski

Shorty!!!

Po raz piąty proponuję Państwu zestaw rodzimej fantastycznej short story. Nazwa ta przyjęła się w Polsce, chociaż Anglosasi takie krótkie opowiadanka nazywają short short story. My dysponujemy własnym określeniem, brzmiącym bardziej swojsko i trafnie – m i n i a t u r a l i t e r a c k a – ale nazwy angielskie publiczność polska traktuje poważniej.

Fragment portretu nie istniejącego świata, żart słowny bądź sytuacyjny, opowiadanie skondensowane do jednej sceny, do puenty, fantastyczny pomysł, który tylko by stracił gdyby rozwodzić się nad nim dłużej, paradoks, gra słów, poetycka scenka... oto żywioł short story. Jest to forma-ćwiczenie, forma-eksperyment, coś w rodzaju literackiego aforyzmu.

Jak wynika z listów Państwa, zestawy krótkich opowiadań cieszą się umiarkowanym powodzeniem. Większość Czytelników „Fantastyki” woli wciągające bez reszty opowiadania awanturnicze, pozwalające zapomieć o świecie, w którym żyjemy. Short story nie sprzyja takim transom. Czytamy miniaturkę kilkanaście sekund zaledwie. Czasem minutę.

Co dostajemy w zamian? Szybki efekt, krótką przyjemność podobną do olśnienia. Ale nie tylko. Smakowanie short story polega także na podglądaniu JAK, a nie tylko CO zostało w opowiadaniu pokazane, zrobione. Short story dając krótką satysfakcję intelektualną, skupia także uwagę na formie. Jest jak pięknie i wymyślnie oszlifowany – nie diament, nie szafir, lecz kryształ górski.

Nie wszyscy lubią short story, tak jak nie wszyscy lubią buraczki. To rzecz gustu. Ale mogą być oczywiście buraczki DOBRZE i ŹLE przyrządzone.

Short story nie jest formą łatwą. Wymaga autentycznej pomysłowości, bowiem sprowadza się właściwie do zrelacjonowania pomysłu. I wymaga zręcznego pióra. Niezbędny jest tu także dar kondensacji i oryginalne, szalone, nawet wariackie, spojrzenie na świat.

Short story mogłaby być zabawą, ćwiczeniem dla mistrzów pióra. W Polsce bawią się w nią często debiutanci. Do „Fantastyki” w ciągu tygodnia przychodzi kilka miniatur. Wybieram z tego najwyżej dwa tekściki na miesiąc i po roku, po dwu proponuję kolejny zestaw, wiedząc z góry, że nie wszystko się Państwu spodoba.

Mnie też nie wszystkie rzeczy podobają się tak samo.

Ale short story jest formą niewinną. Nie zajmuje wiele miejsca. Nie rujnuje redakcji, nie przynosi autorom majątku. Nie męczy czytelników... Publikując shorty mogę przedstawić kilkunastu autorów w jednym numerze. I w ten sposób skracam trochę kolejkę czekających na druk w „Fantastyce”.

Dotychczas w numerach 9/24/84; 12/39/85; 9/48/86 prezentowałem zestawy kilkunastu opowiadań kilku autorów i raz, w numerze 4/55/87 szalone opowiadanka Hotlyss-Hotlanda (pseudonim młodego autora z Katowic).

W bieżącym numerze obok kilku nazwisk już prezentowanych w naszym piśmie, jak Boryczko, Kraskowski (obaj laureaci Pierwszego Konkursu „Fantastyki”), a także Beszczyńska, Taborska, znajdziecie Państwo autorów debiutujących, bądź znanych z innych łamów, lecz w „Fantastyce” publikujących po raz pierwszy.

(mp)

SHORT STORIES po polsku


Ilustrował Tomasz Żakrzewski

Historia pouczająca

Barbara Mineyko

Weszły do ogródka przez dziurę w płocie i powiedziały:

– My jesteśmy Skunwiszony, mamy tu pozostać.

– No trudno – mówię – ale dlaczego was aż trzech?

– Bo my musimy kolegialnie – mówią – na jeden ogródek ma być po trzech.

– No trudno. Tylko mi nie przeszkadzajcie.

A one mówią:

– My mamy właśnie pomagać.

Co się stało dalej opowiem, żeby w razie czego nie przeceniać kłopotów wynikłych z konieczności istnienia Skunwiszonów.

Pewnego razu wysyłam do Zarządu Ogródków plan grządki z pietruszką. Plan wypisany wyraźnie przewidywał 10 rządków pietruszki na mojej grządce. Słonko grzeje, zabieram się właśnie do siania pietruszki, aż tu telefon z Zarządu!

– Dziękujemy obywatelce za wspaniały plan siania pietruszki w 100 rządkach na jednej grządce.

– Matko święta – mówię. – To pomyłka!

– Nie pomyłka. To wasz plan, obywatelko. Znakomity plan. Musimy dokonać korekty innych planów, bo rozumiecie – mówią – jeżeli jedna obywatelka może na jednej grządce siać 100 rządków pietruszki, to dlaczego inne sieją po 10?

I położyli słuchawkę!

– Matko święta – mówię, a gęby nie mam do kogo otworzyć.

Wołam więc Skunwiszony, żeby chociaż towarzyską mieć z nimi okoliczność. No i wydało się! Plan siania pietruszki oczywiście „uzupełniły" one. Dodały jedno zero na końcu, żeby „nasz", z tego wynika i ich, ogródek wykazał się. Mówię więc do nich – Skunwiszony jedne, pokażcie jak można na mojej grządce zasadzić 100 rządków pietruszki.

– A siejąc w poprzek rządkami.

– A g... najwyżej 60 rządków wyjdzie, to wszystko!

– Zasiej pietruszkę na ścieżce – mówi najwyższy, bo były trochę różne.

– Ale nie będę mogła dojść do grządki, ani opielić, ani podlać.

– To nic, mówią, ale plan wykonamy. – Znaczy się razem.

No i tak zostało.

Pietruszka więdła, zarastała, dwa razy wynajęłam za ogromną opłatą helikopter do podlania i jakoś faktycznie wykonaliśmy plan, uh.

Pewnego dnia Zarząd w ramach reorganizacji koncepcji przysłał chwastobójczy środek, z poleceniem „odchwaścić, oczyścić, dokładnie posypać wszystkie zakątki". Przychodzę na drugi dzień po zabiegu i patrzę... A tu trzy Skunwiszony leżą na ścieżce, jeden obok drugiego. Znaczy się, myślę, wydechły. Przyznaję, że odczuwałam szczery żal. Nóżki wyciągnięte, bródki sterczą sztywno, oczka zapadnięte.

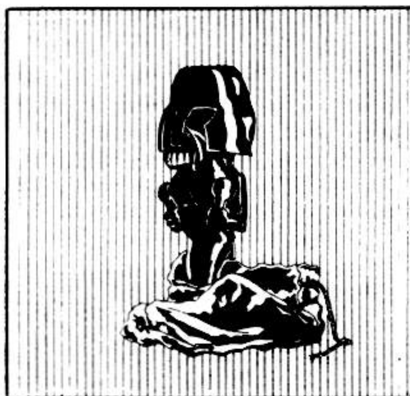
Realnie patrząc na sprawę, myślę sobie, będzie po nowemu, bez Skunwiszonów. Rozglądam się gdzie by tu je pochować, a tu... matko święta, aż mnie zatkało. Każdemu z nich po kolei otwierają się oczka. Nie tak żeby nagle, ale powoli, z niedowierzaniem na światło dzienne patrzą.

– To wy żyjecie!?

– Żyjemy, my tylko przechodzili adaptację. Znaczy się uodparnianie na herbicydy.

No trudno, myślę, może lepiej mieć swoje bądź co bądź Skunwiszony, niż jakie inne niedogadane towarzystwo.

■



Zemsta Hewadżry

Andrzej B. Boryczko

Po raz pierwszy samotnie przekroczył próg jaskini. Słabe światło ręcznego luzemitu wydobyło z mroku makabryczne twarze starożytnych bóstw. Oczy ich lśniły, złowrogo spoglądając na intruza, skierował więc światło w dół, pod nogi. Źrenice posążków zniknęły w ciemności.

Ze strachem posuwał się wolno naprzód. Jeszcze kilkanaście kroków i jego drżące dłonie objęły statuetkę. Potworny Hewadżra nie zareagował na dotyk i nadal nieruchomo spoczywał w kamiennej wnęce.

Przez chwilę wahał się, po czym zdecydowanym ruchem podniósł bezcenną rzeźbę. W następnym momencie Hewadżra zniknął we wnętrzu worka, a jego miejsce zajął sobowtór – wierna kopia wykonana z bezwartościowego surjalutu.

– Myślę, że nie sprawi ci to różnicy – szepnął i zawrócił do wyjścia.

Wybiegł na zalaną księżycowym blaskiem skalną półkę. Oddychając głęboko ostrym i mroźnym powietrzem błyskawicznie przebył kilkadziesiąt stopni kończących się na dnie doliny. Z przerażeniem stwierdził, że jego wierzchowiec zniknął.

Na pewno nie odbiegł daleko – pomyślał, kierując się w stronę wylotu doliny. Stopy ślizgały się po twardej, zlodowaciałej skorupie. Przyśpieszył kroku. Za kilka godzin świt, a przecież ciemnoskórzy przewodnicy w obozie nie mogą się dowiedzieć, że obrabował ich bóstwo. Zabiliby go natychmiast. Musi ukryć zdobycz zanim się obudzą.

Mijał najtrudniejszy odcinek drogi, gdzie gruba lodowa pokrywa poprzecinana była głębokimi szczelinami. Wystarczył jeden fałszywy krok... Właśnie wykonał fałszywy krok.

Na próżno starał się utrzymać równowagę. Ciężar worka z łupem przesądził sprawę. Runął w dół.

Z omdlenia wyrwał go ból w prawym boku. Z trudem uniósł głowę spoglądając w górę. Szczelina była głęboka. Najbliższa krawędź gładkich, lodowych ścian znajdowała się na wysokości trzykrotnego wzrostu człowieka.

Nie czuł zimna. Ochronna powłoka termixu, którą pokrył ciało, skutecznie chroniła od przejmującego mrozu. Zapadł zmierzch i znowu nastał ranek. W chwilach przebudzeń pomiędzy kolejnymi omdleniami spoglądał z nienawiścią na błyszczącego bożka. Hewadżra leżał dokładnie naprzeciw jego twarzy, a wykonane z diamentów oczy odwzajemniały spojrzenie.

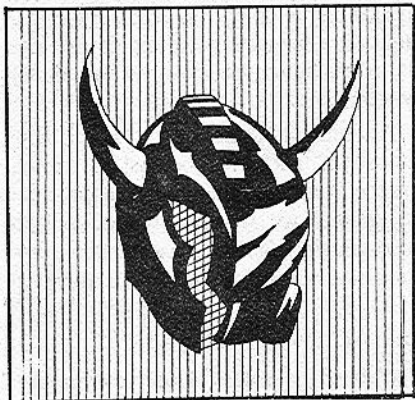
Trawiła go gorączka. Oddechem próbował roztopić lodową skorupę choć na tyle, by zwilżyć wargi. Bezskutecznie. Tracił świadomość. Nie mógł rozróżnić, czy znajduje się w stanie omdlenia, czy też odzyskuje przytomność.

– Wody!!! – wycharczał ostatkiem sił.

Po stromym stoku wznoszącym się ponad szczeliną poza zasięgiem wzroku leżącego zaczął obsuwać się zwał lodowych płyt. Do uszu mężczyzny dobiegał zgrzyt i łoskot lawiny. Dźwięk ten wzmocniony echem odbitym od skał wibrował w powietrzu układając się w wyraźne słowa:

– Myślę, że nie sprawi ci to różnicy.

■



Tytułowe opowiastki

Wacław Stec

Up Side Down

Miliard lat przed końcem świata* mój stary przyjaciel z piekła, niezmordowany wędrowiec, pokonując non stop dalekie szlaki, wykorzystując wyznaczone na Dzień Tryfidów spotkanie z Ramą, odwiedził słynne Miasto na Górze. W tym czasie jego bliska przyjaciółka, księżniczka Marsa pisała wieczorami kroniki marsjańskie, a w wolnych chwilach wpatrzona w kryształowy sześcian Wenus, oglądała kosmiczny kalejdoskop. Gdy tylko przybył do Miasta, pewien nadziany człowiek z Wysokiego Zamku, mimo że trwała wojna światów, zaprosił go na śniadanie mistrzów dobrej roboty. Opowiedział, jak broń chaosu odparła najazd z przeszłości. Jak zamknięta z przyczyn remontu Aleja Potępienia spowodowała, że jeźdźcy smoków zabłądzili w krainie purpurowych obłoków. Jeźdźcy znikąd nie otrzymali pomocy i pochłonęła ich planeta śmierci.

Tymczasem rycerze na rozdrożach – uznając, że jest im wszystko dozwolone – urządzili piknik na skraju drogi w miejscu, gdzie dawniej śpiewał ptak, żuraw w garści, a teraz stała cieplarnia, w której słoneczna loteria utrzymywała temperaturę 451° Fahrenheita.

Wtedy też wynikła sprawa zabójstwa syreny z Tytana. Nie pomogło jej żadne remedium. Pozytronowy detektyw, komisarz Hard i błękitni ludzie, a byli to zwykli ludzie jak ludzie, odśpiewali pieśń łowców i orzekli, że jej śmierć na żywo jest winą poczwarki. Jednakże ich wróg, czarnoksiężnik z Archipelagu, reprezentujący świat czarownic i magów, którego jedyna wyspa zajęta jest przez ogród czasu, złośliwie zapowiedział, że od dzisiaj poniedziałek zaczyna się w sobotę.

Po tym wszystkim bogowie wojny oświadczyli, że w takich warunkach niezwykle trudno być bogiem. Ostatecznie Miasto i gwiazdy zakryła czarna chmura i nastał koniec wieczności. Zatem zapomnij o Ziemi, bo na dodatek ostatni statek z planety Ziemia obrał kurs na zderzenie.

In Side Out

Ponowne stworzenie świata spowodowało, że pierwszy Ziemianin Adam, jeden z nas i już homo divisus, odważył się na wyjście z cienia i przekraczając limes inferior opuścił Eden. Już w połowie drogi stwierdził, że wdepnął w obszar nieciągłości. Nim uzyskał prawo do powrotu, nieraz objawiała mu się zagubiona przyszłość.

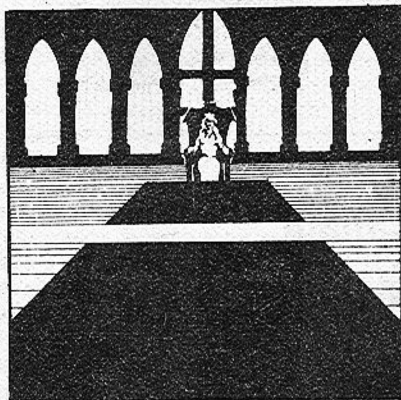
Tymczasem na Srebrnym Globie ludzie z gwiazdy Feriego zbudowali kosmodrom i przygotowali arsenał. Operacja wieczność, według łotra, którym był stary robot, nie była jeszcze w pełni gotowa, a oni czuli się jak senni zwycięzcy syci zwycięstwa, bo powrót z gwiazd był dla nich niemożliwy, jak dla wielu przejście przez lustro.

Leżał twarzą ku ziemi, a znoszony cylinder van Troffa przy nim, gdy torpeda czasu trafiła go w nagi cel. Poczuł wir pamięci, który jak paroksyzm numer minus jeden wstrząsnął nim, a potem była tylko cisza. Niech to świnka powącha, to był niezły numer, pomyślał, ale próba inwazji nie powiodła się im. Tylko fenomen kosmosu sprawił, że próg nieśmiertelności był tym razem dla niego za wysoki.

Po wszystkim wkroczył w strefy zerowe i ta enklawa dała mu uczucie, że jest niezwyciężony. Nie wiedział, że w ten sposób przekroczył ósmy krąg piekieł i... wyrósł mu ogon diabła.

■

* Historyjka pierwsza zawiera 52 tytuły książek fantastycznych autorów zagranicznych. Druga, 38 tytułów książek fantastycznych autorów polskich. Kto chce, niech zgadnie które.



Audiencja

Agnieszka Taborska

– Drogi Książę – Księżna odgarnęła spadający jej na czoło kosmyk włosów – czy wojska nasze gotowe są do zaatakowania wielkiej armii Wiecznego Wroga?

W Sali Najwyższych Audiencji panowała cisza przerywana chrapaniem podwładnych. Od czasu do czasu któryś z nich osuwał się na podłogę i pozostawał tam dopóki Gwardia Błękitna nie posadziła go z powrotem na krześle. Trzykrotne spadnięcie oznaczało wykluczenie z gry.

– Czy wojska nasze gotowe są do zaatakowania wielkiej armii Wiecznego Wroga? – powtórzyła Księżna starając się opanować nerwowy tik umiejscowiony trochę powyżej lewego kącika ust.

Rozległ się hałas spadającego z krzesła podwładnego. Gwardia Błękitna ruszyła truchcikiem w jego kierunku. Każdy z podwładnych miał zatkniętą za kołnierz tabliczkę, na której gwardziści notowali ilość upadków. Przy trzecim upadku Naczelnik Gwardii tupał w podłogę w miejscu, gdzie leżał czerwony dywan położony tam specjalnie, żeby tupanie nie budziło innych podwładnych. Był to sygnał do wyniesienia leżącego. Szczęśliwie podwładni znali na tyle reguły gry, że rozpadali się sami z chwilą, gdy po raz trzeci dotykali podłogi. Ułatwiało to pracę leniwym z natury gwardzistom, którzy starali się wybierać sobie co lżejsze członki bowiem podwładni nie umieli rozpadać się na równe części.

– Czy wojska nasze gotowe są do zaatakowania wielkiej armii Wiecznego Wroga? – po raz trzeci zapytała Księżna nadając swemu głosowi bardziej zdecydowany ton.

W sali pozostało już tylko trzech podwładnych rozpaczliwie walczących z sennością. Gwardia Błękitna niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, oczekując chwili, kiedy po wyniesieniu ostatniego uśpionego będzie mogła pójść do domu.

– Czy wojska nasze gotowe są do zaatakowania wielkiej armii Wiecznego Wroga? – rozległo się jeszcze dwukrotnie w Sali Najwyższych Audiencji zanim trzej ostatni podwładni osunęli się na podłogę. Gwardia Błękitna szybciej niż zwykle zebrała ich części i przepychając się ruszyła ku drzwiom.

Księżna powróci do swego pytania na Sześćset Pięćdziesiątej Trzeciej Audiencji. Sześćset Pięćdziesiąta Druga Audiencja była skończona.

■



Ośmiornica

W. Markiewicz

Zygmunt późną nocą wracał do siebie, sunąc autem po pustych ulicach miasta. Głowa szumiała mu nieco, jako że grzebał swój stan kawalerski na hucznej zabawie z kolegami biurowymi. Jutro, a właściwie już dziś, bierze ślub z Helenką. Jazda przebiegała bez historii, mimo że w głowie czuł nadmiar alkoholu, kierował wóz sprawną ręką. Latarnie uliczne nikle oświetlały sunącą ku niemu szosę i anonimowe kamienice o zamkniętych oknach przesuwające się monotonnie, gdy wtem, na wysokości jednego z okien zauważył jakiś poruszający się kształt. Nie zwrócił specjalnie uwagi, aż nie zbliżył się na tyle by móc dojrzeć, że była to sylwetka ludzka zwisająca w pustce, na wysokości IV piętra. Była to dziewczyna, trzymał ją za nogę mężczyzna, wychylony na wpół przez okno. Zygmunt zahamował gwałtownie, wyskoczył z auta i słyszał jak mężczyzna wołał coś zduszonym głosem. Na pewno wzywał pomocy i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że znajduje się on u kresu sił.

– Trzymaj, już biegnę! – krzyknął Zygmunt. Jednym susem wskoczył do bramy, przebył pędem 4 piętra i znalazł się w wąskim korytarzyku naprzeciw jedynych drzwi, które wyważył pchnięciem ramienia. Podbiegł do okna i uchwycił nogę dziewczyny z mdlejących dłoni mężczyzny. Był już najwyższy czas.

Wszystko odbyło się tak nagle, jak gdyby czas zawieszony w bezruchu zaczął dopiero teraz swój bieg na nowo. Wyczerpany organizm Zygmunta żądał tchu, krople potu ukazały mu się na czole i serce waliło jak młotem. Ona była młodziutka, blondynka, drobna jak laleczka. Drżała, może z zimna, gdyż niewiele miała na sobie odzieży i w pewnej chwili zaniosła się gwałtownym szlochem i rzuciła się na materac leżący w kącie pokoju.

Mężczyzna był młodym zarośniętym typem hipisa. Jakby akt ratunku wycisnął z niego resztki energii, znieruchomiał, wpatrzony przed siebie jak manekin. Zygmunt nie mógł wydobyć od niego jednego słowa. Czyżby narkotyk tłumaczył sytuację?

Zygmunt rozejrzał się po pokoju. Mieszkanie złożone z pokoiku, wnęki kuchennej... Skrzynka zamiast stołu, poduszki miast krzeseł. Szukał wzrokiem telefonu, którego najwidoczniej nie było. Czuł się bezradny. Sytuacja nie zmnieniała się. Dziewczyna łkała wciąż, rozciągnięta na materacu, zaś mężczyzna wpatrzony przed siebie, mamrotał bez związku. Czy można ich zostawić samych? Nie, ryzyko jest za wielkie. Zygmunt był już zdecydowany dojść do okna i wzywać pomocy, gdy – popatrzył znowu na dziewczynę i – coś go wstrzymało. Ona drobna, bezbronna, tak dziewczęca... Leżała wstrząsana cichym łkaniem, blond włosy zakrywały jej całkowicie plecy. Zygmunt poczuł, że nozdrza mu się rozwierają i krew zaczyna bić w skroniach. Położył rękę lekko na jej włosach i cofnął ją ku sobie, patrząc na mężczyznę. Lecz ten wciąż nie reagował, wpatrzony przed siebie, jakby osłupiały. Zygmunt był bezwzględnie panem sytuacji.

Trzeba ją ratować – powtarzał machinalnie, lecz te słowa dyktowała mu czysta hipokryzja. Inna myśl kiełkowała coraz wyraźniej i natrętniej: „Będzie to królewskie pogrzebanie stanu kawalerskiego. Ta laleczka z porcelany, ta tajemnicza nieznajoma, wpadła mu dosłownie w ręce jak manna z nieba. Z tym durniem znieruchomiałym i tak nie można jej zostawić samej, on nie potrafi jej zapewnić bezpieczeństwa..."

Zwrócił się do mężczyzny, z nadzieją, że jak dotąd jego słowa nie dotrą do tamtego świadomości: „Nie można jej tak zostawić. Pan może mieć z nią znowu kłopot gdy stąd odejdę. Lepiej będzie gdy... ją zabiorę ze sobą. Mam znajomego lekarza w dobrej klinice, ona będzie pod dobrą opieką." To mówiąc, okrył dziewczynę swym płaszczem i delikatnie uniósł ją w swych ramionach. Nie stawiała żadnego oporu, ani mężczyzna nie reagował, zagubiony w swym śnie na jawie. Zygmunt jak na rozżarzonych węglach, obarczony swym drogocennym ciężarem, skierował się ku wyjściu. Oczekiwał lada chwila ciężkiej ręki spadającej mu od tyłu na ramieniu. Z każdą chwilą czuł się pewniejszy. Ale gdy znalazł się na dole i osadził dziewczynę w aucie, nie miał już najmniejszej wątpliwości; piękna zdobycz należała do niego. czuł się jaskiniowcem, brutalna prymitywna męskość rozsadzała mu duszę poczuciem podniety nie zaznanej chyba od wczesnych lat młodzieńczych.

Dojechał do siebie, uniósł dziewczynę z auta i przeniósł przez próg jak oblubienicę. Ułożył ją na tapczanie, zapalił przyćmione światło i nastawił płytę o delikatnej romantycznej melodii. Pozostawił ją na chwilę samą i powrócił w jedwabnym szlafroku oraz z kieliszkiem w ręce. Pij, szeptał przykładając jej do warg mocny aromatyczny napój, będzie dobrze, już zobaczysz, że będzie dobrze. Dziewczyna piła bez oporu, zaś on szeptał pocieszające słowa, głaszcząc ją po włosach, po twarzy, owiewał ją gorącym oddechem, przybliżając się coraz bardziej, wreszcie, nie panując już nad sobą, ścisnął ją w swych ramionach i począł całować i całować bez pamięci.

Wtem poczuł się unieruchomiony. Nie zwrócił początkowo uwagi, zamroczony namiętnością, gdy wkrótce poczuł również straszny ból i coś zaparło mu oddech. Jego przerażonym oczom ukazało się coś czarnego i bezkształtnego, śliska i chłodna masa kłębiła się pod nim, a potworne niezliczone macki okręcały go i dusiły, ssały soki i życie...

★

Świtało. W niewielkiej kawalerce młoda drobna dziewczyna szykowała się do wyjścia. Ani jednego spojrzenia nie udzieliła trupowi leżącemu na tapczanie. Na jego bezkrwistej, o papierowej białości skórze widniały straszliwe okrągłe i fioletowe ślady. A w jego szeroko rozwartych oczach malował się wyraz terroru, jakby ostatni obraz, który utrwalił się przed śmiercią przerastał swą potwornością wszystko, co ludzka imaginacja zdolna byłaby pojąć. Płyta na patefonie wygrywała bez przerwy tę samą delikatną i romantyczną melodię.

★

Nieliczni przechodnie o tak wczesnej porze ze zdziwieniem patrzyli na młodą jasnowłosą dziewczynę w męskim płaszczu, zbyt wielkim dla niej, widocznie nic nie noszącą pod nim. Szła, jakby wiedziona niezawodnym instynktem, do siebie, ku swojemu znarkotyzowanemu. ■



Zostałeś wybrany...

Leszek Kraskowski

Wszystko zaczęło się owego fatalnego dnia, gdy otrzymałem kartkę pocztową, na której ktoś nagryzmolił ołówkiem dwa

słowa: „Zostałeś wybrany". Od tej chwili niezwykle polubiłem chodzenie tyłem. Oczywiście początkowo nie skojarzyłem faktu otrzymania kartki pocztowej z moim nowym upodobaniem, to olśnienie przyszło dużo później. Chodziłem do tyłu i basta. Przechodnie na ulicy przyglądali mi się dość bacznie, jednak nie przejmowałem się tym wcale. Również milczeniem pomijałem uszczypliwe docinki kolegów z biura. Później przestałem chodzić do pracy, gdyż wieżowiec, który stanowił siedzibę biura zniknął w dość tajemniczy sposób. Początkowo dziwił mnie fakt, iż zdecydowano się rozebrać tak nowoczesny budynek, wkrótce jednak przestałem sie czemukolwiek dziwić. Ludzie zwracali na mnie coraz baczniejszą uwagę, mimo że starałem się chodzić do przodu. Oni sami byli też jacyś dziwni, ubierali się niemodnie, jeździli w starych samochodach, a słuchawki od mojego walkmana oglądali z niezwykłym zainteresowaniem. Okupacje i bombardowanie jakoś przeżyłem. Potem było jeszcze kilka większych rozróbek, a najbardziej podobało mi się rozbrajanie zaborców. W ogóle stwierdziłem ze zdumieniem, że świat nie rozwija się w tym kierunku, co powinien. W prasie nagle przestali pisać o rozbrojeniu i strefach bezatomowych, a wręcz przeciwnie – pisali o konieczności umierania za Ojczyznę i Jego Cesarską Mość. Hmm, Jego Cesarska Mość, a na audiencji przekonałem sie, że prymityw – nie odróżnia dyskietki od interfejsu. Żyć miałem za co, gdyż opyliłem swój zegarek kwarcowy za 200 złotych rubli, jednak czasy były bardzo niespokojne. Po dwóch powstaniach miałem już dość środowej Europy i przeniosłem się nieco na południe. Decyzji tej omal nie przypłaciłem życiem, gdyż faceci ubrani na czarno chcieli mnie spalić na stosie. Wydarzenia toczyły się w błyskawicznym tempie i w miarę swoich możliwości starałem się do tego tempa dostosować. Pamiętam jeszcze, że usiłowałem odwieść Attylę od idiotycznego zamiaru spalenia Rzymu, chyba bezskutecznie, ale co do tego nie jestem najzupełniej pewien, gdyż wkrótce potem namawiałem Cezara, aby siedział w domu w czasie idów marcowych. Później przez pewien czas słuchałem jeszcze jakiegoś nudziarza, który chciał koniecznie zburzyć Kartaginę. Starałem sie odwieść drania od tak haniebnego pomysłu i jako odstraszający przykład podawałem Hiroszime, jednak Hiroszima tego bydlaka w ogóle nie ruszała. Facet miał kręćka na punkcie palenia i orania, więc aby jego destrukcyjne zamiłowania wykorzystać w jakimś pożytecznym celu radziłem mu spalić i zaorać stadion klubu sportowego w Europie Środkowej. Nastepnie były wesołe numery z Sabinkami, ale dziś jest już spokojnie, i co najważniejsze – chodzę do przodu. Mam nowe zamiłowanie – dokarmiam dinozaury. Na ogonie jednego z tych poczciwych stworzeń znalazłem kartkę z nagryzmolonym napisem: „Pilnuj, aby nie wyginęły!"

To się wie, zostałem przecież wybrany.



Łowca

Leszek Kraskowski

Twarz starca, przeorana licznymi bruzdami i pokryta gęstą siecią zmarszczek, wyrażała ogromne oburzenie.

– Stworzyłem świat, kiedy byłem chłopcem – krzyczał do kilkunastoletniej dziewczyny. – Miałem wtedy dwanaście lat i nie byłem nawet bogiem.

– Nieprawda – zaperzyła się dziewczyna. – Gdy tworzyłam wszechświat tydzień temu, nie było pana jeszcze na świecie.

Kiedy zbliżyłem się do nich, tłum ludzi przysłuchujący się kłótni zafalował gwałtownie i rozstąpił przede mną niczym sezamowe wrota. „Łowca" – usłyszałem trwożny szept. „Łowca" – powtórzył głucho tłum. Dziewczyna nadal kłóciła się ze starcem, nawet mnie nie zauważyła. Starzec również był tak pochłonięty kłótnią, że nie spostrzegł grożącego mu niebezpieczeństwa.

Wyjąłem miotacz. Jego stalowy korpus błyszczał w świetle wschodzącego słońca. Tłum zamruczał, cofnął się. Bali sie. W porządku. Lubię, gdy się boją.

Z tej odległości nie mogłem spudłować. Dwa strzały załatwiły sprawę. Po staruszku i dziewczynie pozostała jedynie garstka pyłu.

– Dobra robota, kolego. – Czyjaś ręka poklepała mnie przyjaźnie po ramieniu.

Przede mną stanął młody, rosły chłopak. Do koszuli miał przypiętą niedbale gwiazdę łowcy.

– Kogo rąbnąłeś? – zapytał.

– Bogów.

– Tak, ci zdarzają się najczęściej – westchnął. – Dawniej mnie bawili, teraz zaczynają mnie nudzić. Stuknąłem już dzisiaj dziesięciu.

– Niezły połów. – Spojrzałem na chłopaka z uznaniem.

– Trzeba pracować – odparł skromnie. – Szkoda tylko, że tak rzadko trafiają się prawdziwe oryginały. Ta monotonia zaczyna mnie denerwować.

– Tak, bogowie są nudni – przyznałem.

– Ale wczoraj trafiła mi się niezła sztuka. – Twarz chłopaka rozjaśniła sie na moment. – Szła środkiem ulicy i wrzeszczała, że może to robić naraz z dziesięcioma mężczyznami. Była całkiem naga.

– No i co?

– Nic. – Chłopak wydął wargi. – To co zwykle. Potem ją stuknąłem. Niezła była.

– A może to normalna? Może naprawdę mogła...

– Coś ty? Zwariowałeś? Może cię rąbnąć – zażartował.

Nie spodobał mi się ten dowcip. Spojrzałem nań spode łba.

– Jak myślisz, ilu ich jeszcze jest. Ilu jest tych cholernych wariatów?

– Pół miasta – odparł beztrosko. – Jakieś pięćset, może sześćset tysięcy. Bomby psychotrofowe nie na wszystkich podziałały od razu. Czasem choroba rozwija się w ukryciu przez całe lata.

– Tak, tak, wiem – mruknąłem niechętnie.

– Znałeś Jimmy'ego? – zapytał nagle.

– Jakiego Jimmy'ego?

– McGregora. Chodził w takiej białej cyklistówce. Miał złotą gwiazdę łowcy.

– Nie. A bo co?

– Stuknęli go.

– Jak to? Łowcę stuknęli?

– Tak. Rąbnął faceta, który twierdził, że jest księciem Yorku. Potem okazało się, że to był prawdziwy książę Yorku. Zrobił się szum i szef kazał zlikwidować Jimmy'ego. Szkoda, równy był z niego gość.

– Długo jesteś łowcą?

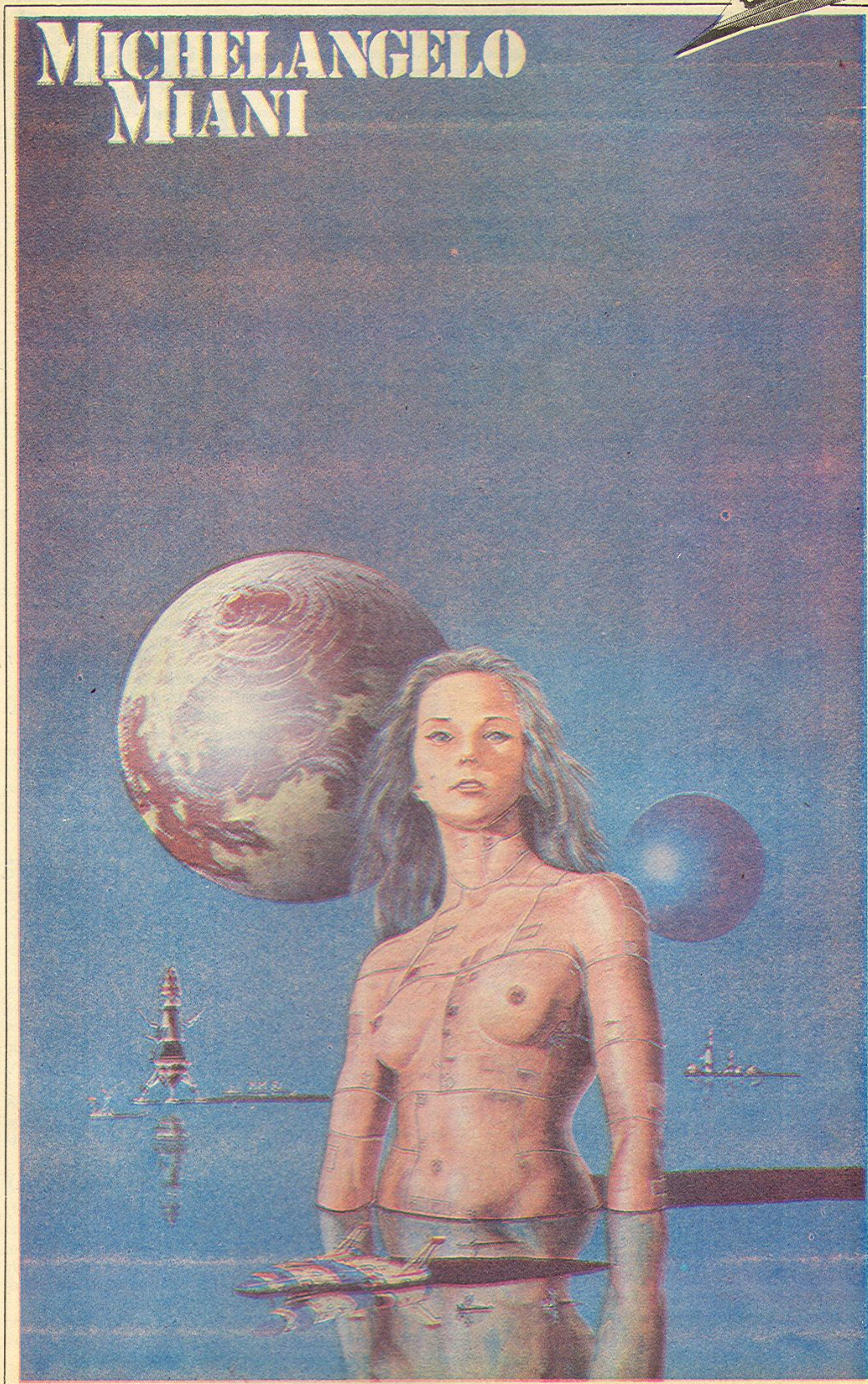
– Dwa lata. Na początku to nawet liczyłem odstrzelone sztuki, ale koło setki rachunek mi się zupełnie pomerdał, więc przestałem. Najgorsi są ci, którzy udają normalnych. Można się pomylić. W końcu ci normalni też często zachowują się jak wariaci. Czasem zdarzają się też samobójcy. Idzie taki środkiem ulicy i wrzeszczy, że jest bogiem. Co mam robić? Rozwalam go. Co mi do tego, czy to wariat czy samobójca. Teraz, żeby popełnić samobójstwo, nie trzeba skakać z 20 piętra czy podcinać sobie żyły. Wystarczy wyjść na ulicę i krzyknąć: „Jestem bogiem" i po kłopocie. Tych mi nie żal. Sami tego chcą. Dziewczyn mi szkoda. Parę dni temu podeszła do mnie taka cizia i mówi, że właśnie przyleciała z Europy na małe zakupy.

– I co zrobiłeś?

– Nic. To co zwykle. Przecież Europy nie ma już od dwudziestu lat. Zapalisz? – Podsunął mi pod nos paczkę Lexingtonów.

Gdy zobaczyłem papierosy, zrobiło mi się niedobrze. Zacząłem wchodzić w trans. Nie mogłem się już opanować.

– Nieskończone mroki istnieją w przes-


MICHELANGELO
MIANI



tworzach – szepnąłem. – Iluzje wypełniają bezbrzeżną czarę goryczy.

– Co?

– Nie lubię grać na mokrym korcie. Można się poślizgnąć i wpaść w otchłań nieskończoności.

Chłopak zaniepokoił się.

– Coś ty powiedział?

– Jestem księżniczką perską! – wykrzyknąłem radośnie.

Byłem od niego o ułamek sekundy szybszy. Nie celowałem. Strzeliłem od razu. Teraz spokojnie rozdmuchiwałem kupkę pyłu, która po nim pozostała. Byłem dumny z siebie. Przecież zaledwie od kilku godzin jestem łowcą. Jeszcze wczoraj byłem bogiem, aż do momentu, gdy spotkałem tego gościa, który chciał mnie sprzątnąć. Naśmiewał się ze mnie. Nie wiedział, biedak, że umiem celnie rzucać nożem i że naprawdę jestem bogiem. Zabrałem mu gwiazdę łowcy i miotacz. Teraz jestem łowcą. Zabijam konkurencyjnych bogów. Czasami wydaje mi się, że jestem księżniczką perską, ale nikomu o tym nie mówię. Wolę być łowcą. Tak jest bezpieczniej.

■



Zaraza czasowiana

Michał Łukaszewicz

Jestem stary, ale doskonale to pamiętam. Podobno zaczęło się od budynku Koła Miłośników Ubiegłego Wieku, chociaż tak naprawdę nikt nie wie kto tę zarazę do nas przywlókł i skąd się wzięła. W każdym razie nasze spokojne miasto klasy drugiej stało się odtąd miastem klasy Q. Nie wszystkim to odpowiada, spora cześć społeczeństwa uważa, że życie w takim mieście jest niemożliwe. Zaraza czasowiana, czyli zaraza miejska, atakuje tylko określone rodzaje miast. Jej ofiarami padają te, które w swej przeszłości były wielokroć burzone lub przebudowywane, w których nastąpiło tak zwane „zjawisko przyspieszonego przeciągu form". Jeśli tylko stopień zmian w ostatnich stu dwudziestu ośmiu latach przekracza osiemdziesiąt dziewięć koma jeden procent, powstają sprzyjające warunki dla tego niezwykłego zjawiska. Najogólniej rzecz biorąc wygląda to tak, że niektóre miejsca wracają na krótki przeciąg czasu do swej wcześniejszej postaci. Wystarczy jedna cicha i mglista noc, żeby na miejscu współczesnego osiedla wyrosły czynszowe kamienice z końca ubiegłego wieku, albo, przy silniejszym natężeniu tego zjawiska, sprzed dwóch wieków. W sporadycznych przypadkach pojawia się zabudowa jeszcze z okresu poprzedzającego wojny napoleońskie. Budynki i całe połacie lądu nie płyną wtedy ku przyszłości w zwykły, codzienny i mniej więcej unormowany sposób, ale – jak to określają naukowe raporty – „degenerują się ku przyszłości i w osobliwy sposób niedorozwijają". Rodzi to tysiąc i jeden problemów, poczynając od konieczności nieustannych interwencji służb specjalnych, które – dajmy na to – zmuszone są nagle wstrzymywać ruch na ważnej magistrali, gdyż w pewnym momencie jeden z jej nowoczesnych węzłów komunikacyjnych okazuje się historycznym skrzyżowaniem regulowanym tylko przemiennością sygnałów świetlnych – poprzez niedogodności wynikłe z natychmiastowego zlotu znajdujących się w stałym pogotowiu historyków, studentów architektury i dziennikarzy działów miejskich lokalnych gazet oraz telewizji – aż po nieuchronne pojawienie się wieloosobowych grup handlarzy staroci i żądnej wrażeń młodzieży, która tylko szuka okazji, żeby się zebrać w dużych i trudnych do opanowania zbiorowiskach. Wieść, że gdzieś w mieście wybuchło nowe ognisko zarazy, ściąga ich błyskawicznie ku wielkiemu utrapieniu obsługujących armatki wodne policjantów. Zaledwie minie taka noc, a sączący w biurze poranną herbatkę mieszczuch może sobie przeczytać, że na skrzyżowaniu Spokojnej i Podzwonnej znów doszło do sprowokowania interwencji sił porządku, w wyniku czego poturbowanych zostało trzystu policjantów. Mimo wszystko nie są to jednak wydarzenia, które zdarzają się często. Bywa, że po prostu umówimy się z kimś, na kim nam zależy, na kawę, spóźnimy się drobne pięć minut, a tu zamiast kawiarni stoi pralnia chemiczna sprzed lat trzydziestu. Owszem, można wejść, ale nikogo znajomego tam nie spotkamy. Tymczasem narzeczona siedzi jakby nic w umówionym miejscu – tyle że oczywiście nie w pralni, a w znajomej „Cafe Rose", dziwiąc się czemu nas nie ma. Zaraza czasowiana miewa jednak niekiedy ogromny urok, bo, jak każda choroba, pobudza do dwumianu Manna! Oczywiście, ludzie interesu nie będą w tym widzieli żadnego sensu, ale dekadenci bardzo to lubią. Bez zarazy życie na pewno toczyłoby się szybciej i sprawniej, a może nawet wydajniej, gdyż tego typu niespodzianki raczej opóźniają jego bieg, tym niemniej dla niektórych nagłe czasowe uskoki mają swój cudowny sens. Rząd pragnąłby jednego: Wiedzieć gdzie i kiedy, oraz na jak długo zjawisko to wystąpi! Może wtedy udałoby się jakoś

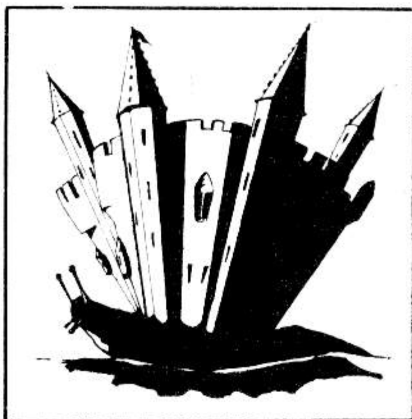
SHORT STORIES po polsku

przeciwdziałać, może przestałoby występować? Żeby je jednak zbadać trzeba wiedzieć nieporównanie więcej niż wiemy. Bo cóż wiemy? Że teoretycznie możliwość powstawania uskoków czasowych odkryta została już za czasów Einsteina, tyle że miały one trwać nie dłużej niż ułamek nanosekundy, i że później jakoś te nanosekundy zamieniły się w sekundy, a sekundy w kwadranse, te zaś, w końcu, w stulecia. Ale dlaczego, dlaczego? Czy przez atomy? Bardzo możliwe, że pewna część atomów ma w tym swój udział i nie chce podporządkować się ogólnej regule, która każe im siedzieć spokojnie na swych miejscach, o ile nikt nie sprowokuje ich do czynów desperackich – tak to przynajmniej próbują wyjaśnić neoheisenbergiści. Dlaczego jednak już nie atomy, ale całe budowle robią zupełnie coś innego niż powinny, czy trawi je jakaś rozprzestrzeniająca się niechęć do współczesności, niemoc trwania, anomalia, zaraza? I co ją w takim razie powoduje, co tę naszą materię tak drażni? Nikt dziś jeszcze na te pytania nie umie odpowiedzieć. Czy zresztą tego rodzaju hipotezy mają jakiś sens, skoro atomy mimo całego ich łudzącego podobieństwa nie są przecież bez względu na okoliczności tożsame, a więc te ze współczesności na pewno nie są tamtymi ze zburzonej nieodwołalnie przed wiekami Resursy Kupieckiej, która pojawiła się nieoczekiwanie w ubiegły wtorek na środku placu Astronautów? Atomy atomami, przestrzeń przestrzenią, czas czasem, a zagadka musi się kryć gdzie indziej. Może to znamię naszych lat, signum temporis nabrzmiewających problemów współczesności? O, jakże inaczej było jeszcze tak niedawno, gdy naukę trapił tylko problem znikania statków w Trójkącie Bermudzkim, albo wcześniej, gdy skutecznie uporano się z problemem zarazy ziemniaczanej. Dziś trzeba się niestety pogodzić z brakiem rozwiązania i opracowując doraźne metody łagodzenia niebezpieczeństw, czekać. Czas na pewno przyniesie rozwiązanie i być może będzie to rozwiązanie kapitalnie proste. Trzeba po prostu czekać. Nic nie pomoże gorączkowe rozpytywanie przypadkowo spotkanych w centrach takich anomalii ludzi z przeszłości. Oni także nic nie wiedzą i jak my bardzo się tym zjawiskiem niepokoją.

Kiedy przechodziłem wczoraj ulicą, przy której mieszkałem długi czas w dzieciństwie, doszło do pięciosekundowego wyładowania wstecznego. Zamarłem ze wzruszenia. Tak, to była ta sama ulica! Któryś z jej chłodnych i wczesnowiosennych poranków, gdy przez warstewkę mgły świeciło młodsze o więcej niż pół

wieku słońce, a z obu stron wznosiły się ogrodzenia i baraki przycupnięte u stóp pozostawionych tu przez wojnę gruzowisk. Przeszedłem kilka kroków po chodniku ułożonym z odłamków płyt i ujrzałem kogoś, kto nadchodził z naprzeciwka, jak ja oddychając białymi kłębami pary. Wpatrzyłem się jak we własny sen w jego obramowaną słońcem sylwetkę i krzyknąłem, gdy noga nagle nie napotkała już tamtego pogruchotanego chodnika, a ja znów omsknąłem się w grudniową teraźniejszość mojej starości.

■



Zofia Beszczyńska

Drzewa

Gdy obudziliśmy się rano, wokół nie było ani jednego drzewa. Podobno w nocy niektórzy widzieli tysiące, miliony czy nawet miliardy startujących z Ziemi rakiet. A więc tyle czasu byli tu z nami, a my nic o tym nie wiedzieliśmy!

Ślimak

Zatrzymałem się, gdy przechodził w poprzek mej ścieżki: był dziwny. A właściwie jego muszla, jego – dom. Wysoka krucha konstrukcja przypominająca świątynię gotycką lub superawangardowy wieżowiec. Albo nadrealną wieżę. Potrąciłem go, może niechcący, może na wpół świadomie, chcąc dotknąć, zbadać – wtedy muszla rozprysła się. Lecz z jej ruin zaczęły wypadać one: miniaturowe, wszystkie z podobnymi budowlami na grzbiecie. Pełzły, pełzły, i robiło się ich coraz więcej, więcej, jakby rodziły się z tych drobnych okruchów... i Boże, jeszcze pełzną...

Komary

Człowiek szedł przez pustynię, nękany pragnieniem. Wokół niego ciężko krążyły muchy i komary, i komary: całe ciało miał obolałe od ich ukąszeń, całą skórę upstrzoną ich trupami.

Zatrzymał się, nim jeszcze ujrzał wodę; najpierw dobiegł go jej świeży zapach, jej cichy śpiew.

Potem padł na kolana, na brzuch i pił z nabożeństwem, gdy nagle przysłonił go ogromny cień i silne uderzenie zmiażdżyło mu kręgosłup.

Po chwili cień znikł, i tylko ciało człowieka leżało nieporuszone na nagiej skórze ziemi.

Zielone miasta

Zielone miasta drżą w powietrzu jak liście, a plan ich ulic przypomina delikatne siatki żyłek. Ludzie tam mieszkający są przejrzyści i lotni; strzec się muszą najlżejszego nawet podmuchu wiatru.

Podobno miasta te gnieżdżą się w gałęziach drzew, a jesienią razem z liśćmi odlatują do ciepłych krajów.

■



W potrzasku

Ewa Lipska

Obudziłem się z bólem głowy. Znowu nie dali mi spać. Chodzili po mieszkaniu, trzaskali drzwiami, przebierali się w moje garnitury, koszule, śpiewali sprośne piosenki. Znowu wypili mleko, gin, sok z czarnej porzeczki. Wypełzali z leżącego na biurku maszynopisu, szeleszcząc przy tym bezwstydnie. Kilka kartek spadło na podłogę. Słyszałem wyraźnie ich szepty i śmiech. Porzucali zdania, do których byli przypisani, sylaby, nawiasy. Wyginali je przy tym i naruszali znaki interpunkcyjne. Kilka wykrzykników poniewierało się w rogu pokoju. Samowolnie odrywali się od czasowników i okoliczników miejsca. Sytuacja wymykała się z moich rąk. Coraz poważniej zaczynałem myśleć o skreśleniach. „Skreślę"! „Wszystkich skreślę!" – postanowiłem, połykając dwa proszki od bólu głowy. Do tego wszystkiego musiałem iść na pogrzeb. Ale czyj pogrzeb? Muszę sobie koniecznie przypomnieć. Zacierały się we mnie obrazy: te realne z wymyślonymi. Teraz była to już jedna wielka popielata chmura wisząca nad moim domem. Z tymi niewesołymi myślami udałem się w kierunku cmentarza. Byłem już w tym wieku, że umieranie staje się czymś normalnym. Pojawia się najzwyczajniej, koło czwartej po południu jak tramwaj na podmiejskim przystanku. Zajeżdża, otwierają się automatyczne drzwi.

SHORT STORIES po polsku

Dzwonią dzwonki. Zrywa się wiatr. Wsiadam i kasuję bilet w nieczynnym kasowniku. Temperatura na cmentarzu, którą odczytałem z elektronicznego zegarka, wynosiła – 35 stopni C. Patrzyłem, jak marzną żywi, ruszając rytmicznie nogami, owinięci szalikami, futrami, w czapkach i nausznikach. Do tego wszystkiego trumna nie chciała się zmieścić w grobowcu. Musiano ją wkładać w pozycji pionowej. Słychać było szelest przesuwającego się ciała. Ciała? Zdawało mi się, że to tylko bukiet nieśmiertelników. Pogrzeb nieśmiertelników? Ktoś mówił, że nieboszczyk nosił zawsze za duże koszule, za długie płaszcze, za szerokie kapelusze.

– Trumnę też napisał mu za dużą – powiedział ktoś szeptem.

„Napisał"? W mojej sztuce teatralnej nikt nie umarł. Może to czyjeś opowiadanie? Czyjś inny bohater? Kto napisał? To przecież nasz szkolny kolega. A to jego żona w czarnym kapeluszu. Z czarnymi skrzydłami. W czarnej peruce – powiedziałem do sąsiada. Ale on pokiwał tylko głową. Ściągnął czapkę. Otrzepał ze śniegu.

– Co ty tu robisz? – zawołałem. – Co tu robisz? Dlaczego opuściłeś ostatnie zdanie? Dlaczego zmieniasz bieg wydarzeń?! Do tego ubrany jesteś w zwoje papieru i moją białą koszulę...

– Powiedziano mi, że to pana pogrzeb, myślałem, że wypada przyjść... Wszyscy jesteśmy...

Roześmiałem się. Kilka osób spojrzało niechętnie w naszą stronę. Zdaje się, że ktoś zaapelował o ciszę. Mój sąsiad zaczął się oddalać. Szedł cmentarną aleją. Miał na sobie za długi płaszcz (ach, gdzie te zwoje papieru...) i za duże buty. Odchodząc powiedział jeszcze „pomyliłem się". Pobiegłem za nim i chwyciłem go za rękaw.

– Jak mogłeś mi to zrobić? – krzyknąłem.

Odwrócił się gwałtownie. Omal nie zemdlałem. Patrzyła na mnie młoda, prawie dziecinna twarz.

– Przepraszam, pan mnie chyba z kimś pomylił – powiedział uprzejmie.

Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Patrzyłem na jego buty.

– Podobają się panu? – zapytał – kupiłem je od kolegi, ale trochę za duże.

– Bardzo mi się podobają. Są po prostu wspaniałe!

Więcej się nic nie zdarzyło. Mogiłę pokryły wieńce. Wygłoszono kilka przemówień, ktoś coś zaśpiewał. Ktoś zawołał:

„Bądź zdrów kolego!" Wdowa otworzyła pudełko czekoladek i częstowała obecnych. Czekoladki nadziewane były marcepanem. Ustawiliśmy się w kolejce, niektórzy po dwa razy, niektórzy trzy. Wreszcie pudełko było puste. Wyglądało jak biała trumna. Po powrocie do domu wypiłem szklankę kefiru, zamknąłem szczelnie okna i drzwi, aby nie przenikał przez nie mróz. Usiadłem przy biurku i spojrzałem na maszynopis. Kartki były pogniecione i poplamione sokiem z czarnej porzeczki. Zdania poprzekrzywiane. Bohaterowie mojej sztuki tak niegdyś zdyscyplinowani sprawiali mi coraz więcej kłopotu. Zachowywali się jak terroryści. Najpierw zburzyli mi pomysł, a potem wysadzili w powietrze miejsce akcji. I jeszcze ta dzisiejsza noc, ucieczka z maszynopisu... Oczywiście mogłem ich wszystkich skreślić, zlikwidować jednym ruchem pióra, ale nie miałem na to sił. To miało być przecież arcydzieło! Wielki dramat! Już słyszałem wielominutowe oklaski. Kłaniałem się tłumom. Odbierałem bukiety kwiatów, gratulacje, nagrody. Pisano o mnie wszędzie, pozdrawiali mnie życzliwie sąsiedzi, podziwiały kobiety. Zgłosiła się do mnie karlica z miejscowego cyrku, abym z niej zrobił bohaterkę kolejnego dramatu... To byłoby wspaniałe! Wiatr rozwiewałby różnojęzyczne plakaty...

– Arcydzieło! – zawołałem głośno.

W tym momencie za moimi plecami rozległ się śmiech. Straszny śmiech. Odwróciłem się gwałtownie. Zegar patrzył na mnie przerażony, łąka na obrazie pożółkła. Powoli wstałem i zapaliłem wszystkie światła. Zajrzałem do każdego kąta i kosza na śmieci. Nikogo nie było. Podleciałem do biurka i zacząłem skreślać. Słowa, zdania, całe stronice. „Zacznę od początku" – myślałem – „zacznę od początku, zrobić sobie plan, dokładną analizę akcji, zmienię bohatera..." Potem każdą kartkę przedzierałem na pół, a nawet kilkakrotnie. Wyrzuciłem wszystko do kosza, przygotowałem nowy papier, pióro, atrament. Kiedy usiadłem przy biurku zagwizdał czajnik. „Przecież nie stawiałem wody" – wyłączyłem gaz i zrobiłem sobie wymuszoną herbatę. Zauważyłem, że w łazience leje się woda. Chcąc nie chcąc, wykąpałem się. Zaczęło mnie to bawić. „Nawet wygodne. Taka niewidzialna gospodyni domowa..." Ale już mniej zabawne było to, iż cały nowy papier zapisany był starą wersją sztuki, ale – o dziwo! – moim własnym pismem! Do tego wszystkiego ktoś jęczał w przedpokoju. „To pewnie płaszcz" – pomyślałem i odwiesiłem go do szafy. To, że zegar stanął, zupełnie mnie już nie zdziwiło. Zażyłem proszek nasenny i położyłem się na tapczanie. Śnił mi się młody człowiek z alei cmentarnej.

– Podobają się panu te buty?

– Są wspaniałe!

– Czy pan już kiedyś umierał? – zapytałem go, ale on roześmiał się tylko głośno i serdecznie.

– Podobają się panu te buty? Mam jeszcze butelkę szampana. Hiszpański. „Brut Zero, Castellblanch". Wypijemy? Pańskie zdrowie! Jutro wyjeżdżam...

W tym momencie rozległ się wybuch. Obudziłem się. Z trudem znalazłem kontakt. Zaświeciłem światło. Pobiegłem do kuchni. Na stole stała butelka szampana, z której wypływała pieniąca się rzeka. Cała kuchnia była zalana. Na stole leżała kartka: „Wyjeżdżam. Buty leżą w szafie. Do zobaczenia". Pobiegłem do szafy. Kiedy ją otworzyłem, zamarłem. Była pusta. Co stało się z moimi koszulami, ubraniami, bielizną? Nie było też walizek. W rogu szafy leżały buty. Te same buty, o których rozmawialiśmy. Kiedy chciałem je wziąć do ręki, rozpadły się. Były z papieru. Lewy był kopią prawego, a raczej były to dwa lewe buty... Chciałem zatelefonować na policję i zgłosić kradzież, ale telefon był nieczynny. Zresztą, co mógłbym im powiedzieć? Wróciłem do przedpokoju. Na wieszaku wisiał parasol. Spojrzałem na niego z czułością. Zdjąłem go z wieszaka i otworzyłem. Usiadłem przy biurku i przeczytałem swoją sztukę. Może nie jest taka zła – pomyślałem. W lewej ręce trzymając otwarty parasol, prawą sięgnąłem po pióro. Już chciałem napisać: „Drugi akt", kiedy zauważyłem, że pióro nie ma stalówki. Za oknem słychać było wiejący wiatr. Biała zadymka przyklejała się do okien. ■



Trzy fikcje

Andrzej Knapik

I

Na ośnieżonym szczycie Czatyrdahu żyje olbrzymi, biały robak. Zowie się – nie wiadomo dlaczego – Abizulal.

Tyle tylko o nim wiemy. I oto już zaczyna – podobny do olbrzymiej, białej dżdżownicy – pełzać po śliskich zboczach góry. Może również, spłoszony krzykiem orła, wwiercać się błyskawicznie w miąższ, pozostawiając pod nim w parującym błocie półprzejrzyste bryły, wielkie jak strusie jaja. Wydalaniu ich towarzyszy straszliwy grzechot, po którym Abizulal znika w mętnej przestrzeni lodu.

Bardzo możliwe, że gdyby ktoś rozciął go, powoli wypłynęłyby z jego wnętrza sine krople rtęci zamiast krwi i tego co zwykle miewają w sobie zwierzęta albo ptaki.

II

Na tejże górze, a zupełnie inaczej i osobno, jest Wielki Poeta. Każdy wie, że jest tam jakoś, najczęściej w postaci płaskiej plamy, z twarzą ujętą z profilu, w narzuconym niedbale futrzanym okryciu.

Jest to twór niemniej dziwny niż Abizulal, ale sztywniejszy w sobie, bardziej uporządkowany. Jego sąsiada nafaszerowaliśmy rtęcią i – jak widzieliśmy – nabrał od tego nawet specjalnego wigoru. A z Wielkim Poetą nie tak łatwo. Jest stworzeniem bardziej wybrednym i delikatnym. Ale są tam razem na szczycie Czatyrdahu, zamknięci w dwu równoległych fikcjach, niby owady w bryłach bursztynu.

Nawiedzają nas chwilami we śnie, albo na jawie, albowiem obaj mają naturę wampirów: żywią się naszą krwią, z której odcedzają potrzebny im Czas oraz Przestrzeń.

III

Jest równie, chociaż zupełnie inaczej, szalone, upalne lato. Po niebie mknie ku górom biały obłok o kształcie konia z rozwianą różową grzywą. Studnie powysychały. Kołysze się w nich tylko echo, ciężkie prawie jak woda. W ogrodach umiera zieleń, pełna jeszcze cierpkich jabłek.

Po zamkowym dziedzińcu przechadza się Król. Roztrąca butami żółknące łodygi trawy, płoszy szare jaszczurki (ich ucieczki są jak smagnięcia batem).

Król śpiewa bezwiednie Modlitwę:

„Syp popiołem Panie Złoty
W oczy nasze usta nasze
Nie będziemy spać ni czuwać
Ni ogień nas nie przestraszy
Pobiegniemy tylko szybciej
Nie tykając stopą ziemi
Szare oczy szare usta
Zapomniani – odmienieni"

Monarcha jest bez korony. Siwe, spocone włosy połyskują na jego głowie niby srebrny hełm.

Kiedy zbliża się do muru okalającego dziedziniec, widzi w dole, na łąkach, Jeźdźców. Cwałują pojedynczo i grupami w swoich błękitnych i białych zbrojach. Niektórzy zatrzymują się, wskazując wyciągniętymi rękoma na zamkowe wieże i – wie o tym, choć nie słyszy ich głosów – śmieją się. Wydaje mu się nawet, że widzi

ich białe zęby błyskające z daleka, ale to oczywiście złudzenie.

Na wieżach z monotonnym pomrukiem kręcą się wielkie czarne skrzydła wiatraków.

Król wzdycha głęboko, odwraca się ku schodom i starczymi, niepewnymi krokami podąża do drzwi. Tu przystaje i jeszcze raz spogląda w dół. Poniżej linii horyzontu widzi ciemne ruchliwe plamy. Jeźdźcy zniknęli spod murów. Kiedy jednak podniósł do oczu lornetkę, widzi ich znowu. Krążą wokół owych plam, w których rozpoznał niewielkie grupy wynędzniałych postaci ludzkich, ciągnących z wysiłkiem olbrzymie armaty na żelaznych, wysokich kołach.

Król wzrusza ramionami, odwraca się i popycha ciężkie skrzydło drzwi. W hallu stoi już na stoliku taca z Pożywieniem. Machinalnie wrzuca do ust dwie brunatne kostki i udaje się do Gabinetu.

*

Tu Król bał się najmniej, mimo że przedmioty zalegające bezładnie każdy kąt pomieszczenia były zniszczone i dziwaczne.

Były to Księgi, w tym pożółkły Atlas Gwiezdny, był Skafander – wyłuszczony, spękany miejscami jak stary pergamin, był Młotek Geologiczny i całe stosy drobiazgów.

Król zabawiał się tu kiedyś w Zapominanie.

...Ogląda się dokładnie jakąś Rzecz, a potem niesie do Gabinetu, zamyka oczy i wali w nią Młotkiem. Następnie, nie otwierając oczu, robi się jej Zdjęcie, które zabiera się ze sobą, a rzecz zostawia zakrytą Ręcznikiem. Wszystko to po omacku, z zamkniętymi oczyma... Powtarza się te czynności do czasu, gdy się już nie wie gdzie i jakie robione były zdjęcia. Szuka się ich.

Okazują się puste (nie ma na nich nic prócz bieli) albo jest kryształowy pucharek na przykład – ale cały, bez skazy. Ale gdy nam się przypomni Młotek, to pucharek rozpada się wstydliwie, albo nawet całkiem znika.

Niektóre Rzeczy wychodziły na zdjeciach solidnie. I pokiereszowane jak trzeba i wyraźnie widoczne. Szedł potem Król do Gabinetu i zastawał tam zamiast stu Rzeczy tylko kilka – przeważnie starych i w dodatku podziobanych Młotkiem.

Ten to Gabinet nazwał kiedyś Gabinetem Prawdy, a potem już tylko Gabinetem.

*

Żałowałem teraz. Patrzył na te rupiecie – bezużyteczne i nędzne – i żałował siebie i ich. Prawda nie ma w sobie nic wspaniałego. Jest pozbawiona głębi i, jeśli jest całkowita, nudzi.

*

Po Epoce Rzeczy była zabawa w Terror, czyli Epoka Ludzi. Ach! Cóż za czasy. Koterie i kliki, intrygi i donosy... Cała ta zgraja kłębiąca się wokół tronu w krwawej mgle. I Ona, Królowa – coraz bledsza, znękana, płacząca po nocach, kiedy udawał sen...

*

Zostali wreszcie we trójkę: KRÓL, Królowa i Kapłan. ...Przestraszył się Prawdy i kazał im odejść. Teraz tęsknił za nimi i bał się ich zarazem. Wodził oczyma po Prawdziwych Rzeczach i myślał o tym, czy jest jakieś Tam – dokąd odeszli, czy tylko Nic, białe jak niektóre z jego starych fotografii.

*

Król wszedł do świątyni, rozejrzał się po jej ciemnym wnętrzu i niezdecydowanie zbliżył do Ołtarza, pokrytego mrowiem różnokolorowych szkiełek, z których tylko dwa świeciły czerwono.

Położył dłoń na czarnym drążku, obok którego widniał srebrny napis „The End". Pomyślał, że to imię któregoś z bogów. Może tego, o którym stary Kapłan mawiał: „On jest. I dokąd jest – jesteśmy i my. Albowiem On jest naszym światem, a świat jest Nim".

*

Ale kiedy przesunął dźwignię nie stało się nic. Rozczarowany wyszedł na zewnątrz. Zobaczył tym razem naprzeciw zamku wysokie szańce, na których połyskiwały już czarne paszcze armat.

Wydawało mu się, że daleka, nikła na tle płaskich przestrzeni łąk sylwetka, to postać Kapłana.

Nie chciał się jednak upewniać. Ścisnął w dłoniach lornetę, ale nie podniósł jej do oczu. Czekając na pierwszą salwę myślał o tym, że jeśli przesunął dźwignię, powinny zgasnąć czerwone lampki. Czyż nie mówiła Modlitwa:

„Świat ten o Panie
Zgasi któryś z nas
Czerwone światła zbledną
A czarny palec śmierci
Wskaże otchłań
Być może – nowego snu"?

A potem pomyślał, że dźwignia też jest Rzeczą – i z chytrym uśmieszkiem na zwiędłych wargach potruchtał znów do Gabinetu – po Młotek, Ręcznik i Aparat Foto, zapominając na chwilę o dziwacznej armii naszykowanej do szturmu na kruche mury jego zamku.

■

SHORT STORIES po polsku



Ilustrował Tomasz Zakrzewski

Ekspedycja do krawędzi czasu

Małgorzata Kondas

Ojca Wandy poznałam wiele lat temu. Byłyśmy wtedy małymi dziewczynkami, a on młodym przystojnym mężczyzną. Teraz jesteśmy paniami w średnim wieku, a on...On wygląda nadal tak samo, chociaż nie można powiedzieć, żeby się nie zmienił. Z podróży kosmicznej wrócił ciężko chory. Objawy jego choroby są niezwykłe. Nie wiem nawet, czy w naszym ziemskim rozumieniu tego słowa, są rzeczywiście objawami choroby. Jego wygląd zewnętrzny nie uległ najmniejszej zmianie. Pozostał młodym, przystojnym mężczyzną, którego zachowanie stało się niestety zupełnie niezrozumiałe.

Pamiętam dzień jego powrotu z najdłuższej w dziejach ludzkości podróży kosmicznej. Byłyśmy razem z Wandą na lotnisku, gdzie kosmonautów oczekiwał tłum reporterów z całego świata oraz niezliczone delegacje naukowców i polityków. Wyglądało to tak, jakby cała ludzkość domagała się uczestnictwa w sukcesie, jakim niewątpliwie była dziesięcioletnia podróż rakietą osiągającą prędkość zbliżoną do prędkości światła. Pomyślałam, że jeszcze tak niedawno uczeni wypowiadali się autorytatywnie o fizycznej niemożliwości uzyskania takiej szybkości. A oto za chwilę stanie przed nami pięciu bohaterów, którzy przez dziesięć lat podróżowali doganiając niemal światło!

Podano komunikat o pomyślnym lądowaniu rakiety w bazie, skąd samolot przewiezie ich na lotnisko. Względy bezpieczeństwa, niestety nadal, nie pozwalają na uczestniczenie publiczności przy lądowaniu rakiety. Poza tym w bazie nie było możliwości pomieszczenia takiego tłumu.

– Czy sądzisz, że ci ludzie rzeczywiście interesują się wynikami badań naukowych? – spytałam Wandę, pokazując nieprzebraną ciżbę.

– Nie bądź naiwna. Większość z nich nie ma nawet pojęcia, co było celem podróży.

– Za to akurat nie potępiałabym ich. „Ekspedycja do krawędzi czasu" – jak nazwał wyprawę znany publicysta nie musi przemawiać do każdej wyobraźni, zwłaszcza że środki masowego przekazu dość niejasno poruszały temat hipotetycznego zagrożenia Ziemi.

– Najważniejsze, że katastrofiści znowu nie mieli racji. Już sam powrót rakiety jest na to dowodem.

– Strasznie ciekawa jestem szczegółów. Wpadnę do was któregoś dnia, jeśli pozwolisz.

Nie usłyszałam odpowiedzi, bo oto właśnie wylądował samolot i kołował na plac z trybuną honorową. Kiedy stanął, wszyscy w napięciu czekaliśmy na ukazanie się pierwszego kosmonauty. W moim odczuciu chwila ta była nieskończenie długa. Wreszcie zobaczyliśmy kapitana załogi. Schodził bardzo długo wśród owacyjnych oklasków. Na dole, obsypany kwiatami, został zaprowadzony na trybunę.

Drugim był ojciec Wandy. Wysoki, przystojny blondyn – dokładnie taki, jakim zapamiętałam go z dzieciństwa. Lubił żartować, że gdyby miał o dwadzieścia lat mniej, to by się ze mną ożenił, bo z pewnością wyrosnę na śliczną pannę. Te żarty przyprawiały mnie o rumieńce. Może nawet dziecinnie podkochiwałam się w ojcu koleżanki. Już wówczas pisały o nim gazety i wszystkie w szkole zazdrościłyśmy Wandzie. Teraz pan Stanisław wyglądał jakby się jego życzenie spełniło i miał rzeczywiście o dwadzieścia lat mniej.

On również schodził bardzo wolno, wolno również podniósł rękę w odpowiedzi na pozdrowienia. Jego ruchy przypominały te, jakie widziałam na starym filmie z pierwszego pobytu ludzi na Księżycu, chociaż nie mogły być przecież spowodowane słabszym przyciąganiem. Grawitacja ziemska jest taka sama dla jej stałych mieszkańców, jak i powracających z najdalszej nawet podróży. Później zauważyłam, że każdy z pięciu kosmonautów zachowuje się podobnie. Ich mowa i ruchy były znacznie powolniejsze od przeciętnych.

Teraz, kiedy o tym piszę mam wątpliwości, czy jednak nie dorabiam faktów do teorii, która zaświtała mi w głowie znacznie później. W każdym razie nikt z witających nie dał po sobie poznać, że zauważa coś niepokojącego w zachowaniu kosmonautów.

W parę dni później wpadłam do Wandy, z nadzieją że zastanę jej ojca.

– Musisz uzbroić się w cierpliwość – powiedziała przyjaciółka. – Badania kontrolne potrwają trzy miesiące.

– Wobec dziesięcioletniej nieobecności, to w końcu nie tak wiele. Miałaś może sposobność zamienić z nim kilka słów, zanim zabrano go do kliniki?

– Tak. – Głos Wandy był zdecydowany i chociaż urwała na moment, byłam przekonana, że chce powiedzieć mi coś ważnego. – Tak – powtórzyła. – Nie jestem tylko pewna, czy dobrze go zrozumiałam. Cała ta hipoteza katastroficzna jest dla mnie zbyt skomplikowana. Ojciec mówił wolno, ale używał nieznajomych mi określeń i w sumie zrozumiałam tylko że informacje podawane do publicznej wiadomości nie we wszystkim pokrywają się z faktami.

Lato tego roku było nieznośnie upalne, a jesień nie przyniosła spodziewanego wytchnienia. Obfite deszcze nie chłodziły wystarczająco rozgrzanej ciągle ziemi. Przyszedł grudzień i na gwiazdkę spadł wreszcie śnieg. Topniał właśnie, kiedy szłam odwiedzić Wandę i jej ojca.

Przyjaciółka przyjęła mnie z zakłopotaną, smutną twarzą.

– Co się stało? – spytałam.

– Z ojcem jest niedobrze.

– Wezwałaś lekarza?

– Nie. To oni, lekarze przywieźli go w takim stanie do domu.

– Dlaczego?

– Choroba ojca jest nie do wyleczenia i będzie się potęgowała. Tak powiedzieli.

– Czym się objawia?

– Apatią. Nic nie mówi. Nie umiem się z nim porozumieć.

– Czy mogę go zobaczyć?

– Chodź – Wanda wprowadziła mnie do pokoju, gdzie na fotelu siedział jej ojciec. Z wyglądu nadal przypominał raczej jej brata. Na moje pozdrowienie nie odpowiedział, ale wydało mi się, że wyraz jego twarzy powoli ulega zmianie, aż do momentu, kiedy z całą pewnością można go było nazwać uśmiechem.

Jeśli był człowiekiem chorym umysłowo, to z pewnością nie należał ani do furiatów ani osób otępiałych. Jego inteligentne oczy wyrażały zainteresowanie, co więcej robił wrażenie, jakby chciał nam coś powiedzieć.

– Czy pan nie może mówić? – spytałam.

– On nie rozumie mowy, chociaż słuch ma nadal dobry – wyjaśniła Wanda.

– Próbowałaś porozumieć się z nim w inny sposób?

– W jaki na przykład?

– Chociażby pisemnie.

– Czyta niezwykle wolno, a jeszcze wolniej pisze. Jeśli zapytałam co woli – kawę, czy herbatę, to zanim uzyskam odpowiedź zdążę ugotować obiad i sama go zjeść.

– Je też wolno?

– Niestety. Zanim się zorientowałam, zabierałam mu nieskończone posiłki myśląc, że mu nie smakują.

– I lekarze nie robią nadziei na poprawę stanu zdrowia?

– Są bezradni. Takiego schorzenia medycyna dotychczas nie znała.

– Jest jedynym pacjentem z tak zwolnionymi reakcjami?

SHORT STORIES po polsku

– Jednym z pięciu. Cała załoga statku zapadła na tę dolegliwość. Przy czym stan pogarsza się z każdym miesiącem a lekarze nie umieją powstrzymać tego procesu.

*

Wiosna rozpoczęła się niezwykle wcześnie, bo już na samym początku marca. Pracowałam właśnie w ogrodzie, kiedy przyszła Wanda.

– Musisz mi poradzić co mam robić. Dziś rano to znalazłam – podała mi kartkę zapisaną starannym charakterem pisma.

– To pismo twojego ojca? – domyśliłam się.

– Tak. Pisanie tego listu zajęło mu dwa miesiące pracy. Nie masz pojęcia, jakie to straszne patrzeć na niedołężność kogoś bliskiego, zwłaszcza w jego wieku i z tym młodzieńczym wyglądem.

Wzięłam do ręki papier i zaczęłam czytać:

Rada Nadzorcza Ekspedycji'35 zataja przed ludzkością fakt, który dotyczy absolutnie wszystkich i powinien zostać niezwłocznie podany do publicznej wiadomości.

Zagłada Ziemi, wraz z całym układem słonecznym jest nieuchronna. Tak zwana „czarna dziura", która znajdowała się w naszej galaktyce, w bezpiecznej, jak przypuszczano odległości, rozszerzyła swój zakres przyciągania w kierunku naszego Układu Słonecznego. W chwili powrotu ekspedycji Układ Słoneczny był już w zasięgu jej oddziaływania. Zagęszczona materia spowodowała przyspieszenie ruchu planet naszego układu, który można by przyrównać do leja wirowego ze zwiększającą się stale prędkością. W powszechnym, ludzkim odczuciu, przyspieszenie to jest niezauważalne. Jedyną zmianą, jaką może odczuć mieszkaniec Ziemi, jest podwyższenie temperatury. Niestety, cieplejszy klimat stał się jedynie tematem rozmów towarzyskich, zamiast poważnych badań naukowych.

Nie jestem lekarzem i nie umiem docieć, dlaczego organizmy żywe tak łatwo zaakceptowały i przystosowały się do tego niezwykłego przyspieszenia. Nie wiem również, dlaczego nas pięciu, którzy w początkowej fazie procesu byliśmy poza zasięgiem oddziaływania, nadal mu nie ulegamy, zachowując nasz poprzedni zegar biologiczny. Myślę, że te problemy nigdy nie zostaną rozwiązane, bo nie będzie już żadnych następnych pokoleń, które mogłyby zająć się dalszym rozwojem nauki.

■


MICHELANGELO MIANI

Parnicki Teodor

(ur. 1908)

Powieściopisarz

Urodził się 5 marca 1908 r. w Berlinie. Dzieciństwo spędził w Rosji, ukończył gimnazjum polskie w Charbinie. Debiutował w roku 1928 artykułem „Henryk Sienkiewicz a Aleksander Dumas (ojciec)". Do kraju powrócił w 1928 r., studiował polonistykę, orientalistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Współpracował z „Kurierem Lwowskim" (1932–1934), „Kurierem Literacko-Naukowym" (1933–1938), „Przeglądem Powszechnym", tygodnikiem „Droga" (1935–1936). Jako prozaik debiutował w „Lwowskim Kurierze Porannym" powieścią „Trzy minuty po trzeciej" (1929-1930). W 1939 r. był stypendystą Polskiej Akademii Literatury w Bułgarii, Grecji, Konstantynopolu i we Włoszech. Od 1940 r. w Rosji. W latach 1941–1943 attaché kulturalny ambasady polskiej w Kujbyszewie, współredaktor pisma „Polska". Przebywał w Teheranie, Jerozolimie i w Anglii; w latach 1944–1945 pracował w poselstwie polskim w Meksyku, później poświęcił się pracy pisarskiej. W 1967 r. powrócił do Polski. Laureat nagrody im. W. Pietrzaka (1963, 1971), Nagrody Państwowej I Stopnia (1972), nagrody Prezesa Rady Ministrów I Stopnia.

Autor kilkunastu powieści historycznych, obejmujących około 2 tysięcy lat istnienia cywilizacji, ukazujących wzajemne związki kultur Azji Środkowego i Bliskiego Wschodu, zwłaszcza Bizancjum z kulturą łacińską w epoce przenikania chrystianizmu do kultury antycznej. Są to m.in. „Aecjusz ostatni Rzymianin" (1937), „Srebrne orły" (1949), „Koniec Zgody Narodów" (1957), „Słowo i ciało" (1959), „Śmierć Aecjusza" (1966), „Zabij Kleopatrę" (1968). Tematem wspomnianych powieści są dyskusje toczące się wokół wielkich przełomów historycznych, sposobów powstawania nowych formacji dziejowych, możliwości dotarcia do autentycznego przebiegu wydarzeń.

Teodor Parnicki określa swoją prozę mianem powieściopisarstwa „historyczno-fantastycznego", tzn. twórczością zachowującą podstawowe wyróżniki powieści historycznej z równoczesnym wprowadzeniem w obręb świata przedstawionego faktów celowo przeinaczonych, niezgodnych z prawdą historyczną, po to, aby na ich podstawie śledzić mechanizmy rozwoju procesu dziejowego. W książce „Historia w literaturę przekuwana" ujawnia Parnicki metodę swojego warsztatu pisarskiego: *Wyjmuję z gmachu historii jedną cegiełkę opatrzoną wiarygodną jej pieczęcią i wkładam inną, rozważając wszystkie skutki takiego zabiegu.* W ten sposób powstaje fikcyjny świat – wariant przebiegu wydarzeń historycznych, który nosi znamiona „historii alternatywnej" (lub inaczej: „uchronii"), polegający na ukazywaniu innych modeli procesu dziejowego zapoczątkowanych wydarzeniami fikcyjnymi, możliwymi, lecz naprawdę nie zrealizowanymi („Tożsamość", Czytelnik 1970; „Muza dalekich podróży", Pax 1970). Jest to zabieg podobny do „eksperymentu myślowego" SF: sprowadza się do odpowiedzi na pytanie „co byłoby... gdyby" – choć materiałem świata przedstawionego utworów są teraz realia historyczne, a celem „historii alternatywnych" staje się poznanie ukrytych uwarunkowań procesu dziejowego. I tak na przykład fragmentem „Muzy dalekich podróży" staje się powieść „Mogło być tak właśnie" ukazująca konsekwencje zwycięstwa Polski w powstaniu listopadowym. W wyniku takiego układu wydarzeń powstało niepodległe królestwo kierowane przez wybitnych romantyków: Krasiński pełni funkcję ambasadora w Petersburgu (jest równocześnie autorem znakomitych powieści historycznych), Mickiewicz – ministrem oświaty i premierem, Słowacki przebywa na emigracji w Meksyku, ale wraca do kraju pisząc „Króla Ducha" (po kilkunastu latach Polska ponownie traci niepodległość i historia powraca do swego naturalnego łożyska).

Symbolem niepokojów metafizycznych człowieka i jego tęsknot poznawczych jest w twórczości Parnickiego – Atlantyda (zob. „Twarz Księżyca", t. 1–2, PAX 1961; „Tylko Beatrycze", PAX 1962). Trawestuje tu Parnicki mity znane z historii kultury: grecką legendę o zatopionej Atlantydzie, opowieści

pożółkłe kartki

Teodor Parnicki

Nowa baśń

część V

Wylęgarnie dziwów

– Byłam tam. Przyglądałam się. Przysłuchiwałam się. Wróciłam. Daleka droga i trud wielki, ale to i tamto opłaciło się.

– Wam, pani?

– Także i mnie. Dla matki każdej jest, nie może nie być, ważne, czego dokona syn. Co z ciebie czy poprzez ciebie ciśnie w przyszłość. Za co będzie przed przyszłością odpowiedzialny.

Ale bardziej jeszcze chyba wędrówka moja sprzed chwili wam się opłaci, najprzewielebniejszy panie arcybiskupie. Spełnijcie tylko moją prośbę. Jedną jedyną prośbę. A możecie ją spełnić, choć możliwość ta wyda się wam niepodobieństwem. Mnie samej jeszcze chwilę temu wydawała się własnym przeciwieństwem, czyli niemożliwością.

Ale tam, skąd wracam, dowiedziałam się, iż rzekomo nieodwracalne dokonania są w rzeczywistości propozycjami tylko. Propozycjami boskości, kierowanymi do człowieczeństwa. Umieracie, ojcie Aronie. Umrzecie – wedle zegara tu na ścianie – wcześniej niż za ćwierć godziny. Ale tam, skąd wracam, zdołają rozciągnąć każdą godzinę choćby do wymiarów tysiąclecia. Ale aż tysiąclecia nie potrzebujecie. Wysłuchajcie więc propozycji.

Postanowiliście zamieszkać pośmiertnie w synu moim, Stanisławie, i uzyskaliście jego zgodę na takie swoje w nim zamieszkanie. Zechciejcie i to swoje postanowienie, i zgodę mojego syna uczynić niebyłymi.

– Tego nie zdołałbym, choćbym nawet i zechciał. Mógłbym najwyżej – jeśli wydałoby mi się to słuszne – cofnąć takie swoje postanowienie i o cofnięciu tym zawiadomić waszego syna. Ale po pierwsze: nie wydaje mi się to być słuszne.

Po drugie: gdyby i wydało mi się to być słuszne, nie zdążyłbym syna waszego o cofnięciu postanowienia, iż zamieszkam w nim, powiadomić, skoro umrzeć mam wcześniej niż za ćwierć godziny.

– Powiedziałam: może ćwierć godziny przetworzyć się nawet w tysiąclecie. Powiedziałam też, że cokolwiek dokonałoby się, albo istotnie byłoby się dokonało, albo stanowiłoby sobą tylko propozycję dokonania się. Od was zależy, czym z dwojga miałoby być – właśnie cokolwiek bądź, więc także i postanowienie wasze, o którym mowa.

– Nie rozumiem. Wszedł Juliusz Cezar w marcowe Idy do senatu i został zabity. Czy to również mogłaby być tylko propozycja?

– Będzie mogła być.

– Czyli inaczej: jakiekolwiek bądź Boże zamysły, które wedle rozeznania świadomości mojej już się dokonały, mogłyby nie okazać się dokonaniem?

– Nie mówię: mogłyby. Mówię: będą mogły.

– I sprawdziliście osobiście, iż będą mogły?

– Sprawdziłam. Miałam zakończyć życie w roku tysiąc trzydziestym piątym, lecz wracam oto z odwiedzin roku tysiąc dziewięćsetnego i któregoś. Którego dokładnie, nie sprawdziłam. Za wiele było lat, przez które przeszłam. Znużyły mnie. Przestałam je liczyć w chwili pewnej.

– Jestże sygnalizowana przez was możliwość zastępowania dokonań propozycjami tylko uzgodniona z wolą Bożą?

– Tak mnie zapewniano. Ale przyznam się: nie nazbyt w to wierzę.

– Nazbyt blisko natomiast ja jestem stanięcia twarzą w twarz z boskością, bym mógł zadowolić się czymkolwiek bądź, co by nie było doskonałą pewnością.

– Rozumiem was. Lecz właśnie i dlatego też – między innymi – upraszam przewielebność waszą, by uczyniła niebyłym postanowienie swe zamieszkania pośmiertnie w synu moim. Postawię zresztą sprawę inaczej jeszcze: czy jest dla was całkowicie obojętne, w kim byście pośmiertnie zamieszkali?

– Nie jest to dla mnie obojętne. Zamieszkanie w synu waszym zostało rozważone przeze mnie wszechstronnie, wyczerpująco i najstaranniej.

– Jest to przecież zawsze wielkie ryzyko zamieszkać gdzieś, gdzie się nie było na świat przyszło. Właściciele mieszkań nie są wieczni; niektórzy zaś pomiędzy nimi okazują się nieraz kapryśni; dzisiaj jest wcale miły im podnajemca, nie dostrzegają w nim skazy żadnej; jutro wyda się im nieporządny, nieodpowiedzialny, niesumienny – tak czy owak nie do zniesienia.

Zwiedziłam zresztą w drodze tej, jaką właśnie odbyłam, wszystkie wasze mieszkania pośmiertne. Jeśli w ogóle należy im się nazwa mieszkań, czego wcale nie jestem pewna. Kliteczki, tak by je raczej nazwać należało. Wszystkie w tym samym domu. Na oko ogromny, ale wewnątrz ciasno w nim, duszno i mroczno.

o Wyspach Szczęśliwych z ksiąg Jambusa, poszukiwanie świętego Graala przez błędnych rycerzy. Motyw ten znika w pisarstwie Parnickiego po ukończeniu drugiego tomu „Nowej baśni": Atlantyda staje się teraz obiektem poznania empirycznego (epoka wypraw Kolumba.) W pierwszej części piątego tomu „Nowej baśni" („Wylęgarnie dziwów", PIW 1968) pojawia się nowa perspektywa – przerażenie możliwościami nauki, następstwami jej rozwoju, które mogą obrócić się przeciwko człowiekowi. Narratorem powieści jest nieznany autor z XVII wieku, który opisuje wydarzenia dziejące się w 300 lat później. Akcja książki rozgrywa się w II połowie XX stulecia. Zamiast marzenia o raju na Ziemi odkrywamy tu przerażającą wizję społeczeństwa technokratycznego i totalitarnego, w którym jednostka liczy się tylko jako jeden ze szczebli w hierarchii służbowej. Mędrcy, ukryci na wyspie, przez długie lata prowadzili badania naukowe i knowania polityczne. Dzięki niezwykłym wynalazkom technicznym zawładnęli światem podporządkowując sobie resztę społeczeństwa.

Nie ulega wątpliwości, że „Nowa baśń", mimo stylizacji na tekst XVIII-wieczny, przypomina bardziej „Nowy wspaniały świat" Aldousa Huxleya, aniżeli optymistyczną utopię Bacona. Odnajdujemy tu zarówno świadectwo wyobcowania humanisty w niezrozumiałej dla siebie, stechnicyzowanej kulturze, jak i poczucie zagrożenia roli pisarza w społeczeństwie masowym, w którym nie ma miejsca na kult indywidualności artysty. Parnicki przeniósł w przeszłość historyczną problemy współczesnej epoki: wieku atomu i komputerów, środków masowego przekazu, podróży kosmicznych.

Powieści Teodora Parnickiego nie należą do lektur łatwych w odbiorze. Wymagają ogromnej orientacji w historii kultury i znajomości współczesnych technik narracyjnych. Autor rezygnuje z wątków anegdotycznych, jego książki są intelektualną opowieścią o mechanizmach procesu dziejowego, modelowaniu historii i ograniczeniach towarzyszących poznawaniu historii. Istotną funkcję pełni tutaj kategoria czasu, związków przyczynowych pomiędzy przedstawionymi wydarzeniami. Parnicki zrywa z determinizmem czasowym – obok obiektywnego czasu trwania istnieje w jego utworach drugi plan czasowy o subiektywnym charakterze. W czasie rozmów, dialogów, dyskursów przywoływane są wydarzenia z przeszłości, w myśleniu bohaterów odbywa się nieustanna wędrówka w czasie. Człowiek wyobraża sobie cel, ku któremu zmierza, konstruuje wizję czasu przyszłego. Wielu bohaterów „Nowej baśni" można określić jako inżynierów społecznych planujących kształt ustroju; utopia w „baśni nad baśniami" jest beletrystycznym programem zmian ustrojowych, które dokonają się w przyszłości. Wiele w powieściach Parnickiego wehikułów czasu i pojazdów czasoprzestrzennych – są to pewnego rodzaju chwyty, które służą prezentacji subiektywności ustaleń czasowych i historycznych – wszystko leży w jednej płaszczyźnie, dalekie i bliskie, wszystko jest projekcją wyobraźni pisarza.

Historyczno-fantastyczne pisarstwo Teodora Parnickiego znajduje analogię w światowej literaturze fantastyczno-naukowej (zob. np. „Człowiek z Wysokiego Zamku" Philipa Dicka, opisujący sytuację, w której Niemcy wygrały II wojnę światową). Mechanizm „historii alternatywnej" nie jest niczym nowym, zastosował go już L. Geoffroy w utworze „Napoleon Apocryphe" (1836), w której ukazał zwycięską kampanię Napoleona w Rosji. Do powieściopisarstwa historyczno-fantastycznego zbliżają się również utwory, które opisują wyimaginowane zdarzenia umieszczone w równie fikcyjnej czasoprzestrzeni (np. opowiadanie Jerzego Grundkowskiego w tomie „Annopolis, miasto moich snów", „Rękopis z Amalfii" Marka Baterowicza). Tego rodzaju utwory w języku potocznym określane są mianem „fantastyki historycznej".

Bibliografia wybrana:

– M. Czermińska, *Teodor Parnicki*, Warszawa 1974 r.
– A. Chojnacki, *Parnicki w labiryncie historii*, Warszawa 1975
– W. Jamroziak, *Co to jest powieść historyczno-fantastyczna?* (w:) Nurt 1976/8.
– T. Parnicki, *Historia w literature przekuwana*, Warszawa 1980.
– W. Sadkowski, Twórczość 1969/3,
– J. Łukasiewicz, Tygodnik Powszechny 1968/37.
– W. Billip, Nowe Książki 1968/18.

pożółkłe kartki

Pomyślany dziwacznie, a zbudowany dziwaczniej jeszcze.

Straszy w nim też, słyszałam. Choć, co prawda, słyszałam też, że strachy to tylko na Lachy. A wyście nie Lach, choć w ziemi laskiej jaśnie oświecony i arcydostojny, i najprzewielebniejszy arcybiskup. Poznać ten dom powinniście, zanim się tam sprowadzicie. Zowie się nowa baśń. Wchodzi się doń, jak się chce, ale wyjść można tylko przez dwie – umieszczone tuż jedna nad drugą bramy. Wewnętrzna zowie się baśń nad baśniami, czyli księga nowa o misce soczewicy. Zewnętrzna zaś – wylęgarnia dziwów. Wejdźcie, zapraszam.

– Toż to kilka grubych tomów. Czytania byłoby chyba na trzy miesiące. A ja mam umrzeć wcześniej niż za ćwierć godziny.

– Wystarczy ćwierć ćwierci. Istnieć będzie pewien szczególny przyrząd. Nazwy mu nie dadzą, tylko liczbę porządkową, mianowicie trzysta trzydzieści pięć. Będzie władny przetwarzać wszelkie możliwe pisma w zestawy błysków świetlnych. Na odczytanie odpowiednika świetlnego wszystkich tomów nowej baśni wraz z obydwoma zakończeniami trzeba tyle czasu, co na wyrecytowanie na głos takiego na przykład wiersza:

Tourney, masques, theatres better become
our halcyon days; what thouhg the German drum
bellow for freedom and revenge, the noise
concerns not us, nor should divert our joys.

– Nie znam takiego języka.
– To angielski.
– To nie jest angielski.
– Jest. Zmieni się w toku pięciuset z górą lat, jak w toku tysiąca zmienią się sposoby utrwalania myśli i wyobrażeń ludzkich.

– Cóż ten wiersz głosi?

– O tym dowiecie się, ale nie teraz. Teraz – proszę – patrzcie na ścianę. Widzicie błyski świetlne? Tekst to o nowej baśni. Rozumiecie sens błysków?

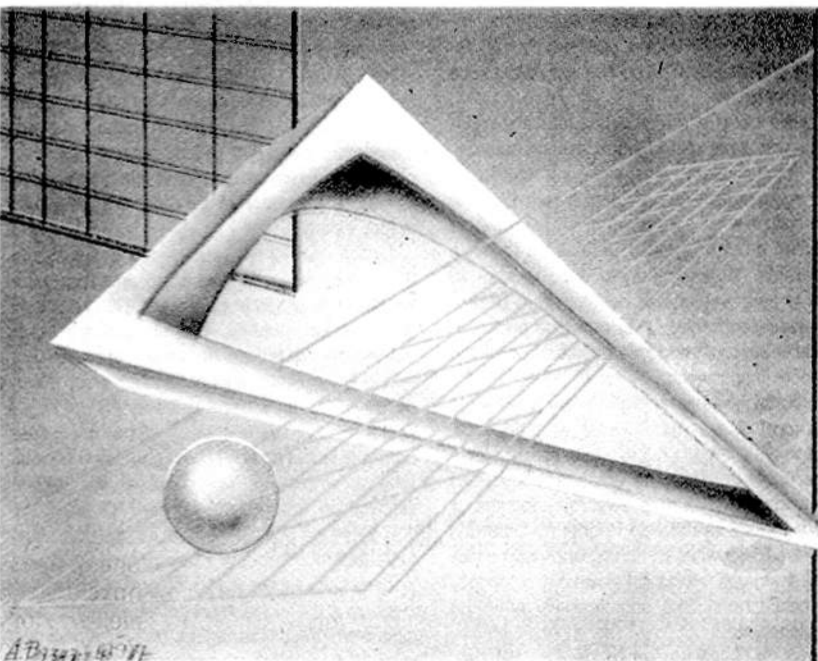
– Rozumiem. Dziwne to, ale rozumiem.

– Wiele jest rzeczy na niebie i na ziemi, o których się nie śniło filozofom. Przecież przyśni się. Wcześniej czy później.

– Już przeczytałem.
– Wnioski?
– Nie spodobają się wam, pani.

Opracował
Andrzej Niewiadowski

Teodor Parnicki, „Nowa baśń", cz. V „Wylęgarnie dziwów", PIW 1968, wybór ze stron 325-329.



Andrzej Brzezicki

Wielkolud pod twoim regałem

Czy macie państwo znajomy komputer? I znajome dziecko płci dowolnej przynależne do owego komputera?

Jeżeli tak, to popatrzcie proszę, jak dziecko posługuje się klawiaturą lub dżojstikiem, z jaką somnambuliczną pewnością prowadzi pękatego ludzika na planszy komputerowej gry. Przecież nie wiadomo CO trzeba zrobić, CO trzeba odnaleźć, CO trzeba zdobyć, żeby wyprowadzić ludzika z fantastycznie poplątanego układu pułapek. Nie wiadomo nawet, czy jakieś rozwiązanie istnieje, a jeżeli istnieje, to jakie jest.

My, dorośli, posadzeni do takiej gry tracimy dni, ba, tygodnie na rozwiązanie problemu, dziecko dokonuje tego w ciągu kilku godzin. Bo dziecko skupia się na tym fragmencie gry, który w tym momencie trzeba rozwiązać, a my, dorośli, staramy się objąć całość pola albo przeanalizować sytuację co najmniej na kilka ruchów naprzód. Na naszego ludzika walą się głazy, pochłaniają go zapaście, pożera niesympatyczny stwór przypominający trupią czaszkę na pajęczych nogach, zaś ludzik dziecka odnajduje w najbardziej nieoczekiwanym miejscu złoty kluczyk otwierający zatajone wyjście.

To wcale nie jest reklama komputera „Atari", „Commodore" czy „Amstrad". To jest wstęp do książki Marty Tomaszewskiej „Wielkolud z Jaskini Piratów albo tajemnica czwartej ściany".

Każdy, kto lubi uporządkowaną fabułę z logicznym ciągiem umotywowanych i wytłumaczalnych zdarzeń, poczuje się przepłoszony już po przeczytaniu kilku pierwszych stron. Nad lekturą zawiśnie pełne tragizmu pytanie: Co to znaczy? Skąd się to wzięło? Kim jest ta postać?

Bo tej książki nie wolno czytać nizając pracowicie logiczne następstwo faktów, trzeba jej się poddać nie pytając dlaczego tak jest, warunkiem jej percepcji jest podporządkowanie się narracji jak fali morskiego przypływu, dać się nieść bez obawy, zaufać fantazji pisarskiej.

Od pierwszego zdania wiemy, że wchodzimy w tajemnicę. „Na piątym drzewie mieszka sowa" – mówi Owczarz, sztywne łodygi jasnozielonego żarnowca palą się żółtymi kwiatami, wielkolud śpi zakrywszy twarz kapeluszem.

Jakby punktując światłem reflektora poznajemy fragmentami codzienność Niby-wyspy; Tomaszewska nie pokazuje nam rozległej panoramy ani działania wynikającego z kontekstu, pokazuje cząstkę rzeczywistości, ale na tej cząstce przez moment skupia całą naszą uwagę pozwalając, by poza tym jednym jaskrawo oświetlonym punktem zalegała ciemność. Czy liść, który widzimy z delikatnym kutnerem od spodu, ze splotem żyłkowania, z jędrnym ogonkiem niknącym w mroku, jest tylko liściem? A może rośnie na gałęzi? Może gałąź wyrasta z pnia drzewa? A może to drzewo jest częścią wielkiego lasu? Najważniejsze, że i liść, i istniejący lub nie istniejący las, są częścią tajemnicy, częścią zagadki.

Kiedy teraz napiszę, że „Tajemnica czwartej ściany" rozgrywa się na Niby-wyspie, że bohaterem jest Franek, że Niby-wyspę zamieszkują: ciotka Weronika, Króliczek, Mapciuszek i Sasanka, pies Nalewka i Krowia Łatka lubiąca bardzo głośno ryczeć, że Owczarz ma torbę, a Wielkolud śpi – to nie wyjaśniając niczego wystawię tylko złe świadectwo swojej własnej wrażliwości. Kiedy dodam, że Niby-wyspa jest tylko przejściem do innej rzeczywistości, może do innego wymiaru istnienia, też w żadnym stopniu nie przedstawię „Tajemnicy czwartej ściany", ponieważ, jak się rzekło, książka ta może być odbierana tylko w zgodzie na niepoznawalność rzeczywistości.

Marta Tomaszewska próbuje oswoić nas ze stwarzaniem metarzeczywistości. Dwa śmieszne stworki, Mapciuszek i Króliczek, rozjaśniają mrok, w który wchodzimy, by nagle w jaskrawym rozbłysku dostrzec coś nieznanego, jeszcze jeden odłamek rozbitego zwierciadła, żeby pochwycić czyjś gest, uśmiech, podsłuchać czyjąś myśl. Materia książki Tomaszewskiej jest zbudowana ze spojrzeń. Widzimy, a więc stwarzamy:

Najpierw spojrzała ku niebu. Niebo miało kolor rtęci. Potem wolno przeniosła wzrok w dół. Ocean rozpościerał się nieprawdopodobnie blisko. Pas wydm przetkany kępami żarnowca, bardzo tutaj szeroki, jak gdyby się skurczył (...) Sasanka wpatrzona w jasnozielone, jakby podświetlone od dna, wody oceanu po raz pierwszy poczuła ten lęk. (str. 9)

Spojrzeli. Przed nimi wisiała ogromna zasłona modroszarego światła, które wypełniało przestrzeń od nieba do ziemi. Ponad górami płynęło pierzaste pasmo (...) zabarwiło się złotem, roze-

Gwiazdy, biznes i psychoanaliza

Osobiście nie lubię neurasteników, a wszelkie metody psychoanalityczne okropnie mnie drażnią. Uważam, iż człowiek powinien pomóc sobie sam, a tylko w wyjątkowych wypadkach należy zwracać się do psychologa czy psychiatry. Inna sprawa, że aż do końca książki, noszącej angielski tytuł „Gateway" (co w przekładzie polskim stało się wręcz nazwą własną), nie jest wiadomo, po co jej bohater Robinette Broadhead – odbywa regularne seanse spirytystyczne... tj., chciałem napisać, psychoanalityczne. Wyjaśnienie jest rzeczywiście zaskakujące, ale uważam, że można byłoby się obejść bez tej całej psychopatycznej psychoanalizy pełniącej w książce rolę oficera śledczego, prokuratora, sędziego i na dodatek kata w specyficznym wydaniu. Nie sposób nie mieć po tym wszystkim kaca psychicznego.

O wiele bardziej odpowiadała mi warstwa fabularna rzeczonej książki, poprzetykana ogłoszeniami, komunikatami, uwagami i komentarzami. Co prawda początkowo miałem autorowi za złe komercjalizm w tak szczytnym dziele jak otwarcie (odkrycie) drogi do gwiazd. Jednak po namyśle stwierdziłem, że wszystko jest w porządku – to raczej w naszej literaturze pokutuje owo beztroskie przeświadczenie, iż tak poważne przedsięwzięcia kosmiczne mogą się obejść bez wielkich nakładów finansowych.

Prawo zachowania energii-materii (czyli – nic za darmo!) obowiązuje również w ekonomice. Kto tego nie wie bądź nie rozumie, naraża siebie (i całe społeczeństwo) na drastyczne kryzysy i niepowodzenia. A zatem zwyczaje opisane w książce (opłaty za dotarcie i pobyt na Gateway) są bliższe rzeczywistości niż utopijno-naiwne historyjki, w których nie ma ani słowa o tym, kto łoży na tę całą astronautykę, bohaterskie wyprawy na inne planety itd.

Pobyt na Gateway również nie jest sielanką. Trudne warunki, obce, nienaturalne środowisko, niepewność, czy się cokolwiek osiągnie i czy oczekiwanie, a potem wyprawa w Nieznane przyniesie sukces. Na Gateway obowiązują swoiste reguły przetrwania – surowe w sferze materialnej, dość swobodne w sferze obyczajowej. A oprócz tego każdy przybywający na tę sztuczną planetoidę musi przejść specjalne przeszkolenie, które umożliwi mu podróż do gwiazd. Daleko w tym wszystkim do romantyzmu wczesnej astronautyki. Zresztą i warunki wypraw są inne. Jedynie gwiazdy pozostały takie same.

Właśnie, gwiazdy – ludzkość nareszcie uzyskała do nich dostęp, ale nie sobie to zawdzięcza, lecz tajemniczym Heechom. Pozostałości po pobycie supercywilizacji Heechów w Układzie Słonecznym zostały po raz pierwszy odkryte na Wenus, o czym powiadamia nas wcześniejszy utwór Frederika Pohla „Kupcy wenusjańscy" (zob. „Fantastyka" nr 1/1987). Drugim artefaktem pozostawionym w naszym Układzie przez Heechów okazała się sztuczna planetoida, obiegająca Słońce w płaszczyźnie prostopadłej do płaszczyzny ekliptyki.

Ludzie nazwali ten twór Heechów Gateway – Brama, ponieważ stanowił urządzenie (bazę) pozwalającą na dotarcie do gwiazd. Co prawda nigdy nie było wiadomo, w okolice jakiej gwiazdy trafi ten czy ów pojazd Heechów, nie znane były też zasady pokonywania przestrzeni przez pojazdy „składowane" w bazie-Gateway. Nie do końca został rozszyfrowany sposób sterowania pojazdami, ale ludzie podjęli ryzyko podróży w Nieznane – zarówno dla celów naukowych, jak i komercjalnych. W trakcie tych wypraw odkryto Gateway-2, ale ani o włos nie zbliżono się do rozwikłania zagadki Heechów. Posługiwano się ich pojazdami niewiele wiedząc o ich prawdziwym przeznaczeniu. Komu się szczególnie powiodło podczas eksploracji Nieznanego (odkrycia naukowe wielkiej wagi, artefakty pozostałe po Heechach lub po innych cywilizacjach pozaziemskich na planetach odległych gwiazd), ten miał zabezpieczony byt aż do końca swoich dni. Takim szczęśliwcem jest bohater książki – Robinette Broadhead. Powiodło mu się jak nikomu przedtem, mimo to wcale nie jest szczęśliwy, coś go dręczy i dlatego ucieka się do psychoanalizy... Równolegle z seansami śledzimy drogę bohatera do gwiazd, by w końcowych rozdziałach dowiedzieć się, iż Broadhead wraz ze współtowarzyszami „niedoli śródgwiezdnej" dotarł w pobliże koplasaru, skąd wydostał się sam, porzucając współpodróżników na „pastwę" czarnej dziury. I tu dopiero dowiadujemy się prawdy... Opływający w dostatki bohater jest i zarazem nie jest zabójcą! Albowiem ofiary jego tchórzostwa (?) nadal żyją, chociaż od ścieczki z kolapsaru upłynęło kilkadziesiąt lat! Co więcej – dla porzuconych upłynęło zaledwie kilkanaście minut. Taka jest natura czasu w silnych polach grawitacyjnych. Można więc wrócić po dawnych współtowarzyszy i uratować ich przed zupełnymześlizgnięciem się pod sferę Schwartzschilda. Bohater, w ciągu całego swego dostatniego życia nie podjął jednak najmniejszej próby, żeby ocalić byłych współpasażerów. Jemu się powiodło... Ale wyrzuty sumienia pozostały i zapóźnione, prawdziwe tchórzostwo nie pozwalało korzystać mu w spokoju ze zdobytej pozycji społecznej. Stąd właśnie szanse psychoanalityczne z komputerem, który w ostatnim zdaniu wyjawia bohaterowi, że zazdrości mu życia. Nawet takiego, pełnego winy, strachu i bólu. Ale za to prawdziwego życia!

Więc chociaż nie lubię psychoanalizy, a rozdziały wypełnione dyskusją z komputerem uważam za nudne – przyznaję, że końcówka jest znakomita i w jakimś stopniu (w dodatku przewrotnie) tłumaczy niechęć do psychoanalizy.

T. Zbigniew Dworak

Frederik Pohl: *Gateway – Brama do gwiazd.* Przekład: Małgorzata Iwińska i Piotr Paszkiewicz. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1987. Cena 380 zł.

rwało się i przez mgnienie były to zgłoski blasku. (str. 91)

Materia książki Tomaszewskiej jest także zbudowana z myśli, ale jest to myślenie intuicyjne, odbierające, rejestrujące i całkowicie bezradne wobec tajemnicy, chociaż czasami wizjonerskie lub starające się wniknąć w istotę utajonego sensu, przechwycić sygnały od nieznanego:

Tego dnia, kiedy przestała czekać – wylądował naprawdę, nie na niby i był naprawdę nie na niby (...). I od jego przybycia właściwie już nic nie pozostało takie samo. – Ostatnia chwila – warknął głos – ostatnia chwila! – Wydostaniemy się stąd, ale muszę wiedzieć... – Skąd wiesz, że chcę się wydostać? – Wiem. (str. 71)

Te słowa, jego własne słowa eksplodowały była to doprawdy eksplozja, bo cała dokoła rzeczywistość rozprysła się na kawałki, a kiedy po sekundzie wszystko wróciło na miejsce, Franek wiedział już, że przed nim nie stoi nikt, że w ogromnym, kwadratowym lustrze widzi własne odbicie, widzi siebie. Krzyknął coś, czego sam nie rozumiał. (str. 165)

A więc książka Tomaszewskiej jest tworem zrodzonym z fantazji odmieniającej znane w nieznane. Takie odwrócenie tradycyjnej relacji jest czymś nowym w polskiej literaturze, ale ma czcigodnych i uznanych antenatów: „Romans o Róży" Jana de Meung i „Opowieść o świętym Graalu".

Owe średniowieczne opowieści prowadzą w rzeczywistość nie istniejącą, przemieniającą zwykłość w symbole i alegorie, operują znakiem, niczego nie wyjaśniają, świadome od początku, że świat wymyślony nie podlega żadnym osądom. Wypisano całe tomy, by objaśnić, czym był lub czym mógł być święty Graal, armia komentatorów próbowała określić istotę Róży z *hortus clausus*, ogrodu zamkniętego. A przecież i tajemnicza czara, i mistyczny kwiat są tylko tym, czym pragniemy, by były, są w równej części tworem wyobraźni swoich autorów, jak i naszym własnym.

Nie inaczej jest z „Tajemnicą czwartej ściany". Autorka, a my z nią razem, tworzymy własną wersję niepoznawalnego. Autor i my jesteśmy omylni. Autor i my – jesteśmy wszechwiedzący. Wiemy wszystko. Nie wiemy nic.

Trudno mi sobie wyobrazić kogoś, kto przeczytawszy, odłożyłby książkę Tomaszewskiej i zaraz o niej zapomniał. To po prostu niemożliwe. „Tajemnica czwartej ściany" musi pozostawić niepokój, jakoś zburzyć zwykłość naokoło nas. Czy pod ścianą naszego pokoju na tle regału nie usiadł na podłodze smutny, milczący wielkolud? Czy na parapecie o poranku nie rozśpiewał się purpurowy drozd?

Oczywiście można przeczytać tę książkę i powiedzieć: „Nie rozumiem".

A teraz coś w rodzaju puenty:

Radiowa reporterka poszła do kina na seans „Nie kończącej się opowieści", a ponieważ była w kinie służbowo, po skończonej projekcji zabiegała dzieciom drogę i pytała:

– Powiedz, czym twoim zdaniem jest ta Nicość?

– Przecież to nieważne.

– Ona jest inna dla każdego.

– Po co pani pyta? Ona jest i już.

– Pani nie wie?

– Nie trzeba o niej mówić.

To nie były takie odpowiedzi, jakich reporterka oczekiwała, więc po powrocie do redakcji wygłosiła opinię, że dzieci są dziwne i skasowała taśmę.

Tak, proszę państwa. Dzieci są dziwne. I dlatego dla nich, a nie dla nas, Marta Tomaszewska napisała taką piękną i dziwną książkę.

Ewa Nowacka

Marta Tomaszewska: *Wielkolud z Jaskini Piratów albo tajemnica czwartej ściany.* Nasza Księgarnia, Warszawa 1987. Cena 220 zł.

1979

SF dla dorosłych (ASF):

1361. BIAŁCZYŃSKI Czesław: *Próba inwazji.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 265, nlb. 3. 50 000 egz. – Fantastyka – Przygoda.
BORUŃ K.: *Toccata* – zob. 1980 [antydat].
BOYD J.: *Ostatni...* – zob. 1980 [antydat]
1362. [BULYČËV Kirill]: *Rycerze na rozdrożach.* Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 183, nlb. 1. 30 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą"). – Na k. tyt. aut.: Kirył Bułyczow.
1363. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Fenomen Kosmosu.* Powieść, wyd. III. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 320, nlb. 4. 30 000 egz. – SF.
1364. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Powtórne stworzenie świata.* Powieść. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 219, nlb. 4. 40 000 egz. – SF.
1365. [CIOLKOVSKIJ Konstantin]: *Poza Ziemią.* Tłum. [z ros.] Andrzej Bień. Warszawa. Iskry. 8° ss. 192, nlb. 4, tabl. 10 30 000 ezg. – Na k. tyt. aut.: Konstanty Ciołkowski.
COOPER E.: *Testament...* – zob. 1980 [antydat.]

1366. DOLECKI Zbigniew: *Muszla egejska.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 170, nlb. 2. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1367. *DUCH Galaktyki.* Zbiór opowiadań fantastyczno-naukowych. Aut.: Tadeusz Markowski [i in.]. Red. Andrzej Kudzia i Andrzej Wójcik. Gorzów. Gorzowski Okręgowy Klub Miłośników Fantastyki Naukowej. 8° ss. 93, nlb. 3. 1000 egz. – Fantazja – Nauka – Przyszłość. – Wyd. przy współudziale OKMFiSF w Warszawie.
1368. FIAŁKOWSKI Konrad: *Homo divisus.* Warszawa: Iskry. 16° ss. 175, nlb. 3 70 000 egz. – Fantastyka–Przygoda.
1369. GŁOWACKI Ryszard: *Paroksyzm numer minus jeden.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 101, nlb. 3 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1370. *GOŚĆ z głębin.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. Aut.: Krzysztof Boruń [i in.]. [Red. Lech Jęczmyk]. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 190, nlb. 2. 30 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

1371. GULÁKOVSKIJ Ëvgěnij]: *Planeta 412 bis.* Tłum. [z ros.] Tadeusz Gosk. Warszawa. Iskry. 16° ss. 165, nlb. 3. 50 000 egz. – Fantastyka–Przygoda. – Na k. tyt. aut.: Jewgienij Gulakowski.
1372. HOLLANEK Adam: *Ukochany z Księżyca.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 135, nlb. 5. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1373. *INSTAR omnium.* Aut.: Wiktor Żwikiewicz [i in.]. Red. Ewa Truszczyńska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 73, nlb. 5. 60 000 egz. – Stało Się Jutro – opowiadań fantastycznych zbiór siedemnasty. – Tyt. okł.,na k. tyt. tytuły wszystkich opowiadań.
1374. KLEIN Gérard: *Bogowie wojny.* Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. [z franc.] Andrzej Pruszyński. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 190, nlb. 2. 30 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").
1375. KOZIELECKI Józef: *Smutek spełnionych baśni.* Przedm. Stanisław Lem. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 222, nlb. 2. 20 000 egz.

1376. [KROEGER Alexander]: *Ekspedycja mikro.* Tłum. [z niem.] Mieczysław Dutkiewicz. Warszawa. Iskry. 16° ss. 352, nlb. 2 50 000 egz. – Fantastyka – Przygoda. – Na k. tyt. aut.: Aleksander Kröger.
1377. KRZEPKOWSKI Andrzej, WÓJCIK Andrzej: *Obszar nieciągłości.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 194, nlb. 2. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1378. KURPISZ Mieczysław: *Bez przerwy wypełniać tę ciszę.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 179, nlb. 5. 80 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1379. LEM Stanisław: *Powtórka.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 164, nlb. 4. 50 000 egz. – Fantastyka – Przygoda.
1380. PROSTAK Zbigniew: *Kontakt.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 193, nlb. 3. 100 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.

ROUSSEL R.: *Locus...* – zob. U.
1381. SAWASZKIEWICZ Jacek: *Przybysz. Wyznanie. Potestas.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 70, nlb. 2. 40 000 egz. – Stało Się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór szesnasty.
1382. SAWASZKIEWICZ Jacek: *Sukcesorzy.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 219, nlb. 1. 30 000 egz. – SF.
1383. SHAW Bob: *Człowiek z dwóch czasów.* Tłum. [z ang.] Zofia Uhrynowska-Hanasz. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 139, nlb. 1. 40 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").
1384. SHUTE [właść. NORWAY-SHUTE] Nevil: *Ostatni brzeg.* Tłum. [z ang.] Zofia Kierszys. Wyd. V. Warszawa. Książka i Wiedza. 8° ss. 286. nlb. 2. 50 000 egz.
1385. STRUGACKI [J] Arkadij, STRUGACKI [J] Borys [właśc.: Boris]: *Przyjaciel z piekła.* Powieść fantastyczno-naukowa. Tłum. [z ros.] Irena Lewandowska. Warszawa. Czytelnik 16° ss. 102, nlb. 2. 50 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").

1386. SZABLICKI Janusz: *Trzecie stadium ewolucji.* Opowiadania fantastyczno-naukowe. Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss. 188, nlb. 4. 20 000 egz.
TOMASZEWSKA M.: *Podróż...* – zob. AF.
1387. (ŪR'ĒV Zinovij]: *Sny szybkie.* Tłum. [z ros.] Henryk Józefowicz. Warszawa. Iskry. 16° ss. 215, nlb. 1. 50 000 egz.– Fantastyka – Przygoda. – Na k. tyt. aut.: Zinowij Jurjew.
1388. WEINFELD Stefan: *Władcy czasu.* Warszawa 1978 [antydat.] Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 194, nlb. 2. 60 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1389. WNUK-LIPIŃSKI Edmund: *Wir pamięci.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 209, nlb. 2. 30 30 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").
1390. ŻUŁAWSKI Jerzy: *Na srebrnym globie. Rękopis z Księżyca.* Wyd. VI powoj. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 325, nlb. 3. 20 000 egz.– Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Stanowi cz. I trylogii.

1391. ŻUŁAWSKI Jerzy: *Stara Ziemia.* Wyd. IV powoj. Posłowie Michał Maszczyk. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 281, nlb. 3. 20 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Stanowi cz. III trylogii.
1392. ŻUŁAWSKI Jerzy: *Zwycięzca.* Wyd. IV powoj. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 329, nlb. 3. 20 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Stanowi cz. II trylogii.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**

O debiutach i debiutantach mówi się i pisze u nas sporo. Zrozumiałe jest, że każdy, komu dobro polskiej fantastyki leży na sercu, śledzi te sprawy z uwagą. Ci, którzy w ostatnich latach rozpoczęli żmudną drogę pisarskiej kariery, za lat dziesięć będą siłą rzeczy stanowić o obliczu naszej SF. Od warunków i klimatu, w jakim przyszło im pracować, zależy, czy osiągnie ona trwały, wysoki poziom, czy też zainteresowanie fantastyką rozejdzie się po kościach, a tworzący ją pisarze długo jeszcze będą wspominać „złoty wiek", wielki boom z lat osiemdziesiątych.

Krajobraz po debiucie

Rafał A. Ziemkiewicz

1. Wydawać by się mogło, że młodym autorom dano ostatnio absolutnie wszystko, czego mogli potrzebować. Konkursy, nagrody, plebiscyty czytelnicze, promocyjne antologie, otwarte łamy prasy – autorzy starszego pokolenia nigdy nie korzystali z takich udogodnień. Nie można tego nie doceniać. Na pewno wielu utalentowanych i obiecujących autorów długo by jeszcze musiało czekać na druk, gdyby nie szereg rozstrzygniętych w ostatnich latach konkursów. Na pewno doroczne nagrody i wysokie miejsca w czytelniczych plebiscytach pomogły im w dotarciu ze swoimi propozycjami do czytelników. Problem w tym, czy jest to wszystko, co w obecnej sytuacji można było dla młodych autorów zrobić. I zwłaszcza, czy jest to wystarczająco dużo?

2. Spróbujmy przyjrzeć się pobieżnie osiągnięciom młodej fantastyki. Jak na euforię, która towarzyszyła jej pojawieniu się na rynku, nie są zbyt wielkie. Najwięcej zdziałali autorzy starszego pokolenia, którzy debiutując nieco później od swych rówieśników, skorzystali z beneficjów, jakie przyniosły debiutantom lata osiemdziesiąte – myślę tu o Baranieckim, Zimniaku, w dużym stopniu dotyczy to też Grundkowskiego. Dzięki staraniom „Almapressu" dość szybko trafiły do księgarń cieniutkie zbiory Kochańskiego i Drukarczyka. Aż dwie książki wydał Jacek Piekara, zapłacił za to jednak, jak na autora zdobywającego dopiero pisarskie ostrogi, cenę wysoką: obie pozycje były wyraźnie niedopracowane, zrobione w pośpiechu, bardziej przypominały szkice niż skończone utwory. Na palcach jednej ręki policzyć można książki innych debiutantów, które jednak nie wzbudziły większego zainteresowania fanów ani recenzentów, przeważnie zresztą słusznie. Gdzie jest reszta? Nie wszedł dotąd na rynek księgarski, jeśli nie liczyć pokonkursowej antologii „Trzecia brama", żaden z laureatów pierwszego konkursu „Fantastyki". Wielu debiutantów ostatnich lat w ogóle nie opublikowało drugiego tekstu, dorobek większości pozostałych ogranicza się do dwóch, trzech opowiadań zamieszczonych w prasie. Można bez większej przesady powiedzieć, że młodzi autorzy nadal zapowiadają się równie dobrze jak przed kilku laty i wszystko wskazuje na to, że zamierzają się dobrze zapowiadać jeszcze długo.

Oczywiście literatura to nie fabryka królików i nie ma na razie co rozdzierać szat. Warto jednak zastanowić się, dlaczego „czwarta generacja", jak nazwał najmłodszych autorów SF Maciej Parowski, wyraźnie straciła rozpęd. Czyżby młoda literatura została po prostu przereklamowana i spodziewaliśmy się po niej znacznie więcej niż była w stanie – przynajmniej na razie – dać? Może doszło w fantastyce do zjawiska odwrotnego niż w przeżywającym chroniczny kryzys nurcie głównym – do „przedwczesnego debiutu"? Aby być pisarzem z prawdziwego zdarzenia nie wystarczy tylko opanować jako tako warsztat, choć jest to warunek niewątpliwie podstawowy (nawiasem mówiąc z tym nasi debiutanci, i nie tylko debiutanci, mieli zawsze najwięcej kłopotu), trzeba jeszcze mieć coś do powiedzenia. Pierwszego można się przy odrobinie dobrej woli nauczyć, do drugiego trzeba po prostu dorosnąć i żadne nagrody nie są tu w stanie kandydatowi na pisarza pomóc.

Może zatem w czasach ogólnej debiutomanii, której przyczyną była „czwarta generacja", wyciągnięto na scenę ludzi, których młodzieńcze dusze mieściły w sobie materiał na jedno tylko opowiadanie i ani literki więcej? Teza taka brzmi dość efektownie i sam przyłożyłem rękę do jej rozgłoszenia (zainteresowanych odsyłam do tekstu „Generacja wcześniaków", zamieszczonego w almapressowskiej antologii „1984"). Nie tłumaczy jednak wszystkiego. Ponadto opiera się na milczącym założeniu, że nowych tekstów „czwartej generacji" nie ma, a jeśli są, to tak kiepskie, że nie warto ich drukować. Tymczasem praca w kwartalniku PSMF „Feniks" dała mi możliwość lektury maszynopisów kilkunastu moich rówieśników. Piszą nadal, przeważnie rzeczy znacznie lepsze niż te, którymi debiutowali. I pomimo to nie mogą przebić się z nimi do druku.

3. Jedną z rzeczy, które w trzy lata po napisaniu „generacji wcześniaków" mogę z ręką na sercu powtórzyć, to stwierdzenie, że zadebiutować nie jest u nas jeszcze problemem. Problemem jest na rynku SF pozostać. Opublikować kolejne opowiadanie w prasie, wydać pierwszą i drugą książkę. Wszelka pomoc dla debiutantów kończy się z reguły po wydrukowaniu pierwszego tekstu. Dalej trzeba już iść o własnych siłach, nie korzystając z żadnych udogodnień.

Tymczasem sytuacja autora SF uległa w ostatnich latach nagłemu pogorszeniu. Gwałtownie zmniejszyła się liczba miejsc do druku. Jako pierwsze wycofały się z publikowania młodej fantastyki „Problemy", co zresztą było jedną z głównych przyczyn zrezygnowania ze współpracy z tą redakcją Lecha Jęczmyka. Odstąpiły od SF „Przegląd Techniczny" i różne gazety lokalne – jak np. łódzkie „Odgłosy" – zawsze zresztą drukujące fantastykę na odczepnego i mieszające teksty dobre z absolutnymi knotami. Ostatnim gwoździem do trumny dla młodych autorów stała się niedawna decyzja o zamknięciu pism PSMF, „Feniksa" i „SFery". Powód? Na rynku jest już jedno pismo specjalizujące się w fantastyce, nie ma zatem potrzeby wydawania innych. Nie wiem, jak to się stało, że na przykład ukazują się aż cztery pisma dla mikrokomputerowów. Być może jest to zwykłe niedopatrzenie...

Na placu boju pozostała jedynie „Fantastyka" oraz „Młody Technik" lansujący jeden tylko, ściśle określony typ SF i przeznaczający nań z numeru na numer coraz mniej miejsca.

Przyjmijmy optymistyczne założenie, że autorzy będą na tyle uprzejmi, aby nie przekraczać objętości 20 stron maszynopisu. Wtedy w każdym numerze „Fantastyki" będzie można zmieścić dwa opowiadania polskie, czyli 24 opowiadania w roczniku. Tymczasem autorów, którzy chcieliby regularnie publikować, mamy lekko licząc około czterdziestu (!). Przy najlepszej woli, redakcja nie może korzystać z usług jednego częściej niż raz do roku.

Oczywiście, ten ścisk dotyczy wszystkich, młodym jednak utrudnia życie znacznie bardziej niż pisarzom już uznanym. Mając do wyboru, dajmy na to, Oramusa i (załóżmy nawet, że równie dobry, ale przeważnie po prostu INNY) tekst Pipsztyckiego, każda redakcja wybierze Oramusa. Rzecz oczywista – trzeba drukować tych, których czytelnik zna i ceni. A jeśli nie chce się przy tym rezygnować z kolejnych debiutantów może się Pipsztyckiemu zdarzyć, że poleży w redakcyjnej szufladzie rok, dwa, może w ogóle nie doczeka się druku. I naprawdę nie będzie to wina redakcji.

O zaistnieniu na pisarskim rynku nie decydują jednak publikacje prasowe, choćby najlepsze, ale książki. I tu dopiero zaczyna się dla młodego autora prawdziwa gehenna.

O sprawach znanych aż nie chce się już pisać. Koń, jaki jest, każdy widzi. Papieru nie ma, drukarnie zawalone, skończył się przydział kartonu do okładek na ten rok, a jak karton będzie, to nie będzie farby albo kleju. Niejeden młody autor żywi obawy, że swą książkę zobaczy dopiero na łożu śmierci, jak Kopernik. Takiego, któremu tekst szczęśliwie przyjęto, i nawet wreszcie po trzech latach – o cudzie prawdziwy! – przygotowano skład i okładkę do druku, czeka kolejna przykra niespodzianka.

Otóż, po kilkakrotnej podwyżce cen książek, czytelnicy przestali kupować wszystko jak leci i cieszyć się, że w ogóle coś dostali. Dla rynku księgarskiego, funkcjonującego od lat w sposób iście wariacki, okazało się to ciosem nie do przetrzymania. Sprzedaż książek załamała się, hurtownie są pełne. Świeże paczki, prosto z drukarń, upycha się na ostatnich metrach półek i w ubraniowych szafkach magazynierów. Księgarze okazali się twardymi ludźmi i nie myślą ustąpić – nie wezmą nowości, dopóki nie wypchną starych cegieł. Czytelnicy z kolei marudzą, grymaszą, przebierają i szukają takiej książki, za którą będą skłonni wywalić te pięćset, sześćset złotych. Pękające w szwach hurtownie nie chcą przyjmować nowości z drukarń. Wydawnictwa nie mają gdzie magazynować swoich wyrobów. Drukarze drukują dalej – powoli, lecz nieustępliwie. Zobaczymy, kto pierwszy pęknie.

Przypuszczam, że autorzy. Wydawnictwa bowiem, chcąc nie chcąc, tną nakłady do minimum w ślad za zmniejszającymi się zamówieniami z księgarń. Jest jednak pewien nakład minimalny, poniżej którego książki po prostu nie opłaca się wydawać.

Dodajmy, że wydawnictwa w większości liczą fantastykę po stawkach „literatura sensacyjno-rozrywkowa", czyli płacą psie grosze nawet przy dużym nakładzie. Przy dziesięciu tysiącach egzemplarzy honorarium równa się trzem dniom pracy średnio utalentowanego parkieciarza. A jeżeli najnowszej książce Oramusa przyznano ostatnio 5 000 egzemplarzy, na co może liczyć Pipsztycki? Żaden księgarz nie zamówi autora, o którym w życiu nie słyszał. A nie usłyszy, bo – patrz wyżej – promocja książki w prasie jest niemożliwa. A gdyby nawet, zanim książka się ukaże, o publikacji prasowej nawet najstarsi górale nie będą już pamiętać.

W tej sytuacji poświęcenie się wyłącznie pisaniu jest niemożliwe. A bez tego być pisarzem nie sposób. Nie ma większego idiotyzmu niż głęboko zakorzenione w naszej świadomości przekonanie, że pieniędzy domaga się tylko chałturnik i ostatnia pisarska szuja. Prawdziwy natomiast twórca pisze li tylko dla sławy, od jedzenia się już odzwyczaił, a zresztą po co mu pieniądze – i tak od razu przepije. Uwierzcie mi – pisanie to nie „mediumiczny kontakt z transcendencją", to nie boskie natchnienie, ale ciężka i czasochłonna praca (autorom, którym pisanie idzie lekko zazdroszczę, szczerze ich podziwiam i starannie unikam ich twórczości). A tak już jest z każdą pracą bardziej skomplikowaną od przeładunku węgla, że jeśli chce się być dobrym, trzeba poświęcić się jej bez reszty. Autor, który osiem godzin dziennie nosi skrzynki, żeby zarobić na życie, nigdy nie rozwinie skrzydeł. To, co zrobi wieczorami i w weekendy będzie zawsze tylko cieniem jego rzeczywistych możliwości. I chyba tu jest odpowiedź na pytanie, dlaczego młodzi nie mogą przestać „dobrze się zapowiadać" i zacząć pisać na poważnie.

Skoro jesteśmy już przy książkach, trzeba dodać, że wiele wydawnictw ostatnio się na fantastyce poparzyło. Wydali byle co i byle jak, i – o zgrozo – zamiast spodziewanych kokosów straty. Wniosek – nigdy więcej fantastyki. Każdy nowy tekst z tego gatunku wyląduje bez czytania w koszu. Z kolei te nieliczne oficyny, które fantastykę publikują od lat, mają już własnych autorów i tłumaczy, w zupełności zaspokajających ich potrzeby.

Może zresztą lepsza stanowcza odmowa niż wieloletnia niepewność. Kiedy bowiem na książkę nie ma wystarczająco wielu zamówień, a tak jest i dziś z każdym utworem, który nie nosi tytułu „Morderstwo i trzy zbiorowe gwałty nad ranem", wydawnictwo po prostu wstrzymuje druk i czeka, aż sytuacja się wyklaruje, licząc, czy mniej straci na magazynowaniu nie przyjętej przez hurtownie książki, czy na zerwaniu umowy.

4. Istnieje szeroko rozpowszechniona opinia, że prawdziwy pisarz zawsze się przebije, choćby mu nie wiedzieć jakie kłody rzucano pod nogi. Będzie cierpiał, żuł niewyprawiony rzemień i pisał rzeczy genialne. Nawet jeśli skona z głodu w zapomnieniu, odkryją go wnukowie (kiedy już wygasną prawa autorskie). Jest to twierdzenie nie do sprawdzenia, ale przyjmijmy dla uproszczenia, że słuszne. Możemy zatem założyć ręce, i zapuszczać brody w oczekiwaniu na pojawienie się geniusza, przy którym nawet Lem (jemu też przecież nikt szczególnie w początkach kariery nie pomagał) okaże się osobą całkiem przeciętną.



Maciej Dworak

Może się doczekamy. Geniusz urodzi się i zadebiutuje. I co wtedy?

Nic. Objawi się i będzie. Bywało już tak w dziejach polskiej SF – na czele Lem, a za nim pustka. Czekając na drugiego Lema nie zapominajmy, że o obliczu literatury nie stanowią jej najwybitniejsi przedstawiciele, ale ci, którzy tworzą jej przeciętność. Zwłaszcza o obliczu fantastyki, która, chcemy czy nie, jest literaturą masową. W amerykańskiej SF arcydzieł wcale nie jest tak wiele, jak nam się zdaje. Ale jej poziom przeciętny jest dla nas niewyobrażalnie wysoki. Książka, którą czyta się jednym tchem (uważam, że to jedno z istotnych kryteriów, przynajmniej dla literatury masowej) u nas stanowi objawienie, tam – regułę. I o tym właśnie, o wysokim poziomie przeciętności, śni mi się po nocach. Między innymi dlatego, że od tego poziomu zależeć będzie przeciętny poziom umysłowy czytelnika, po prostu przeciętnego Polaka. Łatwo i w dobrym tonie jest ubolewać nad tłumem skandującym na cześć Isaury. Ale traktując literaturę masową jak piąte koło u wozu, wydając ją na odczepnego i bez jakiegokolwiek zainteresowania krytyki, nie należy się spodziewać niczego innego. Przeprowadzone ostatnio sondaże wykazały, że w 40 % polskich domów nie ma ani jednej książki. To chyba wystarczający powód, by uznać, że najwyższy czas coś zmienić.

5. Po pierwsze kilku poprawek wymaga nasz system rozprowadzania i produkcji książek. Sytuacja, jaka obecnie na nim panuje, nie jest sama w sobie paranoją. Po prostu tworzą się u nas zaczątki sytuacji normalnej. To dobrze, że książka przestała być towarem deficytowym. Na całym świecie książki wydaje się w małych nakładach i potem, w miarę nadchodzących zamówień z księgarń (jeśli utwór zdobędzie sobie uznanie czytelników) dodrukowuje się kolejne egzemplarze. Tak powinno być i u nas. Wymaga to jednak sprawnej poligrafii, która nie potrzebowałaby na wydrukowanie paperbacku pięciu lat. Wymaga też tego, aby składane przez księgarzy zamówienia odzwierciedlały faktyczne zapotrzebowanie rynku. Bardzo często zdarza się księgarzom skreślać pozycje, o które na bazarze ludzie się biją. Zdarza im się też zamawiać najbardziej poszukiwanych książek kilka egzemplarzy, żeby sprzedać je spod lady z wysokim zyskiem.

Daleki jestem od twierdzenia, że obsadę naszych księgarń stanowią ignoranci i ludzie nieuczciwi. Faktem jednak jest, że obecny system rozprowadzania książek sprzyja takim, a to już grube nieporozumienie.

Niezbędne jest też stworzenie większej liczby miejsc do druku. Odstrzał co słabszych sztuk w pisarskim stadzie zawsze jest potrzebny, ale w obecnym tłoku zbyt często trzeba odrzucać teksty naprawdę warte publikacji.

Przede wszystkim zaś czas najwyższy zacząć pisarzy uczciwie wynagradzać w zależności od rzeczywistych wyników ich pracy, a nie – jak to jest teraz – „widzimisię" wydawnictw i archaicznych taryfikatorów. Mówię „wynagradzać", ponieważ żadne stypendia ani inne tego typu zastrzyki finansowe sprawy nie załatwiają. Po pierwsze dlatego, że mają charakter doraźny, po drugie zaś w założeniu sprzeczne są ze zdrowym rozsądkiem. Pisarzowi należy płacić za to, że dobrze pisze, i t y l k o za to. Im lepiej pisze, tym więcej zarobi. Natomiast płacenie i przyznawanie mu a-



panaży jedynie dlatego, że jest pisarzem, to jedno z wielu związanych z tym fachem nieporozumień.

6. Sytuacja młodego człowieka, który pragnie poświęcić się pisaniu, nie wygląda zatem, jak widać, zbyt różowo. Czy uda mu się przebyć ciernistą drogę zależy nie tyle od jego talentu i umiejętności, ile od uporu i siły przebicia – a wiadomo, że największą siłę przebicia mają barany. Oprócz trudności, o których już pisałem, nazwijmy je „technicznymi", czy jakkolwiek inaczej, czyhają na niego inne jeszcze pułapki, trudniejsze do wskazania i wymierzenia. Przynajmniej o jednej z nich trzeba tu wspomnieć, w jakiś sposób bowiem wiąże się ona z warunkami materialnymi pisarza, a bywa dla niego znacznie bardziej zgubna niż brak miejsca do druku czy niskie honoraria.

Marnie opłacani, traktowani po macoszemu przez wydawnictwa i redakcje autorzy rekompensują to sobie, jak potrafią. Przede wszystkim przez przyjmowanie zapożyczonej od kolegów z „głównego nurtu" pozy „wieszcza", który tłum ma za nic i gardzi nim całą swą artystyczną duszą. Trudno zresztą przejmować się opiniami czytelników, skoro i tak nie mają one żadnego wpływu na nakłady ani wysokość honorariów. Sprzyja temu też zakorzenione głęboko w naszej świadomości przekonanie, że pisarz ulepiony jest z lepszej gliny niż zwykły człowiek. Temu przesądowi hołdują niestety także liczni autorzy. Przy czym, co najgorsze, aby być za tego „lepszego" uważanym, wystarczy jedynie zajmować się pisaniem. Nie jest tu ważne, czy autor cokolwiek potrafi i co rzeczywiście warte są jego dokonania. Przeciętny czytelnik pogodził się w głębi ducha z przekonaniem, że „panowie artyści" piszą dla niego zbyt mądrze i nic z tego nie da się „wyrozumieć". Może i uznaje ich za coś lepszego od siebie, prostego – dajmy na to – robotnika, tyle że ich nie czyta. Nawet nie próbuje, bo i po co?

Nie myślę tu nawracać różnych nawiedzonych poetów i prozaików od tematyki egzystencjalno-moczopłciowej, na których w ramach studiów polonistycznych napatrzyłem się w życiu sporo. I tak mało kogo ich działalność interesuje (według wspomnianych już sondaży współczesną literaturę głównego nurtu czytuje 0,8% Polaków), zostawmy ich zatem w spokoju. Przeraża mnie natomiast, że ów młodopolski obraz artysty-cygana, tworzącego sztukę dla sztuki, zaczyna się upowszechniać wśród autorów fantastyki, literatury masowej – co już jest idiotyzmem samym w sobie. Trzeba jednak pamiętać, że debiutanci, o których tu mowa, to ludzie młodzi, czasem nawet bardzo młodzi, a takim niejedna brednia potrafi zaimponować.

Nie tak dawno, podczas staszowskiego „Folkconu" jeden z młodszych obiecujących z całą powagą przekonywał mnie w publicznej dyskusji, że prawdziwy pisarz tworzy tylko i wyłącznie dla siebie i że robienie tekstów „pod publiczkę" jest sprzeczne z honorem artysty (owo pisanie „pod publiczkę" oznaczać miało budowanie nastroju, napięcia oraz atrakcyjnej dla czytelnika fabuły, o czym w trakcie dyskusji mówiłem). Można oczywiście odpowiedzieć krótko, że faceta, który pisze dla siebie, nie ma potrzeby drukować. Oznaczałoby to jednak zgodzenie się w duchu z tkwiącym u podstaw tego sposobu myślenia kardynalnym błędem. Literatura przecież nie funkcjonuje w procesie pisania, ale w odbiorze, istnieje tylko o tyle, o ile jest czytana i przeżywana. Naturalnie, gdzieś na wierzchołku literatury istnieją zawsze dzieła naprawdę wielkie, które nigdy nie będą dostępne dla każdego. Ich wielkość nie wynika jednak z tego, że są trudne i wymagają od czytelnika sporego przygotowania. Na pewno zaś nie wynika ze zwykłego pozerstwa. Inaczej mówiąc, fakt, że wielu wybitnych uczonych było ludźmi bardzo roztargnionymi nie oznacza wcale, że każdy, kto ugotuje na miękko zegarek spoglądając na trzymane w ręku jajko, stanie się automatycznie Newtonem.

Wierzcie mi, że nie ma dla pisarza, zwłaszcza młodego, nic bardziej zabójczego niż poczucie się wielkim, wspaniałym twórcą, który niczego już nie musi się uczyć, a wszelka praca nad sobą i swoimi tekstami to dla niego strata czasu. Kilku kolegom z „czwartej generacji" chyba już się to niestety przydarzyło, w czym zresztą miały swój udział debiutanckie beneficja, o których pisałem na początku – cóż, nie ma róży bez kolców. Tylko patrzeć, jak zaczną się oddawać „literackim aktom samokomunikacji – autora z samym sobą" (cytat z poważnej recenzji dzieła przynależącego do „prawdziwej" literatury) lub opisywać wewnętrzne rozdarcie „bohatera, dążącego do samounicestwienia poprzez bolesne odczuwanie gęstniejącej wokół egzystencjalnej pustki" (jak wyżej).

Dopóki autorów takich jest kilku, nie grozi to niczym szczególnym – po prostu czytelnicy po paru próbach przestaną ich czytać. Gdy jednak w ten sposób zaczynają myśleć wszyscy, następuje po prostu atrofia literatury jako takiej. I w tym tkwi odpowiedź na pytanie, dlaczego po współczesną literaturę poważną sięga zaledwie 0,8% Polaków. Wprowadzenie fantastyki na ten sam ślepy tor, na którym ugrzązł od dobrych dziesięciu lat nurt główny, równa się jej zniszczeniu.

Pozostaje pytanie, czy można młodego człowieka uchronić przed wodą sodową, która uderza mu do głowy, i czy warto to robić. Uważam, że w pewnym stopniu można i że warto. Inaczej możemy się doczekać sytuacji, kiedy ani jednej książki nie będzie nie w 40 lecz w 90% polskich domów. A naprawdę smutny jest los narodów, które obywają się bez literatury.

7. Nie uważam, żebym wyczerpał temat czy nawet naświetlił go dostatecznie mocno. Jest to – jakby powiedział Monteskiusz – kij, który ma bardzo wiele końców. Polska fantastyka, moim zdaniem, stoi obecnie na rozdrożu. Albo w swej masie osiągnie poziom wysoki i zdobędzie sobie trwałe miejsce w naszej kulturze, albo zwiędnie i nie przeskoczy siebie samej. Nie sposób na razie powiedzieć, dokąd doprowadzi ją tych kilkunastu, kilkudziesięciu może młodych ludzi, którzy niedawno podjęli decyzję: „będę pisarzem, będę pisał fantastykę". To, czy pojawi się wśród nich nowy Lem czy nowy Zajdel, nie zależy od wyroków opatrzności. Jest sprawą konkretnych warunków, na które da się wpłynąć. Najgorszym, co możemy zrobić, jest czekanie z założonymi rękami na objawienie się wśród młodych geniusza.

Można i trzeba dołożyć starań, aby utalentowany autor mógł u nas naprawdę rozwinąć skrzydła i w pełni wykorzystać swoje możliwości. Można i trzeba postarać się, aby przeciętny czytelnik mógł liczyć na coś lepszego niż „Morderca przychodzi zygzakiem". Można i trzeba za pomocą kilku mądrze pomyślanych zasad funkcjonowania rynku oczyścić księgarnie z cegieł. Inaczej może i będziemy mieli arcydzieła (raczej wątpię), ale przeciętnemu obywatelowi pozostanie, jako jedyna dostępna mu forma uczestnictwa w kulturze, oglądanie przygód strasznego Leoncia i jeszcze straszniejszej Isaury.

Czego naprawdę nikomu nie życzę.

sierpień 1987

Rafał A. Ziemkiewicz

„K" jak Karakorum, „2" jak drugi co do wysokości szczyt naszego globu – zaledwie o 237 m niższy od Mount Everestu, ale bez wątpienia najtrudniejszy ze wszystkich 14 ośmiotysięczników Ziemi. Pierwszy atak na „Górę Gór" przypuszczono równo 85 lat temu, ale K2 poddał się dopiero w 1954 roku. O zezwolenie na tegoroczną wyprawę ubiegało się wiele państw; wyjątkowa pozycja Polaków oraz 5 lat wspólnych polsko-kanadyjskich starań sprawiły, że tej właśnie ekipie władze Pakistanu przyznały prawo dokonania czegoś niemożliwego – pierwszego w historii wejścia na K2 z i m ą! Podczas lektury tego wywiadu Czytelnicy sami zorientują się, dlaczego znalazł się on w „Fantastyce". Być może jesteśmy świadkami pokonania ostatniego już, najwyższego stopnia trudności górskich na naszej planecie, a dla następnych pokoleń zostanie tylko eksploracja wierzchołków księżycowych czy marsjańskich. Fantazja? Zobaczymy.
Rozmawiam dziś z kierownikiem tej bezprecedensowej wyprawy na K2 – jednym z najwybitniejszych alpinistów świata, inicjatorem i organizatorem zimowych wspinaczek na wierzchołki Himalajów, człowiekiem-legendą, który jako pierwszy z ludzi przekroczył zimą w górach granicę 7000 m i 8000 m – Andrzejem Zawadą.

Stanisław Remuszko: – *Opis każdej góry w fachowym przewodniku podaje zawsze nazwiska pierwszych zdobywców wierzchołka latem oraz autorów pierwszego wejścia zimą. Do 17 lutego 1980 roku kroniki himalajskie notowały jedynie wejścia letnie, bo zimą nikt nie ośmielał się atakować najwyższych szczytów świata. Tego jednak dnia uczestnicy kierowanej przez pana wyprawy Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki stanęli na Evereście (8848 m)., otwierając tym samym epokę himalaizmu zimowego. Co działo się przez następne osiem lat?*

Andrzej Zawada: – Umocniliśmy nasz światowy prymat w tej dziedzinie, wchodząc zimą na dalszych pięć gigantów o wysokości ponad 8000 m: Manaslu, Dhaulagiri, Cho Oyu, Kangchendzongę i Annapurnę. Począwszy od sezonu 1979/80, w Himalaje i Karakorum odbyły się dotąd ogółem 44 zimowe wyprawy na ośmiotysięczniki, z czego powiodło się tylko siedem: sześć polskich i jedna japońska.

– *Kiedy czyta się barwne relacje z takich eskapad, trudno oprzeć się wrażeniu, że sukcesy w nich odnoszą najsilniejsi z silnych, najśmielsi ze śmiałych i najtwardsi z twardych ludzi na świecie. Czy zgadza się pan z tą opinią?*

– Przy ocenie czyjejś wytrzymałości psychofizycznej zawsze trzeba być bardzo ostrożnym, gdyż są to sprawy często niewymierne i przez to nieporównywalne. Przypuszczam na przykład, że podobną odporność na zmęczenie i stres muszą wykazywać piloci wysokościowi i kosmonauci, żeglarze samotnie przemierzający oceany, głębinowi nurkowie...

– Pozostańmy przy najwyższych górach Ziemi, przy ośmiotysięcznikach. Co broni do nich dostępu?

– Jeśli nie liczyć obciążeń psychicznych, na drodze stoją trzy główne bariery. Przede wszystkim trudności skalne, śnieżne i lodowe, podobne nawet „jakościowo" do alpejskich, tyle że odległości i rozmiary lodowców, ścian i przepaści są tu przynajmniej 2–3 razy większe. Ta skala jest pierwszym czynnikiem różnicującym wspinaczy podług ich indywidualnej predyspozycji. Po drugie – warunki zimowe. W porównaniu z latem mamy więcej śniegu, ostrzejszy mróz, silniejszy wiatr, krótszy dzień. I znów jest to rozmaicie odbierane, na przykład podatność na odmrożenia może być większa lub mniejsza.

Wreszcie bariera trzecia, najbardziej brutalna i bezwzględna – bariera wysokości, zwana również barierą tlenową. Bywa, że nieodwołalnie eliminuje tych, którzy na przykład mieli wspaniałe wyniki w Alpach. Trzeba bowiem pamiętać, że już w himalajskiej bazie – czyli przeważnie na wysokości około 5500 m – tlenu jest o połowę mniej niż na poziomie morza, a na wierzchołkach wysokich ośmiotysięczników ciśnienie powietrza nie przekracza i 30% normalnego!

– A aklimatyzacja?

– W stosunku do niektórych osób nawet wielotygodniowa aklimatyzacja nie pomaga. Tacy po prostu mają organizm: nigdy nie będą himalaistami.

– Co czeka tych, którzy się zaadaptowali?

– Bardzo ciężka praca w skrajnie trudnych warunkach terenowych i atmosferycznych. Trzeba założyć kolejne, położone coraz wyżej obozy. Trzeba wynieść do nich tlen i wyposażenie. Trzeba na wielu odcinkach rozpiąć ułatwiające wspinaczkę liny poręczowe. Nierzadko trzeba część roboty powtarzać, bo na przykład wytyczona trasa lub postawiony namiot zostały tymczasem zasypane przez lawinę. A wszystko przeważnie w takim wichrze i mrozie, że pojęcie o nich może mieć – tak naprawdę – tylko ten, kto odczuł je na własnej skórze.

– Niech pan powie, co to jest mróz w Himalajach.

– W bazie jest jeszcze „ciepło" – średnio jakieś minus 20–25°C. W miarę posuwania się w górę, temperatura spada przeciętnie o 0,7 stopnia na 100 metrów, tak że na szczycie ośmiotysięcznika musi być przynajmniej te –40°C. Na Evereście na przykład mieliśmy minus pięćdziesiąt.

– Tyle bywa na Syberii i Antarktydzie.

– Ale na siedmiu, ośmiu kilometrach mróz jest czymś zupełnie krańcowo innym niż na nizinach, bo brak tlenu i strasznie wieje! Wiatr jest najgorszym przeciwnikiem, wiatr zabija. 50° mrozu przy bezwietrznej pogodzie jest niczym w porównaniu z minus 5° i szalejącą wichurą!

– Jaką prędkość ma taki wiatr?

– Zimą w bazie pod Everestem wiatromierz pokazywał 120–130 km/h. Na Przełęczy Południowej nie mieliśmy już tego przyrządu, ale oceniam, że mogło być 200–250 km/h. Nie da się wtedy iść ani stać, trzeba paść na kolana i trzymać się czegoś, bo człowiek zostanie zmieciony. A jak taki wicher odbiera ciału ciepło...

– Czemu zatem w tak ekstremalnie nieprzyjaznym dla człowieka środowisku pojawia się każdego roku coraz więcej wspinaczy, poruszają się oni szybciej i robią drogi, wydawałoby się wczoraj, nie do pokonania?

– Historia zdobywania gór najwyższych, rozpoczęta praktycznie w pierwszych latach XX wieku, jest zarazem historią gromadzenia wiedzy i doświadczeń himalajskich, historią rozwoju wspinaczkowej taktyki i techniki, wreszcie historią stałych postępów w konstruowaniu coraz doskonalszego wyposażenia. Pod tym względem od czasów Hillary'ego i Tenzinga minęła cała epoka!

– Przepraszam, ale czy ci zdobywcy Everestu sprzed 34 lat nie nosili takich samych puchowych kurtek, nie wiązali się linami, nie używali czekanów i raków?

– Puchu rzeczywiście nie udało się jeszcze niczym zastąpić, ale cała reszta, to zupełnie inna jakość! Sprzęt jest lżejszy, mocniejszy, bardziej funkcjonalny. Na przykład współczesne raki i czekany umożliwiają wspinanie się po pionowych, a nawet nieco przewieszonych ściankach lodowych, co kiedyś było nie do pomyślenia. Dalej: ciężkie i kapryśne prymusy benzynowe ustąpiły miejsca niezawodnym maszynkom na butan. Wielowarstwowe, wygodne buty z tworzyw sztucznych gwarantują zachowanie ciepłoty nóg przy temperaturze -35°C. W namiotach – lekkie maszty z włókien węglowych. Karabinki i haki z



K2 – zimą!

z Andrzejem Zawadą rozmawia Stanisław Remuszko

tytanowych stopów, także butle z tlenem o ciśnieniu do 400 atmosfer...

– Brzmi to niemal jak opis ekwipunku kosmonauty.

– Bo też i korzystamy z kosmicznych materiałów i technologii. Trzy najbardziej spektakularne przykłady takich zastosowań: tzw. karimaty, czyli mrozo- i wodoodporne materace grubości półtora centymetra, które można położyć na lodzie, a mimo to śpiącemu nie będzie zimno; przepuszczająca powietrze, ale zatrzymująca zewnętrzną wilgoć tkanina „goretex" na bieliznę, ubrania i namioty; wreszcie płachty z folii o nazwie NRC – tej samej folii, która okrywała lądownik księżycowy w programie „Apollo", a w górach niezwykle skutecznie chroni organizm przed utratą ciepła. A przecież jest jeszcze „nieważka" liofilizowana żywność, są małe i sprawne radiotelefony, łączność satelitarna...

– Rozumiem, że wspinacz jest dziś znacznie lepiej zabezpieczony przed urazami, mrozem i wiatrem, może jednorazowo zabrać w górę znacznie więcej sprzętu i jedzenia, ma też w razie czego znacznie większe szanse na uzyskanie pomocy. Ale mimo tych wszystkich ulepszeń i innowacji wypadki wciąż się zdarzają.

– Widzi pan, ja często powtarzam, że w alpinizmie trzeba zachować styl i elegancję wejścia. O czym mówię? Otóż powoduje nami ta sama prymarna motywacja, która człowieka wyciągnęła z jaskiń – a więc ciekawość świata, wsparta przyjemnością płynącą z wyczynu i współzawodnictwa. To jest naturalne, ale zakłada d o b r o w o l n o ś ć – inaczej niż na przykład na wojnie, kiedy działanie jest z reguły wymuszone: jeśli czegoś nie zrobisz, to zginiesz. Alpinizm powinniśmy zatem uprawiać trochę na zasadzie zabawy, jak każdy sport. A kiedy się sportujemy? Wówczas, gdy jesteśmy wypoczęci i zabezpieczeni, gdy nie walczymy o życie i elementarny byt. Klasa i styl oznaczają więc, że nie należy się odmrażać w górach, nie należy mieć czarnych plam przed oczami, nie należy umierać z niedotlenienia...

– ... należy chyba przede wszystkim w całości i zdrowiu wracać?

– Tak jest! Należy wracać na dół! Czasem trzeba w tym celu umieć zrezygnować z czegoś, na co się długo czekało, a co wydaje się być w zasięgu ręki. Uważam, że jeśli kogoś nie stać na takie wspinanie, to nie powinien chodzić w wysokie góry!

– Czy dużo młodych ma odmienny pogląd na to, co pan teraz mówi?

– Szczęśliwie nie, większość jest podobnego zdania. Trenują, planują, starają się o lepszy sprzęt. Stopniują trudności: najpierw Tatry, potem Alpy, ewentualnie Kaukaz lub Hindukusz, dopiero na koniec Himalaje. Najpierw lato, potem zima. Najpierw drogi łatwe, potem trudne. I to właśnie jest konieczną logiką, niezbędną racjonalnością w rozwijaniu osobistych umiejętności na miarę predyspozycji własnego organizmu. Jest to jedyna droga do uzyskania patentu naprawdę fachowego wspinacza.

– Jutro wyrusza pan do Pakistanu, by nadzorować pierwszy etap przedsięwzięcia, jakiego jeszcze w Karakorum nie było: w sumie blisko 600 tragarzy i 12 ton sprzętu, 20 świetnych himalaistów (w tym 10 Polaków!), 4 lekarzy, 4 kucharzy, 6 osób ekipy telewizyjno-filmowej, czas trwania od jesieni do wiosny, koszt niemal pół miliona dolarów...

– Na całe szczęście my pokrywamy tylko znikomą część tych wydatków, a i to tylko w złotówkach. Trzeba pamiętać że w ostatecznym kształcie jest to wyprawa organizowana wspólnie przez Polskę, Kanadę i Anglię na zasadach partnerstwa; sponsoruje jej także ponad 60 światowych firm produkujących sprzęt turystyczny i wypoczynkowy.

– Towarzyszy jej również ogromne zainteresowanie publikatorów, które okrzyknęły ją, słusznie chyba zresztą, wyprawą stulecia. Słyszałem, że są nawet czynione przymiarki do bezpośredniej transmisji telewizyjnej?

– Czy to się uda, nie wiadomo. W każdym razie alpiniści biorący udział w akcji górskiej wezmą ze sobą leciutkie kamery TV z nadajnikami i prześlą obraz do magnetowidu w bazie; stamtąd dopiero byłby emitowany program do satelity, a z satelity do wielkich sieci telewizyjnych na Zachodzie. Niewykluczone zatem, że czytelnicy „Fantastyki", siedząc w domowym zaciszu, ujrzą na własne oczy to, co w tej samej chwili dzieje się na grani K2 na wysokości ośmiu kilometrów.

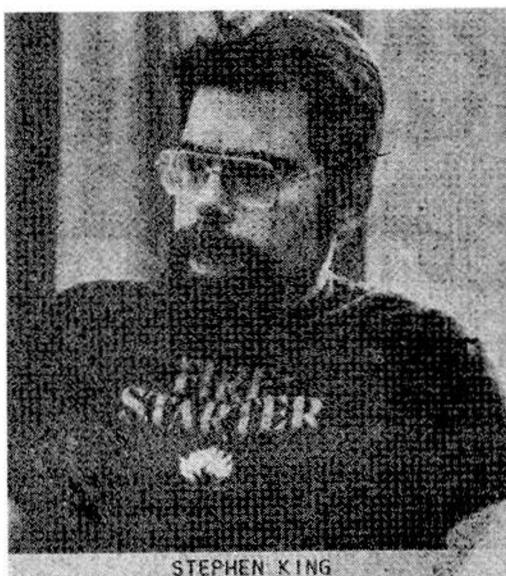
– Co zwykło się mówić wspinaczom wyruszającym w góry?

– Proszę za nas wszystkich po prostu trzymać kciuki.

– OK! Dziękuję za rozmowę. ■

Krzysztof Sokołowski

STEPHEN KING



STEPHEN KING

Król Stefan I

Historia zna kilku królów Stefanów. Byli wśród nich władcy leniwi i słabi, ale byli też energiczni, dobrzy dowódcy, którzy kogoś przed czymś bronili, walczyli i wygrywali. Nasz KRÓL STEFAN, któremu poświęcono wiele stron w tym numerze „Fantastyki" odniósł jednak sukces bez precedensu. Dokonał tego, czego nie udało się przed nim nikomu oprócz samych filmowców. Podbił Hollywood, a dokładnie: cały amerykański przemysł filmowy, co jest triumfem tak wielkim, że wręcz niewymiernym.

Do 1986 roku wszystkie opublikowane przez Kinga pod własnym nazwiskiem (używał jeszcze pseudonimu Richard Bachman) powieści zostały przełożone na język filmowy (część filmów jest w produkcji). Osiem spośród jego opowiadań stało się podstawą filmów pełnometrażowych, a z czterech innych powstały półgodzinne filmy przeznaczone do rozpowszechniania w telewizji lub na wideokasetach. Co więcej – niemal każdy ze specjalizujących się w kinie grozy reżyserów w taki lub inny sposób współpracował z tym „niesamowitym" pisarzem. I to jednak nie wszystko! King pisze scenariusze! King jest aktorem (pojawił się w „Knightriders" A. Romero)! King próbuje swych sił jako reżyser, pracując nad opartym oczywiście na jego własnym opowiadaniu filmem „Maximum Overdrive". Od czasu Czyngis-chana nie było chyba władcy, który tak błyskawicznie odniósł tak wielki sukces. Piszę „błyskawicznie", bowiem kariera filmowa Kinga rozpoczęła się dopiero w 1976 roku. Niewiele ponad dziesięć lat temu!

Dla krytyka zajmującego się problematyką fantastyki w różnych mediach kariera ta jest wręcz niewiarygodnie bogatym źródłem badań nad wzajemnymi wpływami fantastycznej literatury i kina. Z jednej strony mamy przecież do czynienia z jednorodną stylistycznie twórczością niezbyt skomplikowanego pisarza, z drugiej zaś możemy badać filmy śmietanki „Hollywoodu": Davida Cronenberga, Johna Carpentera, Stanleya Kubricka, Stevena Spielberga. Oczywiście nie można dokonać tego wszystkiego w wąskich ramach niniejszego szkicu.

Z pewnością wszystkie adaptacje prozy Kinga można ocenić tak, jak zrobił to on sam: jako nierówne. Sam początek zapowiadał jednak wiele: „Carrie" Briana de Palmy (1976) zyskała ogólne pochwały, nominację do Oscara dla Sissy Spacek i Piper Laurie. Otworzyło to Kingowi drzwi, za którymi czekał szeroki ekran.

„Salem's Lot" z 1979 roku doczekał się adaptacji telewizyjnej na czterogodzinny serial, którego twórcą był Toby Hooper, znany wcześniej z ociekającego krwią „arcydzieła" „The Texas Chainsaw Massacre". Dla tego filmu King starał się być... hm – uprzejmy. Stwierdził tylko, że udany scenariusz zbyt dobrze został dostosowany do wymagań komercyjnej telewizji. Jego ulubionym filmem jest natomiast „Cujo" Lewisa Teague z 1983 roku, co zastanawia o tyle, że powieść pod tym samym tytułem uważana jest przez krytyków za najsłabszą w bogatym dorobku tego autora. Wyjaśnieniem może być i to, że w tym przypadku pisarz posłużył się raczej prostymi kryteriami twierdząc, że „Cujo" zawiera „najstraszniejsze obrazy w historii kina". Ze zdaniem tym polemizowałby zapewne widz pamiętający „The Dead Zone" Davida Cronenberga (1983), uchodzący z kolei za najlepszą kinową interpretację współczesnego horroru.

Wypada w tym miejscu wspomnieć także o pierwszej próbie adaptowania opowiadania Kinga na pełnometrażowy film. „Children of the Corn" (1984) najlepiej można scharakteryzować stwierdzeniem autora dwudziestoczterostronicowego opowiadania, które próbowano rozciągnąć jak gumę: *jest to dzieło bardzo młodych ludzi, którzy kiedyś z pewnością zrobią coś lepszego.*

Problem odwrotny ze znacznie większym sukcesem rozwiązał Mark Lester w „Firestarter" (1984). Tym razem czterystustronicowa powieść została ściśnięta w dziewięćdziesięciominutowy film, którego scenariusz King uważa za najlepszy ze wszystkich powstałych na podstawie jego twórczości.

Do tej pory zadowalaliśmy się jedynie przytaczaniem tytułów z możliwie najkrótszymi „recenzyjkami". Nie można jednak w ten sposób skwitować dwóch najbardziej kontrowersyjnych realizacji: „Christine" Johna Carpentera (1983) i „The Shining" Stanleya Kubricka (1980).

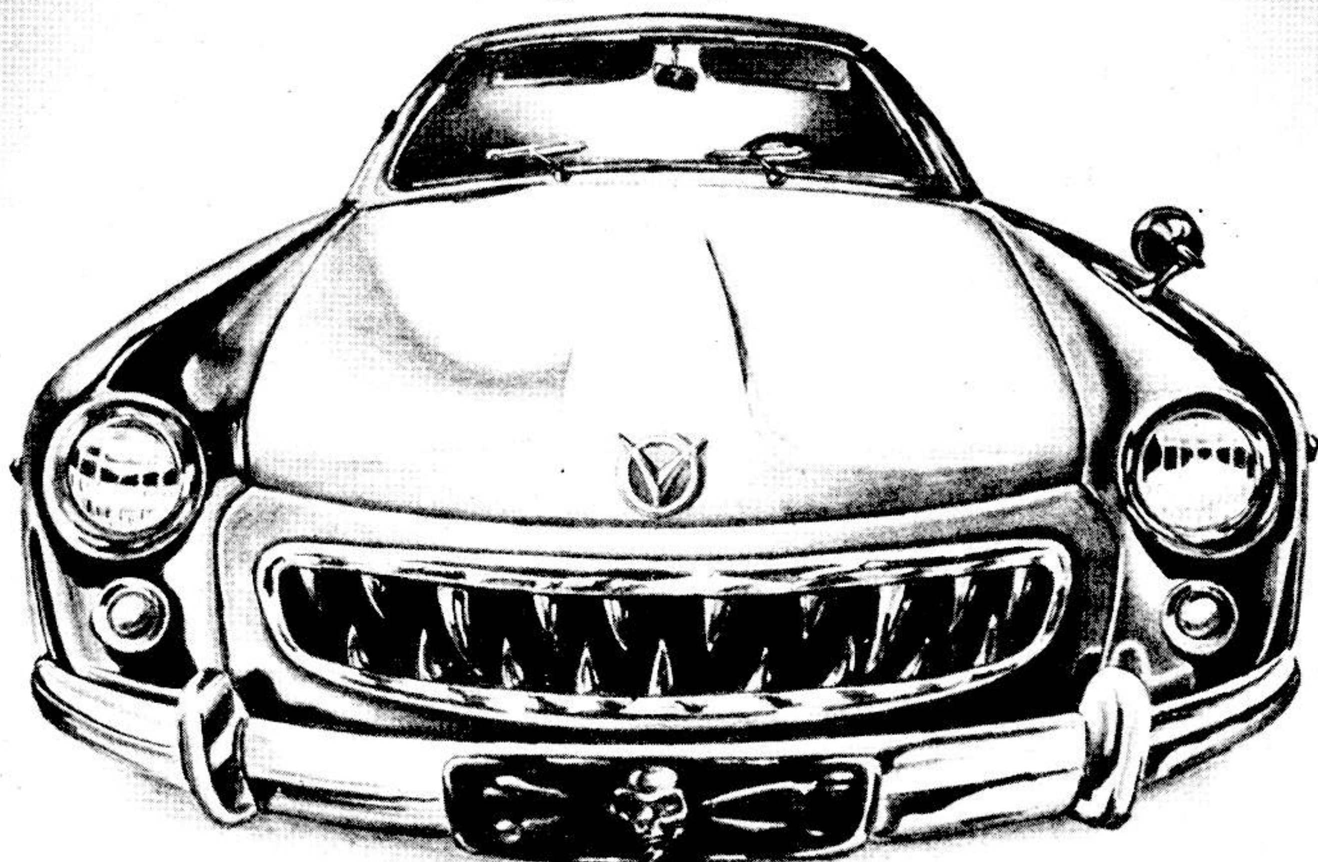
By właściwie ocenić „Christine" trzeba zdawać sobie sprawę z sytuacji, w jakiej powstał ten film. Prawa do powieści zostały zakupione wtedy, gdy istniała ona jedynie w maszynopisie, prace realizacyjne zaczęły się cztery dni przed publikacją i trwały niespełna rok. Oddajmy jeszcze raz głos Kingowi, tym razem po to, żeby się z nim nie zgodzić: *„Christine" to dobry film, bliski duchowi książki... niestety jest w nim bardzo mało Johna Carpentera.*

Stwierdzenie to może być oczywiście oparte na tym, że zarówno pisarz, jak i reżyser z zapałem i podziwu godną spostrzegawczością notują obyczaje współczesnej Ameryki, rytm jej życia i swego rodzaju „egzotykę" obyczajów. Mit samochodu jako przedmiotu kultu i pożądania, tak bardzo przecież amerykański, jest więc bliski im obu. Ale, tytułem najskromniejszej polemiki dodać także wypada, że u k a z a n i e zakamarków ludzkiej psychiki jest już dziełem samego Carpentera, tak jak bardzo dla niego charakterystyczny dziwny, powolny, chłodny i obiektywny sposób narracji.

Carpenter doskonale zmieścił się w konwencji „horroru" (jedną z najcenniejszych jego zalet jest to, że zawsze mieści się w konwencji, najczęściej pogłębiając ją o swego rodzaju „trzeci wymiar" i ujawniając widzowi to, czego wcześniej nie dostrzegał). Inaczej jest z „The Shining" Kubricka. Ten film również domaga się osobnego potraktowania jako dzieło, bez przesady, wybitne; kilka podstawowych twierdzeń można jednak wypowiedzieć nawet w tak krótkim tekście. Zacznijmy, oczywiście, od samego Kinga: *Kubrick próbował reformować gatunek, którego nie rozumie.* Co to właściwie znaczy?

Wydaje się, że jak wielu przed nim i niewątpliwie jeszcze wielu po nim – sam „król" wpadł także w pułapkę myślenia schematami, wypełnioną ciałami wielu krytyków i bardzo wielu fanów. Horror to horror, fantasy to fantasy, SF to SF – zdumiewająco często zdumiewająco wielu zdumiewająco sprawnie posługuje się tą banalną tautologią. Kubrick myśli inaczej: nie regułą gatunkową, lecz środkiem przekazu – filmem. Nazywają go „wielkim reformatorem" właśnie dlatego, iż wie, że kino to „świat bez granic". Problem „rozumienia gatunku" najzwyczajniej dla niego nie istnieje i dzięki temu dostrzega on to, czego nie widzą inni, a na to, co inni zobaczyli, patrzy inaczej. Przyzwyczailiśmy się do tego, że horror ma straszyć, powieść „The Shining" straszy, a film...? Ten jest raczej opowieścią o tym, jak rodzi się strach. W książce dostrzegł reżyser to, czego nie zauważył w niej sam pisarz. To cecha dobrego interpretatora. Umiejętność przekazania tego w dziele jest zaś cechą dobrego, w tym wypadku nawet bardzo dobrego t w ó r c y.

I to, na razie, wszystko. Temat pozostaje otwarty. King żyje, cieszy się dobrym zdrowiem i... pisze. Amerykański przemysł filmowy także żyje i – jeżeli mierzyć wielkością produkcji – czuje się również nieźle. Do pisania na temat „Kinga w filmie" będzie więc jeszcze niewątpliwie sporo okazji. ■



Andrzej Brzezicki

SF na świecie

Nebula 1986

2 maja 1987 r. w Nowym Jorku przyznano nagrody Nebula za najlepsze utwory SF, jakie ukazały się w roku 1986:

● najlepsza powieść: Orson Scott Card – „Speaker for the Dead" (Tor Books), ● najlepsza mikropowieść: Lucius Shepard – „R and R" (IASFM), ● najlepsza nowela: Kate Wilhelm – „The Girl Who Fell into the Sky" (IASFM), ● najlepsze opowiadanie Greg Bear – „Tangents" (Omni), ● „Grand Master Award" – Isaac Asimov.

Nagrody „Locus 1987"

● najlepsza powieść SF: Orson Scott Card – „Speaker for the Dead", ● najlepsza powieść fantasy: Gene Wolfe – „Soldiers of the Mist", ● najlepszy debiut powieściowy: Jack McDevitt – „The Hercules Text", ● najlepsza książka non-fiction: Brian Aldiss i David Wingrove – „Trillion Year Spree", ● najlepsza mikropowieść: Lucius Shepard – „R and R", ● najlepsza nowela: David Brin – „Thor Meets Captain America", ● najlepsze opowiadanie: Isaac Asimov – „Robot Dreams", ● najlepsza antologia: Gardner Dozois – „The Year's Best SF", Third Annual Collection, ● najlepszy grafik: Michael Whelan, ● najlepszy magazyn: „F and SF", ● najlepszy wydawca: Ballantine Del Rey.

Nagroda im. Philipa K. Dicka

„Philip K. Dick Memorial Award 1987" za najlepszą książkę wydaną w serii kieszonkowej w roku 1986 otrzymał James P. Blaylock za powieść „Homunculus". Nazwisko laureata podali do publicznej wiadomości organizatorzy konkursu, David Hartwell i Algis Budrys, w trakcie Norwescon-Alternacon w Seattle (USA) w marcu 1987 r.

Nagrody BSFA 1987

Podczas brytyjskiego National- and Eastercon, odbywającego się w kwietniu 1987 r. w Birmingham, ogłoszono nagrody British Association, przyznawane tradycyjnie przez gości Easterconu. Oto laureaci:

● najlepsza powieść: Bob Shaw – „The Ragged Astronauts" (Gollancz), ● najlepsze opowiadanie: Keith Roberts – „Kaeti and the Hangman" (Kerosina), ● najlepszy film: „Aliens", ● najlepsza ilustracja: Keith Roberts – „The Clocktower Girl" (Kaeti and Company).

W trakcie Easterconu przyznano też (po raz pierwszy) nagrodę Arthura C. Clarke'a. Otrzymała ją Margaret Atwood za „The Handmaid's Tale" (Cape). Nagrodę będzie otrzymywać każdorazowo autor najlepszej powieści SF opublikowanej w Wielkiej Brytanii w roku poprzednim. 70-letni Clarke, żyjący na Sri Lance (Cejlon) i tam też prowadzący swoją działalność, nie był niestety obecny podczas oficjalnej ceremonii, ufundował jednak premię pieniężną w wysokości 1000 funtów szterlingów i obiecał swoje wsparcie w tej mierze.

„Arthur C. Clarke Award" przyznaje jury, w skład którego wchodzi po dwóch członków „British SF Association", „International Science Policy Foundation" oraz „Science Fiction Foundation".

Nagrody im. Campbella i im. Sturgeona

W lipcu 1987 r. na Uniwersytecie w Lawrence (Kansas, USA) rozdano nagrody poświęcone pamięci Johna Campbella oraz Theodora Sturgeona.

„John Campbell Memorial Award" za najlepszą powieść SF roku 1986 otrzymała Joan Slonczewski, autorka książki „A Door Into Ocean". Drugą nagrodę otrzymał James Morrow („This is the Way the World Ends"), a trzecią Orson Scott Card („Speaker for the Dead").

Od roku 1987 Uniwersytet w Lawrence postanowił przyznawać również nagrodę za najlepsze opowiadanie roku. Nagrodę tę nazwano imieniem zmarłego Theodora Sturgeona, a ustanowiono ją z inicjatywy Jamesa Gunna, który na tym właśnie uniwersytecie kieruje katedrą i centrum studiów nad SF (KU Center for the Study of SF). Dodajmy, że Uniwersytet w Kansas zarządzał całą literacką spuścizną Sturgeona, jego listami, dokumentami, książkami i rękopisami.

Podobnie jak „Campbell Memorial Award" również „Sturgeon Award" jest przyznawana przez specjalnie powołane w tym celu jury. Po raz pierwszy nagroda im. Theodora Sturgeona przypadła w udziale Judith Moffett za opowiadanie „Surviving".

Nagrody Boreal 1986

Nagrody Boreal są przyznawane corocznie na kanadyjskim Boreal SF-Conie w Quebec za książki SF wydane w języku francuskim. Oto laureaci:

● najlepsza powieść: Esther Rochon – „L'Epuisement du Soleil", ● najlepsze opowiadanie: Agnes Guitard – „Compost", ● najlepszy grafik: Sue Kinnard, ● konkurs pisarski: Yves Menard.

Franz Rottensteiner